

5016

1

929

1309





WYDAWCA
KRAJOWY
WYDAWCA
KRAJOWY
WYDAWCA
KRAJOWY

317 957

Marek Twain.

(Samuel L. Clemens).

Przygody Huck'a

PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU

T. PRAŻMOWSKIEJ.

Z przedmową

J. A. Święcickiego.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

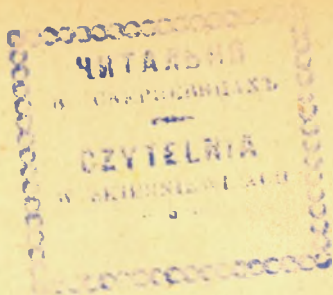


474793



Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Октября 1898 года.



PRZEDMOWA.

Śród tysiąca określeń, usiłujących scharakteryzować człowieka, istotę najtrudniejszą do określenia, spotykamy i takie, że człowiek to—*animal-risibile* t. j. zwierzę zdolne do śmiechu. Że jednak moglibyśmy spotkać przypadkiem w ogrodzie zoologicznym jakieś stworzenie, przejawiające, choć w małym stopniu, zdolność podobną; przeto sama ta definicya nie bardzooby nam pochlebiała. Śmiać się nie w porę, bezmyślnie i niewiedomo dlaczego, to ujemność fatalna—a nie przywilej. Na szczęście człowiek jest istotą nietylko *risibile*, lecz i *rationale*, t. j. prócz zdolności do śmiechu ma i rozum. Otóż dopiero przy kombinacyi tych dwóch określeń możemy uważać człowieka za istotę z humorem i dowcipem.

Liczni pisarze twierdzą nie bez pewnej racyi, że człowiek pozbawiony zdolności śmiechu, rozweselenia się rzeczą zabawną, nie może być nigdy typem istoty doskonałej, gdyż najwymowniejszym dowodem niedoskonałości niższych stworzeń jest, jakoby, ich powaga niezakłócona i bezduszna. Człowiek—to jedyna istota, która się śmieje i płacze, ponieważ ona tylko ma świadomość różnicy pomiędzy rzeczami, jakie są, a jakimi być winny.

Lecz jak nie wszyscy ludzie posiadają w sto-

pnium jednakim chęć do śmiechu lub do rozbudzania wesołości i niejednakowo się śmieją, tak i narody różnią się w tym kierunku bardzo wybitnie, zarówno ze względu na swój charakter, jak i warunki, wśród których żyły. To też badania nad tem, jak, kiedy i z czego śmiał się dany naród, są także pouczające i stanowią dla historyi cywilizacyi źródło ciekawe.

Humor ma niewątpliwie tradycyę bardzo starą; przejawiał on się w życiu i w literaturze wszystkich narodów i czasów, specjalne w nim wszakże zamiłowanie ma arcy-poważna rasa anglosaksońska.

„Humor — mówi Taine — wyraz nie dający się przetłómaczyć, ponieważ mu rzeczy brakuje, jest rodzajem talentu, który może bawić Giermanow, dzieci północy, gdyż tak jest właściwy ich duchowi, jak piwo i wódka — ich podniebieniu. Ludzie innej rasy nie znoszą go, gdyż dla nerwów naszych zbyt jest cierpki i gorzki. W tym talencie tkwi, między innemi, skłonność do kontrastów i zapominania o publiczności. Autor oznajmia nam, że nie troszczy się o nas, że nie potrzebuje być zrozumianym i uznanym, że myśli i bawi się sam i że jeśli smak jego oraz ideje nam nie dogadzają, możemy go wcale nie słuchać. Chce on być subtelnym i oryginalnym dla swej wygody, jest u siebie w swej książce przy drzwiach zamkniętych, ubiera się w szlafrok i w pantofle, siedzi często z nogami w powietrzu, a niekiedy nawet bez koszuli. Humor — to wybuch jowialności gwałtownej, zagrzebanej wśród smutków. Nieprzyzwoitość śmieszna zjawia się niespodziewanie. Natura fizyczna, ukryta i przygnieciona refleksyą melancholijną, rozbiera się na chwilę... do naga. Widzisz grymas, giest ulicznika i znów wszystko do powagi wraca uroczystej. Wreszcie dodaj do tego kaprysy nieprzewidziane wyobraźni! Humorysta zamyka poetę — aż tu nagle, u kresu rozumowania, w monotonnej mgłę prozy, błysnął krajobraz, mniejsza — piękny czy brzydki; wystarcza, ażeby olśnił. Te nierówności malują

dosadnie Giermanina samotnego, energicznego, zwolennika kontrastów gwałtownych, ugruntowanego na refleksyi osobistej a smutnej, ze zwrotami instynktu fizycznego niespodzianiami. To nie człowiek rasy łacińskiej i klasycznej, rasy artystów i mówców, gdzie piszą tylko dla publiczności, lubują się w ideach jasnych, są szczęśliwi wobec form harmonijnych, gdzie wyobraźnia jest prawidłowa a rozkosz zdaje się naturalną...“

Przytoczyliśmy słowa powyższe w wysokim stopniu przesadne i jednostronne dla wykazania, że jeśli pisarz tej skali nie umiał zrozumieć i ocenić należycie genialności humoru angielskiego u takich nawet mistrzów pióra, jak: Dickens, Thackeray, Eliot i Carlyle—to znaczy, że charakter tego humoru ma swoje cechy nawskroś odrębne, dla ludów rasy romańskiej nieprzystępne.

Chociaż więc humor, w nowożytnem pojęciu tego słowa, nie jest obcy żadnemu z narodów cywilizowanych, stanowi jednak specyficzną niemal właściwość Anglików i Amerykanów, którzy najwięcej go cenią i doniosłość jego rozumieją, tkwi on bowiem głęboko w ich naturze.

Literatura angielsko-amerykańska wykazuje nie tylko największy zastęp humorystów, lecz także i teoretyków humoru, którego analizie poświęcały się umysły najdzielniejsze, pragnąc mianowicie określić pojęcia humoru i dowcipu oraz wykazać zasadnicze między niemi różnice. George Elliot, Sydney Smith, Wiliam Haslitt i inni poświęcają temu przedmiotowi w nowszych czasach całe studia, a Fleet np. w dziele p. t. *A Theory of Wit and Humour* („Teorya dowcipu i humoru“) poddaje te dwa pojęcia analizie niesłychanie subtelnej i drobiazgowej aż do przesady.

Największą dotychczas powagą cieszy się w Anglii określenie dowcipu, wypowiedziane przez słynnego filozofa Locke'a (1632—1705). „Dowcip — po-

dług niego — zasadza się po większej części na tak szybkim i urozmaiconem zestawieniu różnorodnych idei, żeby mogło uwydatnić się pewne ich podobieństwo i pewna zgodność, dająca obraz zabawny i wrażenie przyjemne dla wyobraźni; gdy przeciwnie, sąd nasz o rzeczy polega na tak troskliwym rozdzielaniu idei, żeby przy największem nawet ich pokrewieństwie uwydatniła się zasadnicza między nimi różnica, nie pozwalająca brać jednej idei za drugą...”

„Rzecz prosta — wyjaśnia Addison — że dowcip wytryska tylko przy takim podobieństwie idei, która okrom rozkoszy daje przedewszystkiem czytelnikowi... niespodziankę.“

Wesołość — to niższy stopień humoru, który znów jest gatunkiem pośledniejszym dowcipu. Istotą humoru jest niewłaściwość, niezgodność i tak zależy od kontrastów gwałtownych, jak dowcip od podobieństw ukrytych. Humor działa za pomocą silnych przeciwieństw, dowcip czaruje zręcznymi kombinacjami; rdzeniem wszakże, istotą obu jest niespodzianka.

„Gdyby jaki kupiec poważny — pisze Sydney Smith — okazał powierzchowności, ubrany świątecznie w kostium barwy groszku zielonego, upadł w błoto i zniweczył zupełnie swój garnitur, byłoby barbarzyństwem śmiać się z niego, chociażby nawet podczas upadku i peruka opuściła zdradziecko głowę dostojnego obywatela. Lecz gdyby ów mąż, pod wpływem rozdrażnienia, uniósł się gniewem i dał go odczuć przechodniom, niktby nie mógł zapanować nad niezgodnością pomiędzy położeniem szanownego kupca w zielonkawym stroju, unurzanego w błocie, a groźbą, rzucaną pod wpływem wściekłości niehamowanej. Wówczas już każdy drobiazg potęgowałby humor tej sceny, w której zabawność kostiumu, szanowne oblicze nieszczęśnika, bryzgami błota popręgowane i jego wściekłość bezsilna, walczą o lepsze dla wywołania wesołości. Gdyby wszakże jakiś stróż uliczny znalazł się

w tem położeniu, nie zwróciłby niczyjej uwagi, gdyż niezgodność idei byłaby w tym wypadku bardzo mała.“

Dowcip im subtelniejszy, im więcej daje niespodzianek rozkosznych, tem jest bardziej przelotny i niepochwytny. Błyska i niknie. Trzeba być niesłychanie bystrym i baczny, żeby coś dojrzeć przy jego świetle. Gdy dowcip zjawia się przelotnie—humor trwa; tamten jest blaskiem, ten płomieniem, ztąd też pierwszy olśniewa i pobudza—drugi grzeje. Społecznie dowcip jest młodszy, humor ma pochodzenie bardzo stare. Są ludzie, którzy, mając poczucie humoru, uważają błyski dowcipu za wybryk rozdrażniający.

Humor—podług Haweisa—to atmosfera elektryczna; dowcip—to błyskawica. Charakter Karlejlowskiego „Teufeldroeck'a“ jest przepelniony pewnego rodzaju humorem suchym a płynnym, lecz gdy ten pisarz mówi, że Anglia składa się z dziesięciu milionów istot *po większej części waryatów* — to błyskawica.

Dowcip ma siłę orzeźwiająca, zawiera bowiem przesadę, odwrotną stronę idei, promień pewnej niewłaściwości i niemożebności, ztąd też na przedstawieniach ludowych zawsze ma powodzenie mysz duża, jak słoń, lub mucha wielkości wołu. Kiedy kłown w cyrku, patrząc z podziwem na sztuki konia, posłusznego każdemu skinieniu swego pana, zawoła do publiczności: „zadziwiająca jest rzeczą, jak te *owady* wykształcić można“,—odwrotna strona myśli jest zabawna, gdyż w mózgu naszym następuje porównanie błyskawiczne rumaka z komarem (lub muszką. Gdy Dickens mówi o damie, którą nieśli do domu „w potoku łez i w lektyce“, wówczas zabawnie oddziaływa bezpośrednio poczucie niewłaściwości.

Gdy kuglarz, pokazując krokodyla wypchanego, mówi: „Panowie i panie: to zwierzę ekscentryczne zamieszkuje wyspę samotną, odległą o 75 mil od

jakiegokolwiek lądu lub morza — wówczas prawdziwa naturalność głosu czyni ten absurd jeszcze zabawniejszym.

Dla Anglików i Amerykanów dowcip posiada godność swoją i cel szlachetny, gdyż przy użyciu odpowiednim jest rozumny, moralny i pobudzający w stopniu najwyższym. Porson uważa „dowcip za rozum najlepszy w świecie, wszystko bowiem prawdziwie dowcipne, jest—podług niego—jądrem zawartej myśli, samym ekstraktem rozumu.“

To też kaznodzieje nawet posiłkują się tam bronią dowcipu i satyry, w przekonaniu, że humor na ambonie działa nieraz więcej niż powaga, gdyż człowieka, który nie odczuwa, że jest grzeszny, można czę-to przekonać, że jest głupi. Rowland Hill widząc, że niektórzy chronią się do kościoła przed deszczem, powiedział z ambony: „Słyszałem o ludziach, którzy z religii swojej robią płaszcz, lecz dziś dopiero poznałem takich, którzy z niej czynią deszczochron.“

Dowcip jest darem indywidualnym, humor zaś przeważnie narodowym, tak, że z rysów znamienych danej humorystyki możnaby odgadnąć jego pochodzenie narodowe.

Dr. Davies w pracownym swem dziele *Fun ancient and modern* mniema, że nawet z epigramatycznych drobiazgów humoru poznać można, czy są irlandzkie np. czy szkockie.

Irlandczyk odznacza się w swoim humorze pewną naiwnością satyryczną. Zapytany na którym pięttrze mieszka, odpowie: „Gdyby dom przewrócił się do góry nogami—to na pierwszym.“ Inny twierdzi, że księżyc „dwa razy lepszy od słońca, bo świeci w nocy, gdy tego potrzebujemy, słońce zaś przyświeca we dnie, gdy nam go wcale nie potrzeba.“ Zapytany dlaczego trzyma świnię w mieszkaniu, gdzie jest rodzina—odpowiada: „A czemuż nie? czy to tam

miejsce niewygoone, żeby świnia mogła żądać lepszego?..."

Humor Szkota jest zwykle suchy i szorstki. Strzeże się on zawsze stopni najwyższych w wyrażaniu swego uznania czy podziwu. Przezorność wrodzona nakazuje mu unikać zagalopowania się w danym kierunku przy ocenie ludzi, rzeczy i wypadków. Na słowa: „to dzień jest dobry“, odpowie zazwyczaj: „Tak—widziałem gorsze.“ O najlepszej żonie powie tylko „niezła kobieta“; o znanym powszechnie dobroczyńcy wyrazi się: „nienajgorszy człowiek na świecie.“ Usłyszawszy rzecz jakąś zupełnie nową a mądrą, powie napewno: „Właśnie myślałem tak samo.“ Szkotka, żegnając się przed samą śmiercią z siedzącym u jej wezglowia mężem, starym szewcem, rzecze do niego:

— Wygrałeś Janie swoją sprawę; bylam dla ciebie żoną bardzo dobrą.

— O tak—średnią, moja Dżenny—średnią—odparł małżonek.

— Janie, obiecałeś mnie pochować na starym cmentarzu w Stravon, przy mojej matce. Nie mogłabym leżeć spokojnie wśród obcych ludzi w Glasgowie brudnym i błotnistym.

— Dobrze, dobrze moja żono—odpowiada małżonek pieszczotliwie—spróbujemy naprzód w Glasgowie, a gdybyś tam spokoju nie miała, to spróbujemy w Stravonie.

Humor amerykański, nawskroś narodowy, ma swoje cechy odrębne, właściwe arcy złożonemu charakterowi Yankesa, który jest osobliwszym mieszkańcem, wyrosłym wśród nowego świata na starym pniu purytańskim. Praktyczność mistyczna, zapal żelaza roztopionego, humor kwaśno-szczery a wreszcie szlachetność skąpa i twarda—oto znamienne cechy Yankesa.

„Uczciwość jest policyą najlepszą, mój przyjacielu, poucza Yankes—ja to wiem, bom *obie zdrą-*

dział. „Czyś, chłopcze, porachował te świnię?” „Wszystkie—z wyjątkiem jednej—brzmiała odpowiedź, gdyż ta jedna tak się w kółko kręciła, że jej porachować nie mogłem.” Młody człowiek, wzięty do wojska. błaga o uwolnienie, ze względu, że jest jedynym synem wdowy, *która go utrzymuje.*“

Humor amerykański zasadza się po większej części na mieszaninie rzeczy arcy poważnych z zabawnymi, na fałszu bijącym w oczy, który za prawdę uchodzić pragnie, lub na prawdzie upowszechnionej i pospolitej, która ma pretensję do nowości. Kochają się też w takich porównaniach i zwrotach, które są zabawne przez niespodziankę zawartą w ostatnich paru wyrazach.

„Statek tak lekki, że można nim żeglować.. *po rosie.* „Ów człowiek był tak ciężki, że cień jego spadłszy na chłopca... *zabił go.*

Albo taki napis na nagrobku żony:

Tu, pod tym żona moja pochowana głazem!
Teraz ona w spokoju—*a i ja zarazem!*...

Dowcip amerykański ma trzy korzenie główne, wyrastające z charakteru narodowego i ściśle związane z pierwszą historią Amerykanów.

Na pierwszym planie stoi kolizja pomiędzy interesem a bogobojnością; jest to źródło obfite komedii dla cudzoziemców. Ci pierwsi ojcowie emigranci, którzy wyszli dla zdobycia nowego świata i wytworzenia nowej cywilizacji, tak byli przezorni wielce, jak pobożni.

Będąc nawet męczennikami idei religijnych, wcielali się w stronę praktyczną życia rzeczywistego,

— Janie — mówi pobożny handlarz amerykański—czyś pomieszał piasek z cukrem?—Tak, panie.—Dodałeś słoniny do masła?—Tak, panie.—Pomączyłeś imbir?—Tak, panie.—No, to idź do pacierza.

Satyra Irvinga, wymierzona przeciwko prawni-

kowi Yankesów, który, ujrawszy widmo, nawrócił się i już odtąd nigdy nie oszukiwał „z wyjątkiem, gdy o jego własną korzyść chodziło“, uderza właśnie w to faryzeuszowstwo religijne, które bez względu na swą ohydę moralną stanowi dla pisarzy amerykańskich skarbnicę humoru niewyczerpaną.

Inną podstawą tego humoru jest kontrast narodowy, jaki istnieje dla każdego Amerykanina pomiędzy Yankesem a biednym czerwonoskórym. Irving i Ward stworzyli do spółki na ten temat wielką sztukę p. t. *Knickerbocker*.

Wreszcie kontrast pomiędzy kolosalnością natury amerykańskiej a małością człowieka, zwłaszcza europejskiego, zdaje się być niewysychającym nigdy źródłem zabawy dla humorystów.

Podług dowcipu jednego z nich Niagara zgasiła by Wezuwiusz w dziesięć minut. Największe rzeki nasze są w porównaniu z Missisipi i Missuri tylko strumykami szemrzącymi. Alpy i Pireneje—to karły, a pola nasze i drzewa mają się jak pastwiska i krzewy do lasów dziewiczych i stepów bezbrzeżnych Ameryki. Turysta-Yankes, zapytany jak mu się podobala Wight, wyspa angielska, odpowiedział: „Dość ładna, lecz niebezpieczna, gdyż można bardzo łatwo spaść z łóżka w morze, tak jest maleńka.“ Umieją też Amerykanie drwić i z siebie.

„Mężowie z Rochester—przemawia Webster do mieszkańców tego miasta—cieszę się, że widzę i was i gród wasz zacny. Dżentlemani! Widzę wasz wodospad, który ma 150 stóp wysokości. Jest to fakt bardzo interesujący. Dżentelmeni! Rzym miał swego Cezara, swego Scypiona, swego Brutusa; lecz Rzym w najświetniejszych dniach swoich nie miał *nigdy* wodospadu o 150 stopach wysokości. Dżentelmeni! Grecya miała swego Peryklesa, swego Demostenesa, swego Sokratesa, lecz Grecya w najświetniejszych dniach swoich *nigdy* nie miała wodospadu 150 stóp wysokiego. Mężowie z Rochester! Ten naród nie

straci swojej wolności, który ma wodospad na 150 stóp wysoki.“ — Albo inna humoreska o Ameryce:

„To jest kraj sławny! Ma on rzeki dłuższe, błotnistsze, głębsze, bystrzejsze, wznoszące się wyżej i spadające niżej a czyniące więcej szkody niż jakiegokolwiek rzeki na świecie! Nasze wagony są obszerniejsze, wspanialsze, wykoleją się częściej i zabijają ludzi daleko więcej niż wszystkie koleje świata. Parostatki nasze wiozą więcej ciężaru, są dłuższe i szersze, kotły zaś na nich wybuchają daleko częściej i wyrzucają pasażerów nierównie wyżej niż parostatki innych narodów. Nasi mężczyźni są wyżsi i grubszy, biją się częściej i lepiej, piją mniej wódki i palą mniej tytoniu, a plują dalej i wyżej niżeli w innych krainach. Panie nasze są bogatsze, piękniejsze, marnują więcej pieniędzy, łamią serc więcej, noszą pierścionki grubsze a suknie krótsze, wyzywają zaś dyabła daleko lepiej niż inne niewiasty w świecie. Dzieci nasze krzyczą głośniejsze, rosną szybciej, są zbyt wybujałe w stosunku do swoich majątek i dochodzą do lat dwudziestu o kilka miesięcy wcześniej niż inne dzieci we wszystkich krainach świata.“

W licznym szeregu humorystów amerykańskich najwyżej stanął pod każdym względem i największą cieszy się popularnością równie za oceanem, jak w Europie, Samuel Langhorne Clemens, piszący pod pseudonimem Marka Twaina.

Clemens urodził się we Florydzie 30 listopada r. 1835, a dzieciństwo swoje spędził w mieście Hannibal nad brzegiem Mississipi. W owym czasie rzeka ta była wielkim gościńcem handlowym pomiędzy stanami średnio zachodnimi a Nowym Orleanem, statki więc najrozmaitszego typu przepływały nieustannie, pochłaniając uwagę całą i zajęcie wszystkich mieszkańców nadbrzeżnych. Nic też dziwnego, że wśród chłopców panowała ambicya najwyższa zostania żeglarzem, sternikiem i kapitanem. Jakoż mały Cle-

mens błagał rodziców, żeby go oddali na jeden z parostatków krążących pomiędzy St. Louis a Orleanem, rodzina jednak, nie uwzględniając prośby chłopca, oddała go na naukę do drukarni brata, w 14 roku życia. Wyuczywszy się drukarstwa, Clemens pracował następnie w St. Louis, Cincinnati, Filadelfii, New-Yorku i innych wielkich miastach. Niezadowolony wszakże z tego zajęcia wrócił na zachód, żeby urzeczywistnić dziecinne marzenia swoje i zostać żeglarzem na Mississipi. Jakoż zostawszy nim, z całą gorliwością młodzieńczą, jak sam się wyraża „learned the river“ t. j. studyował rzekę. Właśnie wtedy zdobył swój pseudonim. Przy sondowaniu rzeki wołano zwykle: „Mark one“, „Mark twain“, „Mark three“ i t. d., co znaczy jedna, dwie, trzy miary. Osluchawszy się tych wykrzykników, przyjął Clemens później „Mark Twain“ za swe nazwisko literackie.

Gdy w r. 1861 żeglarstwo na Mississipi upadło, Clemens udał się do Newady, jako sekretarz swego brata, który był agentem rządowym przy kopalniach srebra i w tej dzikiej krainie wystąpił po raz pierwszy jako dziennikarz, pod pseudonimem Marka Twain'a. Opuściwszy Newadę zwiedził Kalifornię i inne miejscowości w Stanach zachodnich. W czasie tych wędrówek był kolejno komisantem, dziennikarzem, wydawcą i prelegentem. W r. 1863 zaczął opisywać swe podróże w redagowanym przez siebie dzienniku „Virginia City Enterprise“. W roku następnym osiadł w San Francisco i tu przez rok jeden wydawał dziennik. W r. 1866 zwiedził wyspy Hawajskie i ztamtąd wrócił do Stanów Zjednoczonych z odczytami o swych podróżach, którei zjednał sobie rozgłos niemały. W r. 1867 zwiedził Stany wschodnie, a po przyjeździe do Nowego-Yorku wystąpił po raz pierwszy z książką p. t. *The jumping Frog and other Sketches* („Żaba skacząca i inne szkice“), która swoim świeżym humorem zwróciła ogólną uwagę na

autora. W r. 1867 razem z turystami amerykańskimi odbył podróż po morzu Śródziemnym, zwiedził Palestynę, Egipt, a w końcu i Europę. Podróż tę opisał w książkę p. t. *The innocents Abroad* („Niewinni po za domem“), która w ciągu pięciu miesięcy uczyniła autora sławnym, gdzie tylko mówią po angielsku, a podług Forda „wslawiła imię Twaina po koniec świata.“ Odrąciwszy ową przesadę, przyznać musimy, że w „Niewinnych“ złożył autor dowody talentu pierwszorzędnego w kierunku humorystycznym. Ten opis podróży jest właściwie satyrą, ośmieszającą tego rodzaju opisy. Miasta historyczne, pałace, muzea, dzieła sztuki a nawet rzeki i góry przedstawiał autor swawolny w świetle i w barwach nawskroś humorystycznych, jakgdyby odkrywając nową zupełnie Europę. Praca ta miała powodzenie tak olbrzymie i powszechne, że podług słów Wright'a już sama wzmianka o autorze „Niewinnych“ wszędzie wesołość budziła. W r. 1870 Clemens osiadł w Buffalo i wydawał tu dziennik p. t. „The Buffalo Express“, oraz drukował mnóstwo artykułów literackich i humorystycznych w piśmie nowoyorskiem „Galaxy Magazine.“

W r. 1872, po ożenieniu się z kolosalnie bogatą p. Langdon, przyjechał do Anglii z odczytami, które miały wielkie powodzenie, a po powrocie osiadł na stałe w Hartford, w blizkiem sąsiedztwie pani Beecher Stove, słynnej autorki „Chaty Wuja Toma.“

Następna z kolei książka Twaina, nosząca tytuł *Roughing it*, przedstawia sceny z życia górników w Newadzie, pełne ruchu prawdy i humoru. W roku 1874 wystawił Clemens komedię *The Gilded Age* („Wiek złoty“), graną w Ameryce z powodzeniem. Bohaterem sztuki jest pułkownik Sellars, jeden z tych zapaleńców gorączki złotej, którym się zdaje, że bez pracy do fortuny olbrzymiej dojść można.

Przy talencie humorystycznym Mark Twain jest psychologiem w analizach subtelnych natury

ludzkiej, oraz posiada pewną skłonność do opowieści patetycznych. Nic w tem dziwnego; źródło śmiechu graniczy niesłychanie blisko z krynicą łez.

W opowiadaniu p. t. *Tom Sawyer* (1874) autor przedstawia świat dziecinny z wyborną znajomością i widocznem ukochaniem przedmiotu. Bohater opowieści Tom i przyjaciel jego Huck, obaj dziewięcioletni chłopcy, otoczeni całym gronem rówieśników, wypełniają książkę swoim urwisowstwem arcyzabawnem i do pewnego stopnia romantycznym. Do tej samej kategorii należy następna opowieść *The Adventures of Hucklebery Finn* („Przygody Hucka“) napisana dopiero w r. 1885 a mająca nieporównanie wyższą wartość od poprzedniej. Rzecz tę, wysoce oryginalną i ciekawą, dajemy właśnie czytelnikom naszym w przekładzie polskim, nadmieniając tylko, gwoli wyjaśnieniu zasadniczych w niej szczegółów, że wypadki przedstawione w tej powieści rozgrywają się w epoce, kiedy jeszcze kwitło niewolnictwo w Ameryce i kiedy nietylko prawo zajadle ścigało tych wszystkich, którzyby pomagali murzynowi w ucieczce lub opiekowali się zbiegiem, ale i opinia publiczna piętnowała tego rodzaju objawy humanitarne.

Punch, brothers, Punch jest humoreską (1878) nie stojącą na wysokości poprzednich. To samo powiedzieć trzeba o *The decay of Lying* („Upadek kłamstwa“), *Crime in Connecticut* („Zbrodnia w Konnektikut“) trawestacji poematu Edgara Poe i *The Stolen White Elephant* („Biały niedźwiedź skradziony“). Za to *Tramp Abroad* („Włóczęga na obczyźnie“) ma wartość niepospolitą (r. 1880). Jest to w rzeczywistości rodzaj wybornego przewodnika po Europie, ilustrowanego mnóstwem dowcipów i żartów. Najzabawniejszą część książki stanowią *Appendices*, wśród których spotykamy humoreskę o języku niemieckim i niezbędnej jego reformie. Wyrazy niemieckie, podług autora, „są tak długie, że posiadają... perspektywę; na oznaczenie rzeczy niema wyrazów, ale całe pro-

cesye alfabetyczne.“ „Możesz przyczepić -- pisze autor — jakikolwiek wyraz do końca innego i otrzymasz znaczenie według woli. Zaczynij od „Schlag-Ader“ co znaczy arterya, a przystawiając na końcu wszystkie wyrazy ze słownika będziesz miał za każdym razem co innego. Taką samą przysługę odda i wyraz „Zug.“ Jabym dla udoskonalenia mowy niemieckiej projektował przedewszystkiem zniesienie celownika, który niepotrzebnie bruździ w liczbie mnogiej, posunąłbym czasownik ku frontowi, żeby raz przecie zszedł się z podmiotem, przeniósłbym kilka wyrazów silnych z angielskiego, zreorganizowałbym pleć zgodnie z wolą Stwórcy, wyrzuciłbym do licha owe nieskończonej długości wyrazy złożone, albo je podzielił na sekcye dla wypoczynku mówiącego, gdyż pokarm umysłowy, jak każdy inny, przyjemniej spożywać łyżką niż szuflą. Zaleciłbym mówcom zatrzymywać się w miejscu właściwem, bez dochodzenia do nieszczęsnych „haben sind gewesen gehabt haben gewroden sein“, które każdą mowę zamykają. Wreszcie zniósłbym nawiasy, a zatrzymawszy tylko wyrazy „Schlag“ i „Zug“ z ich odpowiednikami, i wyraz „also“ wyrzuciłbym resztę ze słownika. Toby znacznie język uprościło! Moje studia filologiczne doprowadziły mnie do przekonania, że jeśli osoba rozgarnięta mogłaby nauczyć się (prócz wymowy) języka angielskiego w 40 godzinach, francuskiego w 40 dniach, to niemieckiego w lat 40.“

W powieści p. t. *The Prince and the Pauper* („Książę i Biedak“) autor daje nam obraz życia w czasach Edwarda VI, króla Anglii, przedstawiając czytelnikowi Londyn w początkach wieku XVI, z jego pałacami i lepiankami, ze słynnym Tower'em napełnionym więźniami ze sfer wyższych, z paradami wojskowemi i t. p. Bajka, zasadzająca się na zamianie stroju pomiędzy młodziutkim królem Edwardem a biedakiem Tomem Canty, oraz na przeróżnych

następstwach tej zamiany, grzeszy nadmierną patetycznością.

Do najpiękniejszych utworów Clemensa należy *Life on the Mississippi*, w którym to dziele autor z wielkim artyzmem odtworzył życie żeglarzów, tak kiedyś przezeń umiłowane. Pełno tu pięknych opisów przyrody i malowniczych obrazów społeczeństwa amerykańskiego w danej epoce.

W powieści p. t. *A Connecticut Yankee in King Arthur's Court* („Yankes na dworze króla Artura“) Twain przeniósł typowego Yankesa czasów dzisiejszych w epokę „Stołu Okrągłego.“ Przygody swoje razem z królem Arturem i z Lancelotem, pogardę dla zwyczajów rycerstwa i niesmak, jaki mu sprawia ciemnota rycerzów „Stołu Okrągłego“, opowiada zabawnie sam bohater, który uzbrojony w wiedzę nowożytną, góruje nad Merlińem, czarnoksiężnikiem, wprowadza do kraju telefony i bicykle, urządza faktorye i szkoły, przekształcając starą Brytanię w nowożytną.

W powieści *Pudd'n Head Wilson* autor złożył jeden dowód więcej, że jest dzielnym obserwatorem życia i że umie wnikać głęboko w dusze swoich współziomków. Jak w „Tomie“ i „Hucku“ przedstawia typowe dzieci amerykańskie, tak tu z dużą plastyką nakreślił charakter męża.

The Personal Recollections of Joan of Arc jest romanssem historycznym o męźnej Dziewicy Orleańskiej. Do dzieła tego Twain przez rok zbierał w Paryżu materyały z gorliwością największą historyka.

Oto wszystkie prace ważniejsze Marka Twain'a. Komu wystarczy zdanie Thackeraya, że celem głównym pisarza humorysty jest rozbudzanie i utrwalanie miłości, współczucia, dobroczynności i miłosierdzia dla słabych, biednych, uciśnionych i nieszczęśliwych, a wstrętu i pogardy dla fałszu, pychy i wszelakiego szalbierstwa; jeśli od humorysty wymagamy,

żeby był nietylko bawicielem swych czytelników, lecz i artystą, który w całej pełni daje nam intuicję swoją o świecie i życiu ludzkim, jeśli zadawała nas tylko taki humor, który posiada siłę twórczą, będącą wyjątkowym przywilejem umysłów niepospolitych, to i przy takim sprawdzianie możemy przyznać Twainowi, że jest prawdziwym humorystą.

Ma on pióro cięte i ostre, a serce miękkie i szlachetne. Śmieje się z głupoty, piętnuje zło, w najgorszym jednak okazy ludzkim widzi człowieka i ma dlań pewne współczucie. Gdyby czytelnik nie wiedział od biografów Twaina, że jest on człowiekiem najzacniejszym, samby się o tem przekonał z jego utworów. Przedewszystkiem kto tak kocha dzieci, nie już jak ojciec, bo to zwykłe, ale jako obywatel kraju, widzący w tych istotkach drobnych przyszłe szczęście, wielkość i odrodzenie swego narodu — ten już dobrym być musi. Obcuje on też z dziećmi w swoich utworach z rozkoszą bardzo widoczną i jest ich psychologiem znakomitym. Co to za świetny epizod miłości 9-letniego chłopca i 7-letniej dziewczynki w „Tomku Sawyer.“ Co za prawda w przedstawieniu humorystycznym zabawnego romansu tych dwojga dzieci!... Jak dalece Twain umiłował te przyszłe pociechy narodu, świadczy między innymi pełen humoru a dziwnie rozrzewniający toast, jaki wznosił w imieniu dzieci („the toast of the Babies“) na ucztach w Chicago, wydanej dla niego przez generała Granta.

Humor Twaina, zbyt powierzchowny i gwałtowny w pierwszych utworach, pogłębił się z czasem i uspokoił, co świadczy o ciąglem doskonaleniu się tego pisarza, który celuje również w niezmiernie malowniczym odtwarzaniu cudów przyrody, gorąco przez niego ukochanej.

Powodzenie Twaina, jako pisarza, jest w Ameryce kolosalne; ceni go również i Europa, która przyswoiła sobie prawie wszystkie jego utwory. To też

każdy wiersz Twaina idzie obecnie na wagę złota. Biografowie jego podają, że do roku 1894 zarobił piórem 80,000 funtów szterlingów.

Twain jednak umiał zdobywać nietylko złoto, lecz, co więcej znaczy, miłość ludzi. „Jest on kochany—mówi historyk Wright—(„American men of Letters“) i w domu i po za domem, gdyż dzięki swemu charakterowi zdobywa wszędzie przyjaciół.“ „Niech nam Twain żyje jak najdłużej — tak kończy swą pracę o nim Robert Ford („American Humourists recent and living“), gdyż swoim piórem daje współziomkom więcej zdrowia i szczęścia, niżeli cała armia doktorów ze skalpelami i apteką.“

Dodajmy wreszcie, że od paru lat Mark Twain przebywa w Kaltenleutgeben, pod Wiedniem, ze swą rodziną i że tam właśnie utalentowany rodak nasz H. Rauchinger zrobił kredką wyborny portret Twaina, który właśnie, podług fotografii wiedeńskiej, czytelnikom naszym podajemy.

J. Ą. Świącicki.

ROZDZIAŁ I.

Cywilizowanie Huck'a. — Mojżesz w trzcinach. — Miss Watson. — Tomek Sawyer czeka na mnie.

Muszę państwu powiedzieć, że ja i Tomek Sawyer, mój przyjaciel, znaleźliśmy pieniądze, które rabusie ukryli byli w jaskini, i to nas zubożyło. Dostaliśmy każdy po sześć tysięcy talarów, samem złotem. Otóż sędzia Thalecher wziął je i oddał na procent, co nam przynosiło każdemu po dolarze dziennie, przez rok cały. Wdowa Douglas'owa wzięła mnie do siebie za syna i obiecała, że mnie ucywilizuje; ciężko jednak było wytrwać w tym domu, tak okropnie porządną i przyzwoitą była wdowa i wszystkie jej postęпки. To też ile razy nie mogłem wytrzymać, wymykałem się, włożywszy na siebie stare lachmany i kapelusz od głowy cukru; czułem się całkiem swobodny. Tomek Sawyer zawsze mi obiecywał, że zebrawszy bandę rozbójników i stanąwszy na jej czele, przyłączy mnie do niej, bylebym tylko pozostał u wdowy i porządne wiódł życie. Wracałem też do niej.

Wdowa płakała nademną, nazywając mnie biedną owieczką zbląkaną i różne inne dając mi przezwiska, któremi zresztą nie chciała mnie krzywdzić. Sprawiała mi też nowe ubranie, w którym się strasznie pocilem, bo było ciasne. Gdy wdowa zadzwoniła na wieczerzę, trzeba było zaraz przychodzić i czekać, aż ona, spuściwszy głowę, pomruczy trochę nad jedzeniem, które, prawdę rzekłszy, było niczego.

Po wieczerzy wdowa wydobywała księgę i uczyła mnie o Mojżeszcu i o trzcinach. Aż poty na mnie biły, tak pragnąłem dowiedzieć się wszystkiego o Mojżeszcu, ale gdy się pokazało, że on już oddawna nie żyje, przestałem dbać o niego, bo co mnie tam obchodzi umarli.

Dość wcześnie uczuwszy pociąg do tytoniu, prosiłem wdowy, żeby mi palić pozwoliła; otrzymałem jednak odpowiedź, że to brzydki nałóg, że z tego w domu nieporządek, że więc palić nie powinienem. Są widać osoby przyzwyczajone do powstawania na to, o czem nie mają pojęcia. Wdowa zawracała mi głowę Mojżeszem, który jej ani brat, ani swat, i nikogo nie obchodzi skoro już umarł i broniła mi palić, a sama zażywała tabakę, uważając to, ma się rozumieć, za dobre — ponieważ to ona robiła.

Siostra jej, miss Watson, przychuda nieco stara panna, z puklami w obwarzanek zwiniętymi na skroni, zamieszkawszy z nią, gnębiła mnie elementarzem, znęcając się nademną codzien przez pół godziny. Nie mógłbym wytrzymać dłużej! Potem z dobrą godzinę bywało śmiertelnie nudno, więc też **czynałem się kręcić**. Wtedy miss Watson mawiała:

— Huckleberry, po co kładziesz tu nogi?“—albo: Nie garb się tak, siedź prosto.

W parę minut znów zrzedziła:

— Nie otwieraj ust, nie przeciągaj się tak; dlaczego nie siedzisz przyzwoicie—i opowiadała mi o tem miejscu, gdzie duszę idą za karę. Gdy rzekłem, że chciałbym się tam dostać, aż oniemiała ze zgrozy, choć nie miałem zamiaru powiedzieć nic złego. Poprostu pilno mi było pójść sobie gdzieindziej, pragnąłem zmiany, nie będąc wcale wybredny w wyborze miejsca. Miss Watson twierdziła, że to grzech tak mówić i że ona za nic w świecie nie powiedziała by tego, albowiem pragnie się dostać do miejsca wiecznej szczęśliwości. Nie widząc żadnej dla siebie korzyści w przebywaniu gdziekolwiek z nią razem, postanowiłem nie starać się o to. Tego jednak nie powiedziałem, bo byłaby nowa historia, a pożytku żadnego.

Górze tedy wzięwszy nademną, poczęła opowiadać wszystko, co tylko jej było wiadomo o miejscu onej szczęśliwości. Mówiła, że człowiek, nic tam nie robiąc, będzie tylko siedział z harfą i śpiewał. Jakoś mi się to nie zdawało, alem nie pisał ani słówka. Spytałem tylko, czy Tomek Sawyer tam pójdzie? A ona: Nie! daleko mu do tego! Bardzom się tedy ucieszył, chciałem bowiem, żebyśmy zawsze byli razem.

Ale miss Watson ciągle cierpiała coś do mnie, aż mi się to w końcu uprzykrzyło. Niezadługo potem zaczęła sprowadzać wszystkich murzynów na pacierz, a po pacierzu iść musiał każdy do łóżka. I ja więc poszedłem do swego pokoju z kawałkiem

świecy, a postawiwszy ją na stole, sam siadłem na krześle przy oknie i próbowałem myśleć o czemś wesołym, ale napróżno. Czuję się taki sam i taki smutny, że prawie śmierci już pragnął. Gwiazdy świeciły na niebie, w pobliskim lesie posępnie jakoś szumiały liście; w oddali odzywała się sowa, zawadzając po kimś, kto już umarł; przy domu pies i puszczczyk, wzajemnie sobie wtórując, zapowiadały śmierć komuś; wiatr usiłował coś mi powiedzieć, coś do ucha szepnąć, a ja nie mogłem zrozumieć, o co idzie i aż mnie dreszcze przejęły. Zapragnąłem jakiegoś towarzystwa. Aż oto pajak zaczął mi leżeć po ramieniu. Strąciłem go tak silnie, że wpadł w płomień; zanim zdążyłem dobiec do stołu, już był nieżywy. Nie wątpię, że to zły znak i że śmierć pajaka pewno mi smutek przyniesie, to też przestraszony, zacząłem z siebie zrywać ubranie. Po trzech obrotach w kółko, przy żegnaniu się za każdym razem, wziąłem promień swych włosów i szczelnie obwiązałem go nitką, aby oddalić od siebie czarownice, które urzec mnie mogły. Lecz to mi spokoju nie przywróciło. Drżąc ze strachu, wydobyłem fajeczkę, aby się trochę zaciągnąć, pewny, że mnie teraz wdowa nie złapie. Siedząc tak, słyszę, że w pobliskim mieście zaczyna bić zegar. Bum! bum! bum! dwanaście razy uderzył—potem znów cisza. Wtem, na dole, pośród drzew, gałązka trzeszczy złamana... coś się tam rusza! Prawie tłumiając oddech, słuchałem. Po chwili zaledwim dosłyszał na dole: „Mia-u! Mi-a-u-u!“ Doskonale! Więc ja też: „Mia-u! Mi-a-u-u!“ jak najciszej... Zdmuchnąwszy świecę, wyszedłem przez okno na gzems, biegnący wokół domu. Ztamtąd zsuną-

łem się na ziemię i podpełzłem pomiędzy drzewami w głąb ogrodu, gdzie, ma się rozumieć, czekał na mnie... Któżby inny, jak nie Tomek Sawyer!

ROZDZIAŁ II.

**Chłopcy wymykają się Jim'owi.—Banda rozbójnicza.
Plany głęboko obmyślane.**

Szliśmy na palcach ścieżyną, która, wijąc się wśród drzew, wiodła na skraj ogrodu. Idąc, musieliśmy pochylać się, żeby gałęzie nie podrapały nam twarzy. Nagle w ciemności potknąłem się o korzeń tuż przy kuchni. Narobiwszy hałasu, musieliśmy przycupnąć do ziemi i leżeć cicho. Jim, ogromny murzyn, należący do miss Watson, siedział w otwartych drzwiach kuchni, widzieliśmy go jak najwyraźniej, przed światłem. Usłyszawszy hałas, wstał, wyciągnął szyję i nasłuchiwał przez parę minut.

— Kto tam?—zapytał.

Znów nasłuchuje, a wreszcie wszedłszy do ogrodu, tak stanął między nami dwoma, że każdy z nas mógł być dotknąć go ręką. Jak na złość zaczęło mnie swędzić kolano, potem ucho, następnie plecy, pomiędzy samemi łopatkami. Zdawało mi się, że umrę, jeżeli się nie podrapię. Już ja to nieraz zauważyłem, że gdy jesteś w przyzwoitem towarzystwie, albo na pogrzebie, albo leżeć musisz, nie mogąc spać wogóle, wówczas, gdy ci się drapać nie wypada, to

odrazu w kilkunastu miejscach poczujesz swędzenie. Po chwili Jim się odzywa:

— Kto tam? Odezwij się. Czy tam jest kto? Bodaj pies zdeptał mego kota, jeżeli ja nie słyszał, że coś chodzi. Wiem, co zrobię. Będę tu siedział, póki znów czego nie usłyszę.

Usiadł więc na ziemi, pomiędzy mną i Tomkiem. Plecami oparł się o drzewo, a nogi wyciągnął przed siebie tak, że jedną prawie dotykał mojej. Poczulem swędzenie w nosie i to tak silne, że aż łzy mi stanęły w oczach, nie podrapałem się jednak, żeby nie zdradzić swej obecności. Małom ze skóry nie wyskoczył, tak mi dokuczalo swędzenie w różnych miejscach. Trwała ta męczarnia kilka minut, a wydała mi się bardzo długą. Gdy już czułem, że nie wytrzymam, Jim zaczął odдыchać ciężko, a potem chrapał.

Wówczas pełzając po cichu na rękach i na kolanach, oddalaliśmy się od Jima coraz bardziej. Nagle Tomek szepnął mi, czyby nie można przywiązać Jim'a do drzewa, ot tak przez figle. Ja nie przystałem. Mógł narobić hałasu i zarazby się wykryło, że mnie niema w domu. Za chwilę potem Tomek postanowił zabrać z kuchni parę świec. Jakoż udało nam się zdobyć trzy świece, za które położył na stole pięć centów. Pomimo, że na mnie aż poty biły z niecierpliwości, Tomek popełnił na czworakach do Jim'a, aby mu spłatać jakiegoś figla. Skoro powrócił, dowiedziałem się, że zdjąwszy Jim'owi kapelusz z głowy, zawiesił go na dość wysokiej gałęzi. Później Murzyn opowiadał, że czarownice urzekły go i pozbawiwszy przytomności, jeździły na nim wierzchem

po okolicy. Pięciodziesiątkę zaś nosił zawsze na szyi, zawieszoną na sznureczku, mówiąc, że to dany mu przez dyabła talizman na każdą chorobę i na sprowadzanie czarownic do usług. Schodzili się ze wsząd murzyni i dawali Jim'owi co kto miał, aby tylko pokazał im tę monetę, ale żaden nie chciał jej dotknąć dlatego, że była w dyabelskim ręku. Jako służący stał się Jim do niczego, tak shardział od chwili, gdy dyabła widział na własne oczy i czarownicom służył za wierzchowca.

Spotkawszy Józia Harper, Benia Rogers i kilku innych chłopców, ukrytych w sadzie zapuszczonym, popłynęliśmy z nimi łódką ku wąwozowi, odległemu na jakie półtrzeci mili. Tu, w krzakach, Tomek, odebrawszy od nas przysięgę, że dochowamy tajemnicy, pokazał nam rozpadlinę, wiodącą w głąb wzgórza, a ukrytą w zaroślach najgęstszych; zapaliwszy świecę, wczółgaliśmy się wewnątrz na czworakach do obszernej jaskini, Tomek zaś, będący na przedzie, wrócił się popod ścianę i znikł niebawem w otworze tak ukrytym, że niktby go się nie był domyślił. Poszliśmy wszyscy jego śladem, a po przejściu przez wąziutki korytarzyk, znaleźliśmy się w małym niby pokoiku, wilgotnym i zimnym. Tomek powiada:

— No! teraz utworzymy bandę rozbójników i nazwiemy ją bandą Tomka Sawyer. Każdy, kto chce do niej należeć, niech złoży przysięgę i krwią podpisze swoje nazwisko.

Zgoda była ogólna i ochocza.

Tomek wy dostał więc arkusz papieru, na którym poprzednio napisał był przysięgę i przeczytał ją głośno. Każdy, z chcących należeć do bandy, zob-

wiązywał się, że święcie dochowa wszystkich tajemnic.

Gdyby który z członków bandy zdradził jej tajemnicę, czekała go za to kara ścięcia, poczem trup jego miał być spalony, popioły na wiatr rzucone, imię jego krwią wykreślone ze spisu członków. Pozostałym wzbraniało się wymawiać imię zdrajcy, które miało być uroczyście przeklęte, a potem na wieki zapomniane.

Wszyscy uznali jednomyślnie, że rota przysięgi jest prześliczna i każdy zapytywał Tomka, czy ją sam ułożył. Tomek odpowiadał każdemu, że trochę sam, a resztę wziął z książek o rozbójnikach morskich i opryszkach.

Niektórzy odezwali się z tem, że należałoby zabijać rodziny zdrajców, którzy wydali tajemnicę stowarzyszenia. Tomkowi podobał się ten pomysł: wziął więc ołówek i dodał kilka słów w tym sensie. Na to odzywa się Benio Rogers:

— No, a Huck Finn? On niema nikogo z rodziny. Cóż z nim będzie?

— Ma przecie ojca—odpowiada Tomek.

— Tak, ma ojca, ale nikt teraz nie wie, gdzie się ten ojciec podziewa. Dawniej widywano go po chlewach, gdzie spał pijany razem z wieprzami, ale od roku przeszło nikt go nie spotkał w tych stonach.

Zaczęli rozprawiać o tem i o mały włos nie wyrzucili mnie z pomiędzy siebie, mówili bowiem, że każdy z nas musi mieć rodzinę, lub kogoś, przeznaczonego do zabicia, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby wśród nas sprawiedliwości. Nikt nie wiedział,

co na to poradzić, milczeli więc wszyscy, zakłopotani. Ja gotów byłem płakać, ale naraz przyszła mi myśl szczęśliwa do głowy:

— Oddam wam miss Watson! — krzyknąłem.

Na co oni, jak jeden, zawołali.

— Prawda! prawda! Można zabić miss Watson! Wszystko w porządku! Przyjmujemy miss Watson! Może Huck do nas należeć.

Poczem każdy szpilką ukłuwszy się w palec, wycisnął kropelkę krwi i nią podpisał swoje nazwisko, kto zaś pisać nie umiał, ten znak swój własnoręcznie położył na papierze.

— A teraz — zaczął Benio Rogers — narodzić się trzeba, jaka będzie działalność stowarzyszenia.

— Żadna inna, prócz grabieży i morderstw! — odparł Tomek.

— Ale kogo i co grabić mamy? Domy, bydło lub...

— Pleciesz! Kto zabiera bydło i tym podobne rzeczy, nie rozbójnikiem jest, lecz złodziejem — odpowiada Tomek.

— My nie złodzieje, jeno rozbójnicy. W maskach na twarzy, zatrzymując na gościńcach wozy z towarami, będziemy zabijali podróżnych, żeby im zabierać zegarki i pieniądze.

— Czy koniecznie zabijać trzeba?

— Koniecznie. Tak wypada. W niektórych książkach czytałem, że lepiej nie, ale w innych uważane to jest za konieczność. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, tych podróżnych, których się tu przyprowadzi do jaskini i trzymać będzie, dopóki nie złożą okupu.

— Okupu? Co to znaczy?

— Nie wiem dobrze... „*Wziąć okup.*“ Tak stoi w książkach, naturalnie więc tak czynić trzeba.

— Ale jakże możemy tak czynić, skoro nie wiemy dobrze, co to jest?

— E! nie nudź. Musimy i koniec. Nie słyszysz, tak w książkach stoi!

— Więc chcesz być rozbójnikiem byle jakim i robić nie to, co potrzeba, lecz to, co ci przyjdzie do głowy?

— Dobrze ci mówić, Tomku, ale jabym tylko chciał wiedzieć, co będzie, jeżeli i nasi jeńcy nie będą rozumieli, co to jest „okup?“ Jak ty myślisz: co to znaczy?

— Nie... nie wiem... Może oni będą wiedzieli...

— A jeżeli nie będą, to co?

— Ha! to trzeba ich będzie trzymać w niewoli, dopóki nie pomrą.

— A! tak, to rozumiem. Tak, to dobrze. Czemużeś odrazu tak nie mówił? Myślę tylko, że będzie z nimi dużo kłopotu, bo to im trzeba jeść dawać i pilnować, żeby nie puciekali.

— Co też ty pleciesz, Beniu? Jakże mogą puciekać, z pod straży, gotowej do zabicia ich, gdy palcem ruszą?

— Straż? A to mi się podoba! Więc musimy pilnować ich dnie i nocę?

— Głupstwo! Dlaczego nie mamy zabić ich odrazu, zamiast czekać aż „wezmą okup“ i umrą?

— Dlatego, że tak stoi w książkach. Powiedz mi raz, Beniu, czy chcesz być prawdziwym rozbójnikiem, czy nie? Albo myślisz może, że ci, co pisali

książki, nie wiedzieli, jakim rozbójnik być powinien? Czy chcesz ich uczyć rozumu i myślisz, żeś ty od nich mędrszy? Nie... Prawda? A więc kiedy nie, to siedź cicho i postępuj według prawideł.

— Dobrze już, dobrze. Nie upieram się, tylko chciałem zrozumieć. A kobiety? Czy także mamy zabijać?

— Słuchaj, Beniu, gdybym tak niczego nie rozumiał, jak ty, to jużbym przynajmniej cicho siedział. Zabijać kobiety? W jakiejże książce powiedziano, że można zabijać kobiety? Nie! Przeprowadziwszy je do jaskini, będziesz dla nich słodki jak cukierek; zawsze skończy się na tem, że kobieta zakocha się w tobie i nie zechce wracać do domu.

— No, kiedy tak, to tak. Tylko widzisz, niezadługo tyle się w jaskini nazbiera kobiet i jeńców czekających na „okup,“ że zabraknie miejsca dla rozbójników. No, ale niech i tak będzie.

Mały Tomuś Barnes rozespał się przez ten czas na dobre; gdy go zbudzono, przestraszył się i zaczął krzyczeć, że on chce iść do domu, do swej mamusi, a nie myśli już wcale być rozbójnikiem.

Inni, śmiejąc się z niego, przezywali go beksą, Tomuś więc rozłoszczony, zagroził wydaniem wszystkich tajemnic. Tomek Sawyer dał mu tedy pięć centów, żeby milczał, nam zaś polecił rozejść się i wyznaczył schadzkę za tydzień.

Benio Rogers oświadczył, że będąc wolnym tylko w niedziele, w inne dni na rozbój chodzić nie może.

Ale wszyscy chłopcy oparli się temu, utrzymu-

jąc, że grzech rozbić w niedzielę jako w dzień Pański.

Poczem, obrawszy Tomka Sawyer dowódcą, a Józia Harper jego namiestnikiem, rozeszliśmy się do domów.

Wróciłem przez okno do pokoju przed samym świtem. Nowe moje ubranie potłuszczone było i całe gliną zawalane, a ja okropnie zmęczony.

ROZDZIAŁ III.

Porządna bura. — Dwie Opatrzności. — Geniusze. — Tomek Sawyer okłamuje mnie.

No, porządną też wziąłem burę nazajutrz rano od starej miss Watson za to, że tak powalał ubranie! Ale co wdowa, to nie łajała mnie wcale, tylko wzięła się do czyszczenia i wywabiania plam, a tyle przy tem miała roboty, tak się zmęczyła, że postanowiłem być lepszym choć przez dni kilka. Właśnie wzięła mnie z sobą miss Watson do maleńkiego pokoiku i zaczęła modlić się ze mną, mówiąc, że o cokolwiekbym prosił, otrzymam. Prosiłem, modliłem się codzień, co rano, ale nie. Nic nie otrzymałem! Próbowałem znów. Nic! Raz dostałem wędkę, ale bez haczyków. Wędka bez haczyków na nic. Prosiłem więc kilka razy o haczyki, ale nadaremnie. Po paru dniach spytałem miss Watson, czy ona nie mo-

głaby prosić za mnie, ale odpowiedziała, że jestem głupi, nie tłumacząc mi nawet, dlaczego.

Pewnego dnia długo nad tem w lesie rozmyślałem: Jeżeli każdy może otrzymać wszystko, o co prosi, dlaczego sąsiad nasz nie może odzyskać pieniędzy, które stracił na wieprzach? Dlaczego miss Watson nie może przytyć troszeczkę? Nie, to coś nie tak, jak mówi miss Watson. Idę tedy do wdowy i pytam jej, jak to jest naprawdę. A ona mi tłumaczy, że każdy otrzymać może to, o co prosi, ale że prosić należy jedynie o „dary duchowe,“ nie zaś o nabytki doczesne. Za mądre to było dla mnie, ale mi zaraz wytłumaczyła: „Powinieneś dopomagać drugim, każdemu dobrze czynić, myśleć o szczęściu drugich, o swoim zaś najmniej. Starszych trzeba szanować i słuchać...“ No, to się już do miss Watson ściąga... z pewnością!

Znów poszedłem do lasu, żeby to sobie obrócić w głowie na wszystkie strony. Nie widząc jednak dla siebie żadnej korzyści w myśleniu ciąglem „o drugich,“ postanowiłem dłużej się tem wcale nie frasować.

Czasami wdowa, wezwawszy mnie, tak opowiadała o Opatrzności, że mi się aż miękko na sercu robiło, ale już nazajutrz z nowych rozpraw miss Watson—o Opatrzności—wyciągałem wnioski wprost odwrotne. Przypuszczałem więc, że muszą być dwie Opatrzności: z Opatrznością wdowy byłoby biedakowi jak u Pana Boga za piecem, ale gdyby go zła pała Opatrzność miss Watson, to już po nim! Wszystko to sobie obmyślawszy, postanowiłem, w razie gdyby mnie przyjęła Opatrzność wdowy, pójść pod

Jej rządy. Nie wiem tylko jakąby ona korzyść ztąd miała, boć ja nieborak głupi i prosty, włóczęga biedny i nic więcej.

Taty nie widział nikt od roku przeszło i bardzo mi z tem było dobrze; nie miałem najmniejszej ochoty znów go zobaczyć. Miał brzydki zwyczaj bić mnie zawsze, nawet gdy był trzeźwy, to też spędzałem w lesie prawie cały czas bytności jego w okolicy. W tych dniach właśnie znaleziono go w rzece, o jakie dwanaście mil od miasta: utonął! Tak przynajmniej mówiono, gdyż topielec tego samego był wzrostu, tak samo obdarty, takie same długie miał włosy—Tatko wykapany! Twarzy tylko rozpoznać nie mogli, bo tak długo leżała w wodzie, że już przestała być twarzą. Zwłoki, płynące na wznak, wydobyto i pogrzebano na brzegu. Ale ja ciągle byłem niespokojny, bo mi zawsze stało na myśli, com kiedyś słyszał: że mężczyzna gdy utonie, wypłynąć na wznak nie może, tylko zawsze twarzą do wody. Pewien więc byłem, że to nie Tatko, lecz jakaś kobieta w stroju męzkim.

Bawiliśmy się od czasu do czasu w rozbójników, z miesiąc może, a potem daliśmy pokój. Nikogośmy nie ograbili, ani zabili, tylko tak udawaliśmy, że napadamy. Czyniąc zasadzki w lesie, uderzaliśmy na ludzi pędzących wieprze do miasta, na kobiety wiozące na targ jarzyny, niewolników jednak nie braliśmy. Tomek Sawyer nazywał wieprze „jeńcami“ a jarzyny „łupem.“

Pewnego dnia Tomek wyprawił jednego z naszych chłopców do miasta i kazał mu biegać po ulicach z zapalonym patykiem, t. j. z „żagwią mordy.“

na znak, że banda powinna się zebrać czempredzej. Po zebraniu powiedział nam, że przez szpiegów swoich ważne otrzymał wiadomości. Nazajutrz stanąć miała obozem w jednej z dolin górskich karawana kupców hiszpańskich i Arabów bogatych, wiodąca z sobą dwieście słoń, sześćset wielbłądów i przeszło tysiąc mułów, objuczonych samemi brylantami; cała zaś straż karawany składała się z czterystu zaledwie żołnierzy. Otóż uczyniwszy zasadzkę, mieliśmy niespodzianie uderzyć na karawanę, rozbić ją i zabrać skarby. Kazał nam broń wyczyścić, opatrzyć i stać w wojennem pogotowiu. Nawet przy pogoniach za wózkiem z rzepą musieliśmy zawsze mieć broń wyczyszczoną, choć składała się ona tylko z kijów od mioteł i blaszanych szabelek, które trzeci można było i szorować do siódmego potu, blacha zaś zawsze była blachą, tak jak kij kijem. Nie wierząc, żebyśmy mogli pobić taką moc Hiszpanów i Arabów, z ciekawości jedynie ujrzenia wielbłądów i słoń, stawilem się nazajutrz, w sobotę, o wyznaczonej godzinie.

Z gęstych zarośli na komendę wodza zbiegliśmy pędem w dolinę. Nie było tam jednak Hiszpanów, ani Arabów, nie było wielbłądów, ani słoń, ale za to spotkaliśmy dzieciaków z niedzielnej szkółki, na majówce.

Napadliśmy na nie i rozpędzili, jedyną wszakże naszą zdobyczą były pierniczki i marmolada. Benio Rogers znalazł wprawdzie zwiniętą z gałganów lalkę, a Józio Harper książeczkę do nabożeństwa, lecz nauczyciel, zmusiwszy nas do oddania łupu, rozpędził bandę. Brylantów nie widziałem wcale i powiedziałem to Tomkowi, on jednak upierał się, że były ich

tam całe fury; byli też i Arabowie, słonie i wszystko, co być miało. Na pytanie moje, dlaczego ja nic nie widziałem, nazywał mnie nieukiem, dodając, że gdybym znał „Don Kichota,” pytałbym nie potrzebował. Stało się to wszystko za sprawą czarów. Nieprzyjaźni nam czarnoksiężnicy przemienili wszystko w dzieciaków z niedzielnej szkółki, w pierniczki i w galarety.

— Skoro tak — odpowiedziałem — to trzeba bić się z czarnoksiężnikami.

— Cóż ty sobie myślisz, głowo cielęca — odparł Tomek — czy to czarnoksiężnik niema całego wojska geniuszów, które cię rozsiekają na drobny mak, zanim powiesz „*Jack Robinson!*” Każdy geniusz wysoki jak drzewo, a gruby jak kościół.

— A jeżeli kilku geniuszów stanie po naszej stronie, czy nie możemy zwyciężyć tamtych?

— Aha! A zkadże weźmiesz geniuszów?

— Nie wiem. Zkadże ich biorą czarnoksiężnicy?

— To co innego. Taki czarnoksiężnik potrzebie pierścień albo starą lampę blaszaną i geniusze hurmem się cisną do niego.. Pioruny biją, grzmot huczy, błyskawice po niebie latają, dym bucha kłębami, a czarnoksiężnik geniuszom rozkazuje i co im powie, to one czynią. Dla nich to nic wyrwać więzę z korzeniami i przerzucić ją sobie przez głowę razem z dyrektorem niedzielnej szkółki.

— Któż ich zmusi do wyrwania więzy?

— Każdy, kto potrzebie lampę albo pierścień. One są poddane każdemu, kto posiada lampę albo pierścień taki i muszą być posłuszne każdemu rozkazowi

swego władcy. Jeżeli im powie: „Zbudujcie mi pałac na czterdzieści mil długi, cały z dyamentów i napełnijcie go od dachu do piwnic cukierkami, porwijcie cesarzowi chińskiemu córkę dla mnie za żonę, one zrobić to muszą i to zaraz, nim słońce wstanie. Więcej ci powiem: muszą na twój rozkaz prznosić ten pałac z miejsca na miejsce i to prędko: raz, dwa, trzy, jak walca tańczył. Rozumiesz?

— Wiesz, co ja myślę? Głupie być muszą te geniusze, jeżeli tak szafują pałacami i cukierkami, zamiast je zatrzymać dla siebie! Niedoczekanie niczyje, żebym ja porzucił to, co robię, i pędził na rozkazy pierwszego lepszego, kto potrze starą lampę albo pierścień!

— Sam nie wiesz, co gadasz, Huck. A ja ci powiadam, że rad nie rad i tybys przyjąć musiał.

— Ja? Gdybym był wysoki, jak to drzewo, a w sobie taki, jak nasz kościół?! No, dobrze, przyszedłbym, ale za to zmusiłbym tego człowieka do wdrapania się na drzewo najwyższe w całym lesie.

— Wiesz, Huck, z tobą gadać nie warto. O niczem nie masz pojęcia! Istna cieleca głowa!

Rozważając to wszystko przez dni kilka, postanowiłem wreszcie przekonać się, czy jest w tem cokolwiek prawdy. Wyszukawszy starą, blaszaną lampę i również stary pierścień żelazny, tarłem go w lesie aż do potu, licząc na to, że zbudowany przez geniusza pałac sprzedam za dobre pieniądze. Ale wszystko na nic! nie przyszedł ani jeden geniusz. Doszedłem więc do wniosku, że cała gadanina była kłamstwem, przez Tomka wymyślone. Może on

zresztą i wierzył zarówno w Arabów, jak i w słonie, ale ja nie. To była poprostu szkółka niedzielna.

ROZDZIAŁ IV.

Powoli naprzód.—Huck i sędzia.—Zabobon.

Uplynęło kilka miesięcy i nadeszła zima. Prawie przez cały ten czas chodziłem do szkoły, umiałem już czytać „spell“ *), pisałem jako tako, umiałem na pamięć tabliczkę mnożenia aż do: „sześć razy siedem, trzydzieści pięć.“ Zdaje mi się jednak, że gdybym żył nie wiem jak długo i przez całe życie chodził do szkoły, tobym nie potrafił nauczyć się jej do końca. Nie mam jakoś zapału do matematyki.

Z początku nie cierpiałem szkoły, ale powoli doszło do tego, że m znosił ją nieźle. Gdy m był zanadto zmęczony nauką, szedłem zamiast do szkoły, na wagusy, a nazajutrz brałem za to odpowiednie natarcie głowy, które mnie orzeźwiało na czas jakiś. Im dłużej zresztą chodziłem do szkoły, tem nauka wydawała mi się łatwiejszą i zabawniejszą. Przyzwyczailem się także do mojej wdowy i dziwactwa

*) W języku angielskim zupełnie inaczej wymawia się, niż pisze. Skutkiem tego w szkołach początkowych wykłada się jako osobny przedmiot: „*Spelling*“. Podczas lekcyi uczniowie głośno wymieniają głoski, składające znane już wyrazy, i tym sposobem obznajmują się z ich pisownią: *Prz. Tł.*

jej przestały mnie razić. Co prawda, okropnie mi było ciężko żyć ciągle wśród czterech ścian i sypiać w łóżku, ale przed nadejściem zimy wykradałem się kiedy niekiedy i spędzałem noc w lesie pod gołym niebem, tak, że miałam trochę odpoczynku i ulgi. Woląłem dawny sposób życia, ale przywykałem do nowego, nawet zaczynałem go lubić. Wdowa mawiała, że postępy czynię: „powoli, ale naprzód“ i bardzo była ze mnie zadowolona, dodając: że mnie się wstydzić nie potrzebuje.

Pewnego dnia przy śniadaniu zdarzył mi się wypadek: przewróciłem solniczkę. Jak najprędzej wyciągnąłem rękę, aby wziąć trochę soli i, dla odwrócenia nieszczęścia, rzucić ją przez lewe ramię poza siebie, ale zburczała mnie miss Watson. „Weźże ze stołu ręce — powiada — zawsze coś zbroić musisz.“ Wdowa wtrąciła jakieś słowo za mną, ale ja już wiedział, że nieszczęście nie da się odwrócić. Wstałem od śniadania w złym humorze, myśląc o tem tylko, z kąd na mnie bieda się zwali.

Są sposoby na odwrócenie pewnych nieszczęść, ale na to, które sprowadza sól rozsypana, nie ma żadnego. Chodziłem więc smutny, ciągle się mając na baczności.

Wkrótce potem, będąc w ogrodzie, spostrzegłem na śniegu jakieś ślady. Ktoś, idąc od lasu ku domowi, postąpił trochę przy bramie i obszedł ogród dookoła popod parkanem. Dziwne to było, że nie wszedł do środka, lecz krążył; przyglądając się bacznie owym śladom, spostrzegłem, że w obcasach lewego buta były ćwieki w kształcie krzyża, mające

odpędzać dyabła. Zerwawszy się w mgnieniu oka, wpadam do sędziego Thatcher'a, zdyszany cały.

— Cóż to, mój chłopcze, tchu złapać nie możesz? Po procent przychodzisz?

— Nie, proszę pana, alboż jest?

— A jakże! Za całe pół roku. Dzisiejszej nocy upłynęło półrocze. Są pieniądze, są, sto pięćdziesiąt dolarów z górą. Niemały to grosz, jak dla ciebie. Daj mi upoważnienie do złączenia tej sumki z kapitałem, bo jeżeli ją weźmiesz do ręki, wydasz wszystko.

— Nie, proszę pana—mówię—nie wydam, nie. Mnie tych pieniędzy nie potrzeba, ani tych, ani sześciu tysięcy. Niech pan sobie wszystko zabierze.

Zdziwił się sędzia, nie mogąc zrozumieć mojej mowy.

— Co to ma znaczyć, mój chłopcze?

— Niech pan się nie pyta. Proszę zabrać wszystko. Czy dobrze?...

— Nic nie rozumiem. Co ci się stało?

— Ja pana na wszystko proszę o wzięcie tych pieniędzy bez żadnych pytań, żebym kłamać nie potrzebował.

Sędzia pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Aha! rozumiem. Chcesz mi pożyczyć swoją własność.

— Tak! Pożyczyć. Rozumie się!

— A cóż? Pożyczkę zaciągnąć mogę.

Napisał więc coś na arkuszu papieru, przeczytał raz i drugi i mówi:

— Oto jest dowód, że pożyczyłem od ciebie sześć tysięcy na lat dziesięć z obowiązkiem wcielania

procentu do kapitału. Podpisz imię i nazwisko. A teraz... masz oto dolara dla ciebie.

Podpisawszy, wziąłem dolara i wróciłem do domu.

Jim, murzyn miss Watson, posiadał kulę ze zbitej sierści, wielką jak pięść, wyjętą z żołądka wołu. Używał on jej do wróżenia, mówiąc, że w środku siedzi duch zaklęty, któremu wszystko wiadome. Zaraz więc powiedziawszy Jimowi, że tatko powrócił, bo widziałem ślady jego na śniegu, prosiłem go o wybadanie ducha, co tatko czynić zamierza i czy długo tu zabawi. Wyjąwszy kulę włosianą, Jim coś nad nią szeptał, a potem rzucił na podłogę. Upadła, lecz nie odbita potoczyła się niedaleko, na cal zaledwie. Znow ją Ijm rzucił raz, drugi i trzeci, a ona zawsze padała tak samo i nie toczyła się wcale. Ukląkł tedy Jim, przyłożył do niej ucho i słuchał, ale napróżno.

— Zdarza się—wyjaśnił murzyn—że kula dopóty nic nie powie, dopóki pieniędzy nie otrzyma.

— Mam starą monetę fałszywą, ćwierć dolara (z rozmysłu nic nie mówiłem o dolarze), może weźmie ją kula, która przecież nie pozna się na niej. Jim powąchał pieniądz, spróbował zębami, potarł go, aż w końcu rzekł: „zrobię tak, żeby kula wzięła ten pieniądz za prawdziwy. Nadkroję surowy kartofel i wsadzę w środek monetę na całą noc. Gdy zaśnie, weźmie ją każdy za dobrą. A już co kula włosiana, to wcale się na niej nie pozna.“

Dobrze mówił Jim; ja i bez niego wiedziałem, że kartofel na to najlepszy, tylko nie wiem, dlaczego zapomniałem.

Ijm wsadził monetę pod kulę, znow przykląkł,

ucho przyłożył i słuchał. Tym razem kula oświadczyła, że gotowa mi przepowiedzieć całe życie. Ja na to: „i owszem.“ Gadała więc kula Jimowi a Jim powtarzał mnie. Mówiła tak:

— Ojciec twój do tej pory nie wie jeszcze, co zrobi. Czasem zamierza pójść het, daleko, czasem znów mówi, że zostanie. Niech robi, co chce. Unoszą się nad nim dwa anioły. Jeden aż lśni od białości, drugi czarny. Biały skłania ku dobremu, czarny przeszkadza. Nie można jeszcze przewidzieć, który zwycięży. O siebie bądź spokojny. Pomimo wielkich kłopotów i zmartwień, czeka cię w końcu wielka radość i szczęście. Stoją koło ciebie dwie panny. Jedna biała, a druga czarna, jedna bogata, druga uboga. Ożenisz się pierwej z ubogą, później z bogatą. Strzeż się wody, nie puszczaj się na nią, bo za wodą wielką śmierć twoja stoi i czeka...”

Gdy powróciłem do swego pokoiku, czekał tam na mnie mój tatko we własnej swojej osobie.

ROZDZIAŁ V.

Ojciec Huck'a.—Czuły „tatko.“—Poprawa.

Wszedłszy, zamknąłem drzwi, odwracam się i widzę: tatko! Zazwyczaj drżałem przed nim, gdyż bił mnie, ile się zmieściło. Ojciec mój miał lat pięćdziesiąt z górą i na tyle wyglądał. Czarne włosy długie, potargane i zatłuszczone tak spadały na twarz,

że mu prawie oczu widać nie było. Nosił też i' bokbrody; twarz białą, bladą, zaledwie można było dojrzeć przez włosy. Łachmany zaledwie się na nim trzymały. Gdy siedząc założył nogę na nogę, z jednego buta wyglądały dwa palce, któremi od czasu do czasu poruszał. Na podłodze położył kapelusz stary, czarny, pikowy, którego dno oddarte wpadało do środka, przypominając wieko od pudełka.

On patrzył na mnie, ja na niego. Postawiwszy świecę na stole, spostrzegłem, że okno otwarte: musiał wejść po gzemsi na balkon. Po długim milczeniu rzekł wreszcie:

— A to mi elegant, co się zowie. Pewno się masz za coś wielkiego? Może nie?

— Może się mam, a może i nie mam — odzlekłem.

— Nie rozpuszczaj buzi tak śmiało! Strasznieś głowę zadarł podczas mojej nieobecności. Przytrę ja ci rogów, nim cię z rąk wypuszczę. Podobno jesteś uczony: umiesz czytać i pisać? Masz się za coś lepszego od ojca? Co? prawda? Ale ja to z ciebie wytrzęsę. Kto ci powiedział, że możesz się bawić w taką głupotę, jak uczoneść? He? Pytam się ciebie, kto ci to powiedział?

— Wdowa.

— Wdowa? To tak? A wdowie kto powiedział, że może wtykać swój nos w cudze sprawy?

— Nikt jej tego nie mówił.

— No to ja ją oduczę wtykania nosa. Słuchajno: rzucisz mi szkołę, rozumiesz? Ja im pokażę, co to jest tak wychowywać chłopca, żeby zadzierał nosa, patrzył z góry na ojca i miał siebie za coś le-

pszego. Niech ja cię złapię w tej szkole! Popamiętasz ty mnie! Matka twoja, rodzona matka, czytać nie umiała... i pisać także! Nikt w rodzinie naszej nie umiał czytać ani pisać... do samej śmierci. I ja nie umiem, a ty się będziesz nadymał swoją mądrością! Ja nie taki, żebym to znosił—rozumiesz? Weź książkę, niechno usłyszę, jak ty czytasz?

Zaledwie przeczytałeni kilka wierszy o Waszyngtonie, ojciec dał książce takiego przytyka, że wypadła mi z ręki o kilka kroków.

— No, teraz widzę, że umiesz czytać. Ale słuchaj: daj sobie pokój z tym rozumem. Ja tego nie chcę. Niechno cię przydybię, ty elegancie, w bliskości szkoły, skórą odpowiesz mi za to. Przedewszystkiem religię mieć trzeba: czcić ojca i matkę. Co z ciebie za syn wyrośnie?

Wziąwszy do ręki mały obrazek, przedstawiający żółte krowy i chłopczyka niebiesko ubranego, pyta:

— Co to?

— Nagroda za dobrą naukę.

Rozdarł obrazek na dwoje, mówiąc z cicha:

— Ja tobie dam coś lepszego: wygarbuję ci skórę, co się zowie! .

Siedział jakiś czas, mrużąc coś pod nosem, a w końcu rzekł:

— Jaki to z ciebie paniczyk! Łóżko, pościel, lustro, dywanik na podłodze, fiu, fiu! A rodzony ojciec musi ze świniami sypiać w chlewie! Jak żyję, nie widziałem takiego syna. Że ja cię oduczę tych grymasów, to pewno. Z rąk nie popuszczę! Tony sobie jakieś będziesz nadawał? Ja ci pokażę tony!

Powiadają, że masz pieniądze. Jakie pieniądze? Zkąd? Gadaj.

— Nieprawdę mówią.

— Mów-no ty do mnie, jak się patrzy, bo się moja cierpliwość przebierze. Gadaj prawdę. W miasteczku wszyscy o tem gadają, żeś bogaty. Wszyscy powtarzają to samo. Dlatego przyszedłem. Jutro zaraz oddasz mi pieniądze.

— Nie mam żadnych pieniędzy.

— Nieprawda: Są u sędziego Thatcher'a. Odbierz i daj mi, bo potrzebuję.

— Powiadam tatce, że nie mam żadnych pieniędzy. Proszę się spytać pana sędziego.

— Dobrze, zapytam się. Gadaj zaraz: ile masz w kieszeni?

— Mam tylko dolara; potrzebny mi...

— Mało mnie to obchodzi. Dawaj go zaraz.

Wypróbował w zębach dolara, powiedział, że pójdzie do miasteczka po wódkę, której jakoby dnia tego nie miał w ustach—i wyszedł przez okno.

Po dobrej chwili, gdy już byłem pewny, że go nie ma, wsadził głowę do pokoju, wołając: A pamiętaj, co ci mówiłem, żebyś się nie kręcił koło szkoły.

Nazajutrz poszedł pijany do sędziego, żeby odebrać moje pieniądze. Spotkawszy odmowę, zaprzysiął zemstę i sądowe dochodzenie owych pieniędzy.

Sędzia i wdowa podali prośbę do sądu o odebranie mnie ojcu i ustanowienie opiekuna. Ale gdy przybył nowy sędzia, który tatki nie znał i nikogo w mieście, nie pozwolił na rozłączenie mnie z ojcem.

Pod ciągłą groźbą ojca pożyczyłem od sędziego

Thatcher'a trzy dolary, za które, upiwszy się, takich narobił awantur w mieście, że go wreszcie wsadzili do kozy na tydzień.

Tymczasem nowy sędzia postanowił zająć się ojcem. Wziął go do swego domu, ubrał czysto od stóp do głowy, sadzał do stołu ze swą rodziną i był dla niego prawdziwym dobrodziejem. Po wieczerzy rozmawiał z nim o wstrzeźliwości, o poprawie, a tak pięknie, że stary, płacząc, przeklinał swoją głupotę i solennie przyrzekał rozpocząć żywot uczciwy, byleby mu sędzia swojej pomocy nie odmawiał. Sędzia, słysząc te słowa, ścisnął tatkę, jak brata i płakał nad nim razem z całą swoją rodziną. Gdy przyszła pora spoczynku, stary mój, powstawszy z krzesła, wznosił rękę do góry i prawi:

— Spójrzcie na tę rękę, szanowni państwo. Weźcie tę rękę w swoje dłonie, uściśnijcie ją. Była to ręka ostatniej świni, ale nią nie jest i nigdy nie będzie, dziś ona należy do człowieka, który rozpoczął nowe życie i, bodajem nie ruszył się z tego miejsca, jeśli powrócę do dawnego. Zapamiętajcie sobie te słowa, szanowni państwo! Nie zapominajcie, że z ust moich wyszły. Nie lękajcie się dotknąć tej ręki, bo ona już czysta.

Więc kto był w pokoju, ścisnął rękę tatki, a żona sędziego to ją nawet pocałowała. Wreszcie mój stary podpisał znakiem przyrzeczenie, że innym będzie człowiekiem. Sędzia mówił, że nie pamięta uroczystszej chwili w swoim życiu. Gdy stary przeszedł do pokoju, w którym zwykle nocowali najprzedniejsi goście, w nocy poczuwszy widać straszne pragnienie, spuścił się z okna po filarze ganku, poszedł do

szynku i oddał nowy surdut za flaszkę wódki. Wróciwszy z dzbankiem, pił co się zowie. Spuszczając się nad ranem, pijaniusieńki, po filarze, spadł, złamał lewą ramię w dwóch miejscach i leżał w śniegu na pół umarły.

Sędzia, wziąwszy pono do serca tę historię z moim starym, miał się odezwać, że takiego człowieka poprawić tylko może kula karabinowa.

ROZDZIAŁ VI.

Tatko bierze się do sędziego Thatcher'a.—Huck w ręku tatki. — Tatko używa.

Wyzdrowiawszy, tatko zaraz pozwał sędziego Thatcher'a o pieniądze. Wziął się także i do mnie za chodzenie do szkoły, lecz choć mnie wytlukł parę razy, uczyłem się. Dawniej nic mnie do szkoły nie ciągnęło, ale teraz chodziłem do niej na złość tatce! Sprawa w sądzie ciągnęła się bardzo powoli, więc od czasu do czasu musiałem brać od sędziego Thatcher'a po parę dolarów, żeby uniknąć garbowania skóry. Ile razy tatko wziął pieniądze, zawsze się upijał i awantury opłacał kozą.

Gdy zaś wdowa zabraniała mu wtrącać się do mnie, pewnego dnia, na wiosnę, schwyciwszy mnie, wsadził w czółno i popłynął na drugą stronę rzeki, do lesistego brzegu stanu Illinois, gdzie nie było domów, tylko stara buda drewniana, a las taki gęsty,

że kto go nie znał, musiał w nim błdzić. Cały czas trzymał mnie przy sobie. Tak mnie pilnował, że nie było sposobności do ucieczki. Mieszkaliśmy w tej starej budzie, którą tatko na klucz zamykał, chowając go zawsze pod poduszkę. Miał też i strzelbę, pewnie skradzioną, polowaliśmy więc i łowili ryby, żyjąc zdobyczą. Od czasu do czasu tatko, zamknawszy mnie, szedł do sklepu, odległego ztamtąd o trzy mile, żeby zwierzynę i ryby wymienić na wódkę, którą przynosił do domu. Wówczas upijał się i bił mnie. Wdowa wywiedziała się jakoś, gdzie ja jestem i przysłała po mnie człowieka. Ale tatko zagroził mi śmiercią i zostałem. Po jakimś czasie przywykłem do naszego życia, polubiłem je nawet i byłoby mi nieźle, gdyby nie to garbowanie mej skóry.

Roboty żadnej, swoboda zupełna, bo to cały dzień leżysz z fajeczką w ustach lub z wędką w dłoni; książki i lekcji ani na lekarstwo. Po dwu miesiącach ubranie moje rozleciało się w strzępy i zapomniałem nawet, jak to się żyło u wdowy.

Ale gdy tatko coraz częściej brał się do kija, wcale mi się to nie podobało, gdyż pokryty byłcm siniakami. O ile zaś wychodził na dłużej, musiałem siedzieć zamknięty, raz nawet przez całe trzy dni. To mnie dręczyło. Byłem pewny, że się utopił, że zostanę w swoim zamknięciu. Strach mnie brał wielki.

Postanowiłem więc wydostać się z budy. Nie raz już tego próbowałem, ale napróżno. Okienko było tak małe, że i szczeniak nie przelazłby przez nie; kominem wyjść nie mogłem, bo wążki, drzwi

zaś były zbite z grubych desek dębowych, a tatko zawsze gdzieś chował wszelkie narzędzia, których szukałem ze sto razy. Nareszcie udało mi się znaleźć w wiązaniach dachu starą piłę zardzewiałą bez rękojeści. Wysmarowawszy ją tłuszczem, zabrałem się zaraz do roboty

Do jednej ściany, przy której mieliśmy stół, przybita była spadająca do ziemi zużyta dera końska, dla zabezpieczenia od wiatru świecy, która zawsze stała w tem miejscu. Włazłszy więc pod stół, uniosłem derę i zacząłem w pierwszej belce od dołu wypiłowywać otwór tak wielki, żebym się mógł przez niego wydobyć. Ciężka to była robota i szła powoli, lecz gdy już zbliżała się ku końcowi, silny wystrzał zapowiedział przybycie tatki. Uprzątnąwszy ślady swej pracy, spuściłem derę i schowałem piłę. Po chwili wszedł tatko.

Będąc w złym humorze, jak zazwyczaj, powiedział, że ma nadzieję wygrać proces, ale nie prędko, bo sędzia Thatcher działa na zwłokę. Mówił też, że sąd po raz drugi ma wyrokować w sprawie wyznaczenia wdowy moją opiekunką i że zapewne tym razem wdowa zwycięży. Co prawda, nie miałem już najmniejszej ochoty wracać do niej po to, żeby się, jak mówiła, „cywilizować.“ Następnie zaczął tatko przeklinać wszystkich ludzi znanych i nieznanym.

— Chciałbym widzieć — mówił — jak cię to wdowa teraz odbierze. Będę stał na czatach bez ustanku, a gdybym spostrzegł, że chcą cię wykraść,

znajdę inne miejsce, w którym cię do śmierci nikt nie znajdzie.

Zaniepokojony temi słowami, postanowiłem nie czekać, aż stary zamiar swój spełni.

Posłał mnie tatko do łodzi po przywiezione sprawunki. Był tam worek mąki, poleć słoniny, proch i naboje, garncowy gąsior wódki, trochę bielizny, a przytem stara jakaś książka i dwa numery gazety, w którą był poleć owinięty. Zabrałem, ilem mógł unieść, a wróciwszy po resztę, usiadłem w łodzi i tak myślę: Gdy będę uciekał, zabrawszy strzelbę i trochę bielizny, pójdę w las, nigdzie się nie zatrzymując. Co w dzień upoluję, zjem w nocy, byleby odejść tak daleko, żeby ani tatko, ani wdowa nigdy na ślad mój wpaść nie mogli. Jeżeli tatko upije się dzisiaj aż do utraty przytomności, a pewien byłem, że to zrobi, skończę swój otwór tej nocy jeszcze i ucieknę.

Gdym zaniósł do budy resztę sprawunków, było już ciemno. Podczas gotowania wieczerzy tatko pociągał z butelki, a w miarę jak pił coraz więcej, obyczajem swoim na rząd wymyślał.

— I to się nazywa rząd! Ładne prawo, niema co mówić... Odbierać ojcu rodzzonego syna, którego wychowanie kosztowało tyle trudu, starań i kosztów. I kiedy syn już się odchował, kiedy dziś lub jutro zacznie pracować i zarabiać, żeby odwdzińczyć się ojcu, to prawo każe mu wtedy odebrać syna. I to ma być prawo! Nie koniec na tem! Prawo przyznaje słuszność temu Thatcher'owi i pozwala na przetrzymanie mojej własności. Tak czyni — prawol! Prawo bierze człowieka, posiadającego sześć tysięcy

dolarów z górą, i pakuje go do takiej budy, i każe mu pokazywać się ludziom w ubraniu, którego nie chciałaby nosić św... Powiadają, że jest rząd! A dlaczego dzieje mi się taka krzywda? Albo to ja pod tym rządem dojść mogę praw swoich? Czasem myślę, że najlepiejbym zrobił, rzucając kraj ten raz na zawsze. A tak! Powiedziałem to nawet Thatcher'owi w żywe oczy. Nie on jeden mnie słyszał, wszyscy słyszeli i wszyscy zaświadczyć mogą. Powiedziałem tak: Zobaczycie, czy ja nie rzucę tego przekłętego kraju na zawsze. Patrzcie na mój kapelusz, jeśli to można zwać kapeluszem. To nie kapelusz, jak się patrzy, sprawiedliwe nakrycie głowy, to dziura od komina, z której wygląda moja głowa. Patrzcie, powiadam, i to — ja — jeden z najbogatszych ludzi (gdyby mi oddano, co moje) nosić muszę taki kapelusz! O, tak, rząd precudowny! Posłuchajcie tylko, co się dzieje. Przyjechał tu wolny murzyn z Ohio, mulat, skórę miał białą, koszulę, jak śnieg bielusięnką i świecący jak lustro kapelusz. W całym mieście naszym nie znalazłby większego eleganta. I zegarek miał złoty z łańcuszkiem i srebrną gałkę u laski; no, bogacz, co się zowie, pan całą gębą? No i cóż? Powiadali, że to profesor w Kolegium, że mówi wszystkimi językami, że wszystko umie. Ale nie na tem koniec. Powiadali, że on tam, u siebie, w swoim stanie, ma prawo... *głosować*. Tego to już nadto. Do czego to dojdzie, myślę sobie. A był to właśnie dzień wyborów. I ja miałem także dać głos swój, jeżeli się nie upiję i nie padnę po drodze, ale kiedy mi powiedziano, że jest taki stan, w którym murzyn ma prawo głosować — nie poszedłem i nie

będę głosował — póki życia! Słowo w słowo tak — wszyscy słyszeli: niech kraj przepada, ja palcem nawet mi ruszę, póki życia! A trzeba było widzieć minę tego murzyna. Cóż powiecie? nie ustąpił mi z drogi, pókim go na bok nie zepchnął. Mówię ja do ludzi: chciałbym wiedzieć, dlaczego ten murzyn nie sprzedany? I cóż mi odpowiedziano, jak myślicie? Że prawo nie pozwala go sprzedać, dopóki nie przesiedzi u nas przez pół roku. I to jest rząd, który niema prawa sprzedać wolnego murzyna, kiedy zechce.

Nazywają go rządem, a czekać musi sześć miesięcy, zanim położy rękę na takim urwipolciu w białej kożuli!

Rozprawiał tatko i rozprawiał, slaniając się po izdebce, ale że nie bardzo pewnie stał na nogach, więc przewrócił się i wpadł głową w kadź z solonem mięsem. Stukł się bardzo, więc klął siarczyście to murzyna, to rząd, a wreszcie wymyślał kadzi, którą też kopnął, aż zadudniła. Na nieszczęście, zrobił to butem, z którego wyglądały dwa palce. Jak nie zacznie krzyczeć i znów lać w żywe kamienie! Sam potem mówił, że nigdy mu jeszcze nie płynęły słowa z taką łatwością. Był u nas pewien Sowberry, który słynął z klątw i wymyślań; tatko utrzymywał, że go w tym dniu prześcignął. Może, ale ja, sądzę, że to przechwałki.

Po kolacyi schwycił znów za flaszkę, mówiąc, że dosyć w niej wódki na dwa upicia. Myślałem, że za godzinę będzie gotów, a ja wówczas klucz mu wykradnę lub wyrznię otwór. Pił i popijał, aż w końcu upadł na posłanie. Niestety, nie usnął mo-

cno, lecz tylko drzemał niespokojnie, jęczał, stękał, rzucał się na wszystkie strony. Zmęczony oczekiwaniem, zasnąłem twardo, zostawiając świecę niezgaszoną.

Jak długo spałem, tego nie wiem, lecz nagle zerwałem się na równe nogi, słysząc wrzask jakiś okropny. Patrząc, aż tu tatko, całkiem nieprzytomny rzuca się po izbie, krzycząc: „wężę! wężę!“; w przywidzeniu, że je ma przy swoich nogach, otrząsał się z nich, krzycząc, że go jeden ukłuł w policzek. Ja jednak nie widziałem żadnego węża. Potem znów biegać zaczął naokoło izby, krzycząc: „zrzuć go! zrzuć! i w kark mnie ugryź! Nigdy nie widziałem u człowieka takich strasznych oczu, jak wtedy u tatki. Niebawem zmęczył się i upadł na ziemię zadyszany, ale zamiast leżeć spokojnie, kopał nogami, kulakował, taczał się po całej podłodze, krzycząc, że dyabeł go trzyma. Dopiero wyczerpany leżał spokojnie i jęczał. Po chwili umilkł zupełnie i tylko wyście wilków w lesie i sów hukanie przejmowało mnie dreszczem. Wkrótce tatko, wsparty na łokciu, przysłuchiwał się czemuś.

— Huup! huup... huup... To umarli idą... Huup... huup... huup... po mnie idą... Ale ja... nie pójdę. Hu! przyszli... Już są... Nie dotykać mnie... Precz z rękami... zimne... Puszczajcie... A-a-a-a! Puśćcie mnie biednego...

Stał na czworakach, a czółgając się, prosił, by go puścili; potem zawinał głowę w kołdrę i wsunął się pod stół, wrzeszcząc: „puszczajcie!“ a przez kołdrę słychać było jego szlochanie!...

Po jakimś czasie, stanąwszy na równe nogi, nieprzytomny i dziki rzucił się na mnie. Uciekałem,

a on mnie gonił po całej izbie, ściskając w rękę mały nożyk składany, ostry jak brzytwa; nazywając mnie aniołem śmierci, krzyczał, że gdy ja zginę, to już nie przyjdą po niego. Perswadowałem mu, że to ja, Huck, ale on ze śmiechem, podobnym zgrzytaniu piły, krzyczał, klął i gonił za mną. Lecz, gdym zawróciwszy na miejscu przemknął mu się popod ramieniem, schwycił mnie za kurtkę w plecach.. i byłem pewny, że już po mnie. Na szczęście, wysunąłem się z kurtki i to mnie zbawiło. Niebawem sił mu zabrakło, upadł na podłogę, włożył nóż pod siebie i siedział plecami o drzwi oparty, mówiąc, że gdy odpocznie, zabije mnie.

Gdy szybko zasnął, wzięwszy jedyne nasze krzesło, z siedzeniem przedziurawionem, stanąłem na niem najostrożniej, żeby zdjąć ze ściany strzelbę. Przekonawszy się, że nabita, położyłem ją na poprzek pudła, w którym trzymaliśmy rzepe, lufą wprost twarzy tatki. Następnie, usiadłszy za pudłem, czekałem, czy się nie zbudzi? Ach, jak wolno, jak ciężko płynęły godziny tej nocy!

ROZDZIAŁ VII.

„Jakiś człowiek“. — Zamknięty. — Przygotowania do podróży. — Ułożenie i wykonanie planu. — Odpoczynek.

— Wsta-a-waj! Co sobie myślisz!

Otworzywszy oczy spojrzałem dokoła, starając się przypomnieć sobie, gdzie jestem. Słońce wysoko

już stało, długo więc spać musiałem. Tatko stał nademną i wyglądał zarówno na człowieka w złym humorze, jak i na chorego. Powiada do mnie:

— A ty co robisz z tą strzelbą?

Przypuszczając, że nie pamięta, co wyrabiał w nocy, odpowiadam:

— Ktoś tu wejść próbował, więc miałem broń w pogotowiu.

— Czemużeś mnie nie obudził?

— Próbowałem, ale nie mogłem.

— Hm! No, dobrze...

— Idź-no zobacz, czy niema rybek na haczykach... Z wieczora założyłem wędkę... Ja także wyjdę, lecz nie na długo.

Gdy drzwi otworzył, pobiegłem prosto nad rzekę. Woda niosła gałęzie, spore odłamy kory, oderwane kępki nadbrzeżnej ziemi, widocznie rzeka przybierała. Czemu ja teraz nie w mieście miałbym używanie, co się zowie. Czerwcowy przybór zawsze zdobycz mi dawał. Niech tylko woda przybierze, zaraz niesie drzewo różnej wielkości. Łapało się nieraz i po kilkanaście balów razem zbitych.

Idąc brzegiem, to bacznie śledziłem ojca, to spoglądałem na powierzchnię rzeki. Patrząc, aż tu płynie jak łabędź łódź prześliczna, ze trzynastu stóp długa. Jak żaba skoczyłem z brzegu do wody i za chwilę siedziałem w łodzi. Gdym do brzegu dopłynął, tatki jeszcze nie było. Kierując łódź w stronę niewielkiej zatoki, zacienionej brzożami i dziakiem winem, postanowiłem schować dobrze swą zdobycz, a gdy przyjdzie chwila ucieczki, popłynąć sobie z jakieś mil pięćdziesiąt w dół rzeki i przybić do

miejsca, które już znam... Wygodniej mi będzie niż pieszo.

Zatoczka była w pobliżu budy, więc ciągle mi się wydawało, że słyszę tatkę. Ledwie, żem po ukryciu łodzi na brzeg wyskoczył, patrzę, a tatko, stojąc na ścieżce, celuje do jakiegoś ptaka. Nie widział ani mnie, ani łodzi.

Gdyśmy się zrównali, zwymyślał mnie trochę, że nic nie robię, alem odpowiedział, że wpadłem w rzekę i dlatego wędek nie obejrzał. Wiedziałem, że nie ujdzie jego oka zmoczone moje ubranie i że zaraz zapyta o przyczynę. Zdjąwszy z wędek pięć ryb sporych, poszliśmy zaraz na śniadanie.

Tatko, posiliwszy się, rzekł do mnie:

— Jeżeli ten jakiś człowiek przyjdzie jeszcze do naszej budy, obudź mnie natychmiast... Rozumiesz? On pewno coś złego zamierza. Od czego strzelba? Pamiętaj, żebyś mnie zbudził!

To mówiąc zasnął, ale to właśnie, co powiedział, nasunęło mi pomysł.

Wstawszy około południa, poszliśmy z tatką na brzeg rzeki. Woda wartkim płynęła prądem, niosąc na wezbranej fali mnóstwo drzewa. Patrzymy, aż tu nadpływa dziewięć bali, spojonych w tratwę. Podpłynęliśmy ku nim czółenkiem i przyciągnęli do brzegu. Potem obiad. Kto inny, nie tatko, byłby tu już przeczekał dzień cały, pilnując, czy czego więcej nie złowi; ale tatko nie taki. Dosyć mu było na dziś dziewięciu bali; śpieszył do miasta, żeby je sprzedać. Zamknął mnie więc i wsiadłszy w swoje czółenko, do którego przywiązał bale, około pół do trzeciej popłynął do miasta. Pewien byłem, że nie powróci tej

nocy. Czekalem, dopókim nie wymiarkował, że jest daleko, a potem, wydobywszy z ukrycia piłę, znów się zabrałem do roboty. Zanim tatko przepłynął rzekę, ja już wyszedłem z budy; on i jego tratwa wyglądali jak ciemna plama, w oddali na wodzie niknąca.

Wziąwszy worek z mąką, zaniósłem go do łodzi, a następnie uczyniłem to samo ze słoniną; z butelką *whisky*, z cukrem, kawą i amunicją. Potem wzięłem jeszcze materac, poduszkę, koldrę, wiadro, naczynko do picia z wydrążonej tykwy, kubek blaszany, starą swoją piłę, dwa prześcieradła, imbryczek do kawy, mały kociołek, wędki, zapalki i mnóstwo innych drobiazgów, o ile tylko miały jaką wartość. Do czysta wyniosłem wszystko. Miałem apetyt i na siekiere, lecz jedna tylko była przy stosie drzewa na opał, musiałem ją więc zostawić z poważnych przyczyn. Zabrawszy nakoniec strzelbę, byłem już gotów do drogi.

Przeciagnąwszy przez otwór w ścianie tyle rzeczy, wydeptałem ścieżkę gładziuteńką, którą dla zatarcia śladów starannie zasypałem. Potem wprawiwszy w ścianę kawałek wypilowany, podparłem go trzema kamieniami, żeby nie wypadł, bo ściana trochę się w tym miejscu wypaczyła.

Reszta mojej drogi do łodzi zarastała trawą rzadką, króciutką, twardą, na której żadnego nie zostało śladu. Wziąwszy strzelbę, poszedłem do lasu, żeby upolować z parę ptaków, aż tu spostrzegłem sporego wieprzka, który uciekłszy pewno z folwarku, zdziczał zupełnie, co u nas często się zdarza. Zabiłem go i przyniosłem do domu.

Wreszcie porwałem siekierę i dalejże walić we drzwi, aż drzazgi lecą. Zrąbawszy drzwi co się zowie, zaniósłem wieprzka do izby, położyłem go przy samym stole, wbiłem mu siekierę w gardło i zostawiłem tak, żeby na ziemię krwi naciekło. Następnie wzięwszy stary worek, napchałem w niego kamieni, unurzałem we krwi i wlokłem za sobą, od miejsca gdzie leżał wieprzak, aż do rzeki. Tam go wrzuciłem i zaraz poszedł na dno. Szkoda, że nie było przytem Tomka Sawyer, bo on bardzo się zapala do wszystkiego, co wymaga trochę wyobraźni i pomysowości.

Załatwiwszy się z workiem, wyrwałem sobie trochę włosów, przylepiłem je do zakrwawionej siekiery, którą wreszcie rzuciłem w ką. Wtedy dopiero podniosłem z ziemi wieprzka, wziąłem go, jak dziecko, na ramiona, otuliłem połamami ubrania, żeby krew z niego nie kapiała, i poniosłem ku rzece. Wyjawszy z łodzi worek z mąką, zaniósłem go napowrót do domu i podziurawiony piłą, postawiłem na zwykłym miejscu. Nakoniec powlokłem drziurawy worek po trawie w zupełnie przeciwną stronę, do niewielkiego jeziorka, zarosłego trzciną i szuwarem. Pełno tam bywało cyranek i różnego ptactwa wodnego. Z tamtej strony jeziorka wypływał strumyk, który płynął nie wiem już gdzie, ale z pewnością nie wpadał do naszej rzeki.

Mąka, sypiąc się przez dziurę, ubieliła ścieżkę od samego domu aż do jeziorka. Rzuciłem tam jeszcze taktki oselkę do ostrzenia nożyka, niby przypadkiem upuszczoną. Wtedy dopiero, zebrawszy brzegi dziur

i związawszy je sznurkiem, razem z piłą odniosłem do łodzi.

Tymczasem już się ściemniło: wyprowadziwszy więc łódź z zatoczki, zatrzymałem się w cieniu drzew u brzegu z zamiarem czekania na księżyc. Dla bezpieczeństwa uwiązałem nawet łódź u drzewa, a sam podjadłszy trochę, zapaliłem fajeczkę i usiadłem w łodzi dla obmyślenia dalszego planu.

Szukając mnie, będą szli do brzegu po śladzie zakrwawionego worka z kamieniami. Na trawie ślad zgubią, lecz znajdą drugi, mąką usypany, a prowadzący do jeziora. Pomyślą więc: aha! był tu rozbójnik. Chłopca zabił, zabrał co się dało, a przez jezioro uciekł strumykiem. Nie znalazłszy zwłok moich w rzece, dadzą pokój poszukiwaniom. Doskonale, mogę teraz robić, co chcę, i płynąć, gdzie mi się podoba.

Popłynę sobie na *Jackson's Island*, tam mi będzie dobrze. Całą wysepkę znam na wylot; wiem, że nikt tam nie bywa. Nocami mogę robić wycieczki do miasta, pomyszkować to tu, to tam i zdobyć, co mi potrzebne. Tak! niema dla mnie lepszego schronienia; na *Jackson's Island* płynę!

Zmęczony okrutnie, sam nie wiem kiedy zasnąłem. Obudziwszy się, nie mogłem zdać sobie na razie sprawy gdzie jestem: usiadłem więc i rozglądałem się naokoło, wszystko mi się wydawało dziwne i straszne. Jak okiem sięgnąć, wszędzie woda tylko i woda. Księżyc świecił tak jasno, że policzyć mogłem, z ilu bali składa się tratwa płynąca, równo, cicho i prędko środkiem rzeki.

Przeciągnąwszy się raz i drugi, miałem już łódź

odwiązać i popłynąć, gdy usłyszałem gdzieś w oddali na rzece majaczenie głosów niewyraźnych. Po jakiejś chwili rozległy się głuche, ale wyraźniejsze, miarowe wiosel uderzenia. Ostrożnie wyrzawszy przez gałęzie, widzę, że od przeciwnego brzegu duża, piękna łódź podpływa ku mnie coraz bliżej. Kto tam wie, ilu na niej ludzi? Dużo unieśćby mogła... Gdy prawie zrównała się ze mną, dojrzałem jednego tylko wioslarza. Może tatko?—myślę, choć nie przypuszczałem, żeby on. Zatrzymawszy się o kilkadziesiąt kroków odemnie, ze środka rzeki skręca do brzegu... już jest tak blisko, że końcem lufy mógłbym dotknąć wioslarza... To tatko! Niezawodnie on! Nie dostrzegł mnie, ale trzeźwy zupełnie, widać to ze sposobu wiosłowania i z postawy całej.

Nie traciłem więc czasu. Po paru minutach płynę już cichutko w dół rzeki, trzymając się ciągle brzegu zacienionego. Gdym przebył z półtrzeciej mili, popchnąłem się ku środkowi rzeki, wiedząc, że niezadługo napotkam łódź przewozową, przed ranem do miasta płynącą. Ułożywszy się na dnie czołna, pozwoliłem mu płynąć z wodą wśród drzew, przez fale unoszonych. Paląc fajkę, patrzyłem na niebo bez jednej chmurki. Jak też ono głębokiem się zdaje, gdy na wznak leżąc, patrzysz w nie wśród jasnej nocy księżycowej! Nie wiedziałem o tem dotychczas. A jak daleko głos się rozchodzi w takie noce! Słyszałem wybornie słowa ludzi, do miasta na targ płynących. Ktoś mówił, że dnia już przybyło, a noce krótsze; ktoś inny odpowiedział, że ta noc do krótkich nie należy. Dowcipkując, śmieli się wszyscy. Łódź oddalała się z każdą chwilą i już nie mogłem

dosłyszeć słów, lecz tylko głosy coraz niewyraźniejsze.

Woda niosła mnie ciągle i doniosła. Podnoszę się, patrzę: przedemną *Jackson's Island* o jakie dwie mile (angielskie) w bok od głównego prądu rzeki. Stoi na wodzie starodrzewu pełna, ciemna, wielka, podobna do parowca bez świateł. Brzeg jej ostro wrzyna się w wodę, ale teraz nie widać występu: cały zalany.

Wkrótce byłem na wyspie. Niesiony prądem, szybko opłynąłem występ, a utknąwszy na mieliźnie, wylądowałem naprzeciw brzegu Illinois. Łódź wciągnąłem do znanej mi zatoczki, tak ukrytej wśród drzew bujnych, że jej tam niczyje oko nie wyśledzi.

Usiadłszy na kłodzie, leżącej na brzegu stromo ściętym, przyglądałem się ogromnej rzece i miastu o trzy mile ztamtąd położonemu, w którym jeszcze tu i owdzie drgały światełka. Środkiem rzeki płynęła ogromna tratwa z przytwierdzoną do niej latarnią, i usłyszałem wyraźnie jakiś głos: „Hej! tam! Brać się na prawo! Nie zawadzić o brzeg wysepki!”

Prawie o świcie poszedłem pomiędzy drzewa, żeby przedrzemać się trochę przed śniadaniem.

ROZDZIAŁ VIII.

Sen w lesie. — Szukanie zwłok. — Baczość! — Zwiedzam wyspę. — Spotkanie z Jim'em. — Ucieczka Jim'a. — Znaki. — Balaam.

Wysoko stało już słońce, gdym się obudził, musiała być godzina ósma. Leżąc na trawie pośród drzew gęstych, zadowolony i spokojny, myślałem o różnych rzeczach. Złote centki, jakby przesiane przez gęstwinę liści, poruszając się na trawie, podskakiwały, zmieniały co chwila miejsce, jakby zdradzały istnienie wietrzyka tam w górze, ponad gęstem sklepieniem drzew. Wiewiórki siedziały na gałęziach, przyjaźnie na mnie spoglądając.

Tak dobrze mi było, że nie miałem ochoty myśleć o śniadaniu. Zdrzemnąwszy się znów, usłyszałem we śnie głucho a potężne: „bu-um-m!“ daleko gdzieś, w górze rzeki. Podnoszę się, wspieram na łokciu i nasłuchuję; po chwili znów słyszę: „bu-um-m!“ Wstaję więc, rozgarniam liście i patrzę: nad wodą wije się kłęb dymu, a środkiem rzeki płynie znana mi łódź przewozowa, pełna ludzi. Wiedziałem już, co to znaczy. Znów słyszę huk, widzę kłęb dymu i wiem, że na łodzi znajduje się mała armatka, z której strzelają tuż nad wodą, aby poruszona wystrzałem, prędzej zwłoki moje wyrzuciła.

Głodny byłem porządnie, ale niepodobna było rozniecać ognia, który mógłby mnie zdradzić. Siedziałem więc spokojnie, przyglądając się kłębowi dy-

mu i przysłuchując hukowi wystrzałów. Rzeka bardzo była w tem miejscu szeroka, a zresztą w pogodny poranek letni zawsze tak ślicznie wygląda, że nie przykrzyło mi się wciąż patrzeć na poszukiwania mojego ciała, pomimo, że mi głód dokuczał coraz więcej.

Przypomniałem też sobie, że aby znaleźć zwłoki topielca, najlepiej włożyć trochę żywego srebra w bochenek chleba i puścić na wodę. Będzie on płynął prościuteńko aż do miejsca, gdzie zwłoki leżą i tam się zatrzyma. O! myślę sobie, trzeba się mieć na baczności: a nuż do mnie przyplynie taki bochenek i zatrzyma się tu? Pobiegłem więc na brzeg od strony stanu Illinois, czy też nie widać bochenka. Jest! Płynię! Wziąwszy pręt długi, przyciągnąłem nim chleb ku sobie; lecz gdy już miałem go prawie, potknąłem się, pręt wypadł mi z ręki, a bochenek popłynął dalej.

Po niejakiem czasie nadpływa drugi i tym razem powiodło mi się. Rozłamałem bochen, wyrzuciłem żywe srebro i dalejże jeść! Wyborny był, miejski, nie żaden razowiec, ani też placek zakalcowaty.

Znalazłszy wyborne miejsce wśród liści, usiadłem na kłodzie i przegryzając chlebem, patrzyłem z zadowoleniem na łódź z armatką. Niezawodnie wdowa, proboszcz, albo ktoś inny modlić się musiał do Boga, żeby ten chleb na mnie natrafił. I tak się stało. Widocznie jest nieco prawdy w naukach wdowy o Opatrzności, o modlitwie... Tak! gdy modli się wdowa, albo proboszcz — to co innego, ale moja modlitwa nie odniosłaby skutku, który niewątpliwie zależy od tego, kto się modli: dobry, czy zły.

Nadpłynęła wreszcie łódź tak blisko, że doskonale widział siedzące na niej osoby. Tatko, sędzia Thatcher, z córką Elżbietką, Józio Harper, Tomek Sawyer, z ciotką Polcią, i małym jego braciśkiem i inni ludzie. Rozmawiali o mnie, o morderstwie na mnie dokonanem, gdy kapitan wyrzekł:

— Proszę dobrze teraz uważać. Prąd idzie pod samym brzegiem, mógł więc wyrzucić zwłoki. Kto wie, czy się nie znajdują zaplątane gdzie w krzakach.

Ja tej nadziei nie miałem. Stali wszyscy na pomoście, oparci o poręcz, z wzrokiem wyteżonym na zarośla nadbrzeżne. Widzieć ich mogłem wybornie, ale oni mnie nie widzieli. Wtem kapitan zakomenderował: „Ognia!“

I jak mi nie huknie armata nad samem uchem! Myślałem, że już po mnie, że ogłuchnę od hukku i oślepnę od dymu. Strzelając kulami, byliby niewątpliwie znaleźli zwłoki, za którymi tak się uganiali! Na szczęście, byłem zdrow i cały. Po chwili łódź znikła mi z oczu. Coraz słabiej słyhać było wystrzały, a po upływie godziny nic nie słyszałem.

Wiedząc, że teraz nikt mnie już szukać nie będzie, powynosiłem z łodzi swoje graty i założyłem obóz wśród gęstwiny, zrobiwszy z prześcieradeł namiot dla ochrony od deszczu. Złowiwszy rybę i oskrobawszy ją pilą, przed zachodem rozpałiłem ogień dla przyrządzenia wieczerzy, poczem założyłem wędkę, aby mieć świeżą rybę na jutro.

Siadłszy przy ogniu z fajką, czułem się najzupełniej zadowolony. Powoli jednak strach mnie ogarniał wśród samotności, poszedłem więc na brzeg słu-

chać uderzeń fali, liczyć gwiazdy na niebie, a kłody i bale na wodzie, gdy zaś i to mi się sprzykrzyło, poszedłem spać. Niema lepszego sposobu zabicia czasu, gdy człowiekowi się przykrzy: zaśniesz i zapomnisz o wszystkim.

Tak było przez trzy dni i trzy noce. Żadnej odmiany — ciągle to samo. Tyle tylko, że na drugi dzień zwiedziłem wyspę. Panem tu będąc, chciałem wszystko obejrzeć; głównie jednak chodziło mi o zabicie czasu.

Wśród tej włóczęgi po lesie, doszedłem prawie do przeciwnego brzegu swej wyspy. Miałem broń z sobą, ale nie strzeliłem ani razu, niosłem ją tylko dla obrony w razie napaści. Idąc, nastąpiłem na węża, który uciekał, czolgając się wśród traw i kwiatów. Chcąc go zabić bez użycia strzelby, w pogoni za nim przez chwilę, niespodzianie trafiłem na dymiące jeszcze popioły ogniska, które tu ktoś rozniecił.

Serce mi tak w piersiach zakolało, żem, nie zwlekając, na palcach rozpoczął odwrót, dokonywany gwałtownie, w największym strachu.

Dotarwszy do obozowiska, jakkolwiek głodny porządnie, przeniósłem wszystkie swe rzeczy do łodzi, żeby nie zostawić żadnego śladu; zgasłem ogień, rozrzuciłem popiół, nadając ognisku wygląd zeszlorczonego, a w końcu wszedłem na drzewo.

Po jakich może dwu godzinach, gdym nic nie widział i nie słyszał, spuściłem się z drzewa w gęstwinę i czuwałem, nic nie jedząc, prócz jagód i resztek ze śniadania.

O zmroku, popłynąwszy na wybrzeże Illinois, również jak i wyspa lesiste, zjadłem wieczerzę, zdecydowany noc tam przepędzić, gdy nagle usłyszałem tętent nóg końskich i ludzkie głosy. Zebrawszy czemprędzej wszystko do łodzi, wróciłem jeszcze do lasu, żeby zobaczyć, co to za ludzie i czego chcą. Zaledwie zrobiłem kilkanaście kroków, gdy słyszę, głos:

— Tu zrobimy nocleg, jeżeli się znajdzie miejsce po temu; konie straszliwie pomęczone.

Nie czekając dłużej, znów popłynąłem ku wyspie z postanowieniem spędzenia nocy w łodzi.

Nie wiele jednak spałem, budząc się ciągle w przekonaniu, że ktoś za kark mnie trzyma; sen taki nie mógł mnie pokrzepić. Dopiero, gdym postanowił dowiedzieć się, kto mieszka ze mną na wyspie, doznałem ulgi na sercu.

Odepchnąwszy trochę łódź od brzegu, płynąłem, trzymając się cienia. Księżyc świecił jasno i tam, gdzie się cień kończył, widno było jak we dnie. Płynąłem z godzinę wśród ciszy najzupełniejszej. Wiatr lekki, chłodnawy, zwiastował blizkie świtanie. Opłynąwszy całą długość wyspy, wziąłem strzelbę i po długim skradaniu się brzegiem lasu, zmęczony siadłem na pniaku. Wkrótce ponad drzewami ukazuje się blada, wązka smuga jasności — brzask dnia. Z fuzją na ramieniu idę w głąb lasu szukać tego miejsca, gdzie widział gorące jeszcze ognisko, co minuta przystając i nasłuchując. Dopiero, gdym się już dobrze nachodził, spostrzegłem, że wśród drzew coś blyszczy niby ogień. Idę ku niemu, ostrożnie, cicho i widzę, że ktoś leży na ziemi. Aż mnie mrowie przeszedło! Z po za krzaków, o kilka stóp zaledwie,

wciąż patrzę. A było już wtedy prawie jasno: za chwilę miał być wschód. Po paru minutach budzi się śpiący, zrzuca koldrę z głowy, patrzę: Jim, murek miss Watson. Tom się dopiero ucieszył!

— Jim! — wołam na niego.

Skoczył jak oparzony i spojrzawszy na mnie błędnym wzrokiem, upadł przedemną na kolana, składając ręce jak do modlitwy.

— Nie czyn mi nic złego. Nie czyn! Jim nigdy żadnego ducha nie skrzywdził.. Jim zawsze lubił umarłych, zawsze dla nich czynił, co mógł. Idź sobie, duchu, idź, wracaj do rzeki, gdzie twoje mieszkanie, staremu Jimowi nie czyn krzywdy!

Udało mi się jednak przekonać go, że nie umarły. Ogromnie byłem rad ze spotkania z Jim'em, nie czulem się już tak samotny.

— Rozpal ogień porządny, zjemy śniadanie — rzekłem do niego.

— Na co rozpalać ogień? Malin, ani poziomek nie będziemy przecie gotowali? A prawda! masz z sobą strzelbę, może upolujemy coś lepszego.

— Jakto? Więc malinami tylko żyjesz i poziomkami?

— Nic innego nie miałem.

— Tak? Jak dawno tu jesteś?

— Przyszedłem tej samej nocy, kiedy ciebie zabili.

— I cały czas nie jadłeś nic, prócz jagód?

— A no tak.

— No to głodny być musisz okropnie?

— Zjadłbym chyba konia całego. A ty od jak dawna jesteś na tej wyspie?

— Także od tej nocy, gdy mnie zabili.

— Nie może być? Czem żyłeś? A prawda, że strzelbą głodu niema. Upoluj-że co, a ja ogień rozpalę.

Udaliśmy się więc w stronę zatoki, w której stała łódź moja, i podczas, gdy Jim rozniecał ogień na małej wpośród drzew polance, ja przyniosłem mąkę, słoninę, imbryczek do kawy, patelnię, cukier i dwie filiżanki blaszane. Jim patrzył na to wszystko ze zdziwieniem i ze strachem, bo myślał, że to czary. Złapała się też na wędkę wyborna ryba, Jim oskrobał ją nożem, który miał przy sobie, i usmażył.

Gdy śniadanie było gotowe, usiedliśmy wygodnie na ziemi i zajadali ze smakiem gorącą strawę, zwłaszcza Jim, który od tak dawna nie miał nic w ustach oprócz jagód. Po śniadaniu obfitem pokładliśmy się na trawie i leżymy.

— Po chwili Jim powiada:

— Słuchajno, Huck, a kogoż tam zabili w waszej bandzie, kiedy ty żyw?

Opowiedziałem mu wszystko, ku wielkiej jego radości.

— A ty zkad się tu wzięłeś?

Zakłopotany milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— E! lepiej nie mówić.

— Dlaczego?

— Mam swoje powody. Nie wydasz mnie, Huck, jeżeli ci powiem całą prawdę? Nie wydasz?

— Nie, Jim, słowo daję.

— Kiedy tak, to wierzę. Słuchaj, Huck, ja...
ia uciekłem.

— Jim!

— Dałeś słowo, że nie powiesz nikomu, pamiętaj, Huck, dałeś słowo.

— Prawda, dałem. Przyrzekłem, że nie powiem i nie powiem. Niech mi tam wymyślają od Abolucjonistów, niech mną pogardzają za to, że nie doniósł o zbiegłym murzynie, wszystko mi jedno: słowa dotrzymam. Zresztą, nie myślę wracać do miasta. Opowiedz-że mi wszystko, jak było.

— Skoro nie powiesz, to słuchaj. Było tak: Stara pani—to znaczy miss Watson, dokuczala mi ciągle, gderela, nudziła, łajała, utrzymując jednak, że za nic w świecie nie sprzedałaby mnie kupcom z Orleanu. Tymczasem zauważyłem, że jeden z tamtejszych kupców ciągle do niej zachodzi i zacząłem być niespokojny. Wreszcie jednego wieczora wchodzę do pokoju dość późno i przez drzwi niedomknięte słyszę, jak moja pani opowiada wdowie o swym zamiarze sprzedania mnie kupcowi z Orleanu. Wdowa żądała od siostry przyrzeczenia, że mnie w domu zostawi, ale ja już nie czekałem, co dalej będzie i uciekłem. Wybiegłszy na wzgórek ponad rzeką, widzę, stoi łódka, nikogo w niej niema, możnaby ją zabrać i uciec. Tak też i uczynilem; że jednak było jeszcze zawcześnie, tu i owdzie bowiem snuli się ludzie po brzegu, ukrywszy się więc w starym sklepie, pustką stojącym, przez całą noc tam przesiadziałem. Około szóstej rano zaczęły pokazywać się łodzie, później było ich mnóstwo, a na wszystkich mówiono tylko o przyjsciu twego tatki z wiadomością, że cię zabito. Rozmaici panowie i panie przeprawiali się przez rzekę po to tylko, żeby zobaczyć

to miejsce, gdzie został zamordowany. Drudzy znów, stojąc na brzegu w oczekiwaniu na jakąś łódź, tak głośno rozmawiali o wypadku, że z rozmowy ich wszystkiego się dowiedziałem. Okropnie mi było żal ciebie, Huck. Biedny chłopiec! myślałem, zamordowano go. Ale teraz, gdym się przekonał, że żyjesz, już mi cię nie żal..

Przeleżałem tam cały dzień pod kupą wiórów, nie obawiając się poszukiwań, bo wiedziałem, że stara moja pani razem z siostrą wybierała się po śniadaniu na pobożne jakieś zebranie. Że zaś zwykle o wschodzie słońca szedłem z bydłem na pole, niktogo więc moja nieobecność rano nie zadziwiła.

Dopiero gdy się ściemniło, wyszedłszy z mego ukrycia, czemprędzej pobiegłem za miasto. Łodzi wczorajszej nie było, więc nie wiedziałem, jak uciekać. Jeżeli pójdę piechotą, psy mnie wytropią; jeżeli zabiorę czyjąś łódź, to domyślą się, żem uciekł na drugi brzeg, popłyną i tam mnie z psami wytropią. Najlepiej byłoby dostać tratwę: tratwa nie łódź—śladu żadnego nie zostawia.

Śród takich myśli patrząc na rzekę, spostrzegłem, że środkiem płynie jakieś światło. Rzucam się więc do wody, płynę na środek rzeki i ukryty wśród drzew pędzonych przez falę, czekam aż się owo światło przybliży. Miarkowałem, że to pewno ktoś drzewo tratwą splawia i że na niej może niema nikogo. Dobrze już było ciemno, więc choć światło coraz bliżej nadpływa, ja nic nie widzę, chwytam za krawędź tratwy, jednym rzutem na nią wskakuję i leżę cicho, jak ryba. Aż tu widzę, na środku, tam gdzie latarnia, ruszają się ludzie. Nic to, rzeka przy-

biera, prąd coraz bystrzejszy, wyliczyłem więc sobie, że do czwartej rano ze dwadzieścia pięć mil upłynę. Samym świtem będę mógł zsunąć się w wodę, popłynąć na brzeg Illinois i w lesie w największej skryć się gęstwinie.

Ale nie miałem szczęścia. Równaliśmy się już prawie z wyspą, gdy człowiek jakiś z latarnią zmierza ku przodowi tratwy, tam właśnie, gdzie leżałem w cieniu szychty. Widząc, że nie mam po co dłużej czekać, chluznąłem w wodę i popłynąłem prosto na wyspę. Poszedłszy w las, dałem sobie słowo, że nigdy już nie zbliżę się do tratwy, która płynie z latarnią w pośrodku. Zdradnie! Wziąłem z sobą fajkę, tytoń i zapalki, które, schowane w czapce, nie zamokły; więc miałem wszystko, co trzeba.

— Czy słyszałeś, jak strzelali z armaty?

— Słyszałem, pewny, że to ciebie szukają. Mogłem ich nawet widzieć przez krzewy.

Jakieś ptaki, młode zupełnie, zjawily się nie wiadomo z kąd i nagle przed nami upadły: podlecały na łokieć lub dwa, przysiadły i znów się zrywają. Jim mówił, że to wróżba deszczu, przed którym kurczęta tak samo podrywają się w górę. Chciałem złapać chociaż jednego, lecz Jim odradzał w obawie, że bym śmierci nie schwytał. Rzecz, gdy ojciec jego był bardzo chory, a ktoś w domu złowił ptaka, babcia staruszka zaraz przepowiedziała śmierć w domu. I cóż państwo powiecie? umarł ojciec Jim'a!

Podług Jima, nie trzeba też liczyć rzeczy, które się bierze do gotowania, bo to sprowadza nieszczęście, i nie można również strząsać z obrusa okrucichów po zachodzie słońca.

Jeżeli zaś umrze właściciel ula, a pszczoły nie będą zawiadomione o jego śmierci przed wschodem słońca, to wszystkie pomrą. Twierdził też, że pszczoła nigdy nie ukole głuptasa, ale ja w to nie wierzę, bo mnie przecież kąsać nie chciały.

O tem wszystkim i dawniej już słyszałem od Jima, który znał różne prognostyki.

— Skoro tyle znaków wróży nieszczęście, to chciałbym wiedzieć, czy niema takich, któreby szczęście zapowiadały?—rzekłem do niego.

— Bardzo mało, a i te niepożyteczne—odparł Jim. — Cóż ci z tego przyjdzie, jeżeli się dowiesz, że cię spotka coś dobrego? Szczęścia nie będziesz unikał? Wszelako są znaki takie i mogę ci je zaraz wymienić. Jeżeli ci rosną włosy na ramionach i na piersiach, to znak, że będziesz bogaty. No, niema co mówić, taki znak przyda się człowiekowi; przyjemnie wiedzieć, że choć nieprędko, ale zawsze kiedyś będą pieniądze. Bo to, widzisz, mógłbyś pod wpływem nędzy zniechęcić się do życia, może je nawet sobie odebrać, gdybyś z tego znaku nie wnosił, że będziesz kiedyś bogaty.

— A ty, Jim, czy masz także włosy na ramionach i na piersiach?

— Po co to się pytać o takie rzeczy? Widzisz przecie, że mam.

— I cóż? Bogaty jesteś?

— Nie, ale byłem już raz bogaty i znów nim będę. Miałem raz czternaście dolarów, alem na spekulacyi wszystko stracił.

— Na jakiej spekulacyi?

— Na handlu.

— Ale na jakim? Czem handlowałeś?

— Towarem. Żywym towarem: bydłem. Dziesięć dolarów włożyłem w krowę, która mi zdechła.

— I straciłeś dziesięć dolarów.

— Nie całe dziesięć, bo wziąłem za skórę dolara i dziesięć centów.

— A zatem miałeś jeszcze pięć dolarów i dziesięć centów. Czy temi także spekulowałeś.

— Właśnie. Znasz tego kulawego murzyna, który należy do starego pana Bradesh? Otóż ten murzyn, założywszy bank, obwieścił, że każdy, kto w nim złoży dolara, dostanie cztery w końcu roku, a może i więcej. Rzucili się tedy do banku wszyscy murzyni, choć każdy miał bardzo niewiele. Otóż umieściłem w tym banku pięć dolarów, za które po roku miałem odebrać trzydzieści pięć. Tymczasem murzyn ogłosił bankructwo i pieniądze moje przepadły.

— A z dziesięcioma centami coś zrobił?

— Chciałem sobie co za nie kupić, ale we śnie otrzymałem rozkaz oddania ich murzynowi Balaam, zwanemu dla krótkości Balaamową oślicą, bo to nawet i glupowaty trochę. We śnie slysze: „daj Balaamowi dziesięć centów, a on je tak umieści, że będą ci rosły i rosły.“ Dobrze! Wziąwszy pieniądze, Balaam poszedł do kościoła i slyszy, jak ksiądz mówi z ambony, że kto daje ubogiemu, ten Panu daje, a Pan zwróci mu to stokrotnie. Cóż miał robić Balaam? Oddał ubogiemu dziesięć centów... no! i czekałmy co z tego będzie.

— I cóż było?

— Nic nie było. Ani mnie, ani Balaamowi

nikt nie dał centa. Nigdy już nie oddam pieniędzy bez dostatecznej pewności. Za grosz—sto odbierzesz, mówił ksiądz. Od kogo? U kogo się będę upominał? Żebym choć odzyskał te dziesięć centów!

— E! mniejsza o to. Toć przecie znów będziesz bogaty.

— No, prawdę rzekłszy, już nim jestem, sam swoim będąc właścicielem; a wartość moja ośmset dolarów. Chciałbym posiadać te pieniądze!

ROZDZIA IX.

Grota.—Dom pływający.—Dobra zdobycz.

Zachciało mi się pójść wgląd wyspy dla obejrzenia jednego miejsca, które spotkałem przy pierwszym jej zwiedzaniu. Dotarliśmy tam wkrótce, bo wyspa miała co najwyżej trzy mile długości, a zaledwie ćwierć mili szerokości.

Miejsce, którem sobie w pamięci zakarbował, był to pagórek dość długi i bardzo stromy, rodzaj wału wysokiego na stóp czterdzieści. Nielatwo nam przyszło wydrapać się na przełęcz, tak boki były spadziste i tak gęsto zarosłe różną krzewiną. Obejrzelśmy jednak dokładnie sam grzbiet i boki i na tym, od strony Illinois, pod samym prawie wierzchołkiem, znaleźliśmy przestronną grootę. Obszerna, jak trzy pokoje razem wzięte, a tak wysoka, że Jim, chłop dobrego wzrostu, mógł w niej stanąć wypro-

stowany. Chłodno tam było, ale sucho. Jim radził, ażeby tu poznosić nasze rzeczy, lecz ja się opierałem temu, nie chcąc ciągle wlaźć na górę i schodzić z niej.

Jim był zdania, że gdybyśmy, ukrywszy łódkę, rzeczy nasze znieśli do groty, mielibyśmy schronisko przed deszczem i przed ludźmi.

Jakoż niezadługo nastąpiły nasze przenosiny. Na haczykach wędek, wczoraj założonych, znalazły się ryby, zdjąłem je, nastawiłem znów wędkę a zdobycz ugotowałem na obiad.

Wejście do groty zakrywały zarośla, lecz ponad nimi znajdował się otwór niewielki, a tuż pod nim płaskie, równe wzniesienie, jakby umyślnie do rozpalania ognia przeznaczone. Tam też rozłożyliśmy ognisko, żeby ugotować obiad.

Kołdry rozłożyliśmy na ziemi, jak dywany, przecieradło służyło za obrus i obiad odbył się z paradą. Niebawem zaczęło grzmieć i błyskać; ptaszki więc prawdę powiedziały. Po chwili deszcz padał ulewny, lało jak z cebra, wiatr się zerwał potężny, z całą siłą szalała burza letnia. Było tak chmurno, że powietrze miało kolor ciemno-szafirowy, bardzo piękny, a deszcz lał takimi strugami, że drzewa, o kilka kroków stojące, wyglądały, jakby w obłoku, jakby całe pajęczyną otulone. Z podmuchem wiatru drzewa gną się aż do ziemi, tak, że widać spód liści, jaśniejszy i bledszy, a gałęzie tak się wiją i wyginają, jakby ktoś ręce łamał z rozpaczy. Za chwilę, gdy najciemniej i najbłękitniej dookoła, nagle wytryska taka jasność, że wszystko zbieleje odrazu i widzisz jak tam, daleko gdzieś, o sto łokci, czy dalej, drzewa

zamiatają ziemię wierzchołkami, rozrzucając gałęzie na wszystkie strony... I znów za chwilę noc, czarna jak grzech, i znów słyszysz grzmot ze strasznym łośkotem, hukiem, rykiem, toczy się po niebie i spada na tamtą stronę świata, jakby kto próżne kufy toczył po schodach wysokich a spadzistych.

— Jakie to piękne, Jim — powiadam. — Cieszę się, że tu jestem. Daj-no mi jeszcze kawałek ryby i podplomyk.

— A widzisz! Nie byłbyś tu, gdyby nie Jim. Siedziałbyś w lesie, pod drzewem, i nie miałbyś obiadu gorącego i przemokłbyś do suchej nitki. Może nieprawdę mówię, co? Kurczęta wiedzą, kiedy ma być deszcz, i wiedzą także małe ptaszki. Pamiętaj o tem, kotku...

Przez dziesięć dni przeszło przybierała woda, aż nareszcie wyszła z łożyska. Niższa część wyspy, a głównie cały brzeg leżący naprzeciw Illinois, stał pod wodą, na kilka stóp głęboką. Z tej strony, jak okiem sięgnąć, wszędzie woda, ale na brzegu przeciwnym, naprzeciw Missouri, rzeka miała zwykłą szerokość, pół mili najwięcej, bo brzeg wysoki z tej strony spadzistem nad wodą sterczał urwiskiem.

Całemi dniami pływaliśmy łódką po wyspie. Słońce żarem paliło, a my śród drzew zażywaliśmy cienia i chłodu. Łódka prześlizgiwała się pomiędzy pniami licznymi, niby żywe, zwinne stworzonko; czasami stawiała jej zaporą gęstwina splecionej winorośli i na to nie było rady. Zawracając, torowaliśmy sobie inną drogę. Na drzewach siedziały króliki, węże i inne zwierzęta, które z głodu takie były łaskawe, że pozwalały brać się do ręki. Tylko węże i żółwie,

niedowierzając, śpiesznie do wody uciekały. W grocie naszej aż roilo się od nich.

Jednej nocy schwytaliśmy część bardzo porządnej tratwy: dziewięć, jeden w drugi dobieranych, bali sosnowych. Szerokość tratwy wynosiła stóp dwaście, długość do szesnastu, a wystawała nad wodą najmniej na siedm cali, pomost był mocny i równy, jak posadzka.

Kiedyindziej o samym świcie, ujrzeliśmy płynący dom cały, duży, dwupiętrowy, z dachem łamanym. Podpłynawszy pod ścianę—przez okno weszliśmy do środka. Że jednak ciemno było jeszcze, więc trzymając łódź na linie, płynęliśmy pod dachem wzdłuż wyspy.

Gdy dobrze dzień już zaczęło, dojrzeliśmy łóżko, stół, dwa stare krzesła, graty jakieś na podłodze leżące i odzież na wieszadle. Na podłodze, w najdalszym od światła kącie, leżało coś ciemnego, niby człowiek śpiący. Więc Jim woła:

— Hej! Wstawajcie!

Ale to coś leży nieruchomo. Krzyczę, nie rusza się. Powiada tedy Jim:

— Tak, to człowiek z pewnością, ale nieżywy, bo gdyby żył, jużby się obudził. Potrzyмай łódź a ja pójdę i zobaczę.

Poszedł, schylił się, popatrzył i mówi.

— Nie żyje. Sprawiedliwie umarły, wstanie dopiero na dzień sądu. Kulą dostał w plecy i obdarły do naga. Już chyba ze dwa dni leży. Nie podchodź, Huck, i nie patrz. Okropnie wygląda.

Nie spojrzałem nawet w tamtą stronę. Jim przykrył go staremi jakimiś gałganami, pomimo, że

wcale nie byłem ciekawy tego widoku. Na podłodze leżały rozrzucone stare, zatłuszczone karty, wypróżnione po wódce butelki, kilka masek z czarnego sukna, a na ścianach pełno było nieprzyzwoitych słów i rysunków, węglem kreślonych. Wisiały tam także dwie stare, brudne, suknie perkalowe, kapelusz, kilka zabłoconych spódnic kobiecych i trochę męskiej odzieży.

Wrzuciliśmy te gałgany do naszej łodzi, bo i to przydać się może. Zabrałem też stary kapelusz słomiany męzki, poplamiony i połamany. Była i pęknięta butelka z odrobiną mleka na dnie, zakorkowana gałganami, widocznie dziecko z niej ssało. Była i stara skrzynia i kufer nowy z zawiasami oderwanymi i bez zamka. Jedno i drugie stało otwarte, ale nic tam nie było wartościowego. Nieład straszliwy wskazywał, że mieszkańcy uciekali w popłochu przed rabusiami.

Wzięliśmy ztamtąd porządną, blaszaną latarnię, nóż rzeźnicki, ostry, ale bez rękojeści, nowiusieńki nóż stołowy, świeżo kupiony, paczkę świec łojowych, lichtarz mosiężny, blaszaną flaszkę, kubek do wody, zbrukaną i gdzieniegdzie podziurawioną kapę do łóżka, pudełeczko damskie z igłami, nićmi, szpilkami i tym podobnymi drobiazgami, młotek, z garść gwoździ, wędkę tak grubą, jak mój mały palec, z ogromnymi do niej haczykami; wzięliśmy zwiniętą w wałek skórę jelenią, obrożę skórzaną, podkowę końską i kilka flaszek z lekarstwami bez napisu. Przed samym wyjściem znalazłem jeszcze wcale niezły grzebień, a Jim stary smyczek i nogę drewnianą. Rzemyków i sprzączek nie było przy niej, poodrywał

ktoś wszystkie, ale zresztą była całkiem dobra, tylko dla mnie za długa, a dla Jima za krótka.

ROZDZIAŁ X.

Niespodzianka. — Stary Hans Bunker. — W przebraniu.

Po śniadaniu byłbym chętnie porozmawiał o tym nieboszczyku, żeby odgadnąć, kto go zabił i dlaczego, ale Jim nie miał ochoty do rozmowy. Przewidując jakieś nieszczęście, utrzymywał, że umarli gotów do nas przychodzić, bo człowiekowi niepogrzebionemu zawsze łatwiej włóczyć się po świecie i straszyć żywych, niżeli takiemu, co spokojnie i wygodnie leży pod ziemią. Wydało mi się to bardzo rozsądne, więc już rozmowy nie wszczynałem, pomimo, że mi ciągle stało na myśli: co to był za człowiek, kto go zabił i dlaczego?

Przeszukawszy kieszenie zabranego odzienia, znaleźliśmy siedm dolarów srebrem, zaszytych w starym paltocie pomiędzy podszewką a wierzchem. Jim był zdania, że ludzie, przebywający w owym domu, ukradli palto, nie wiedząc o tych pieniądzach. Ja zaś przypuszczałem, że nietylko ukradli palto, lecz i zabili właściciela, ale gdy Jim nie chciał mówić o tem, rzekłem doń:

— Obawiasz się nieszczęścia z takiej rozmowy? A pamiętasz, coś powiedział pozawczoraj, gdym przyniósł skórę wężową? Utrzymywałeś, że nas spotka

jak najgorsze. I cóż się stało?... Zdobyliśmy tyle różnego kramu i jeszcze ośm dolarów. Chciałbym, żeby nas codzien spotykało takie nieszczęście.

— Nie ciesz się przedwcześnie, mój kotku, przyjdzie jeszcze bieda. Zapamiętaj sobie! W drodze już jest i przyjdzie. Tylko patrzeć, jak się zjawi.

I przyszła! Mówiliśmy o tem we wtorek. W piątek po obiedzie leżymy na trawie, rozmawiając. Spostrzegłszy brak tytoniu, idę do groty i znajduję tam grzechotnika. Zabiłem go i zwiniętego w kółko, położyłem w nogach kołdry Jima, żeby go nastraszyć, dla śmiechu. Tymczasem do wieczora zapomniałem o wężu. Gdy po powrocie na nocleg, zapaliłem światło, a Jim leżał na posłaniu, pokazało się, że do zabitego węża przyszedł jego towarzysz i ukąsił Jim'a.

Jim krzyknął, zerwał się i oto co ujrzelśmy: Na pościeli Jima leżał wąż żywy, gotów do skoku. W jednej chwili zabiłem go kijem, a Jim schwyciwszy butelkę z wódką, lał ją sobie w gardło.

Bosy był i gadzina ukąsiła go w piętę — wszystko przez moją lekkomyślność! Na śmierć zapomniałem, że tam, gdzie leży wąż zabity, zawsze przyjdzie jego towarzysz i owinie się wkoło niego. Jim kazał mi w tej chwili odciąć wężowi głowę, odrzucić ją jak można najdalej, a z niego samego skórę ściągnąć i upiec kawałek mięsa. Zrobiłem to, a Jim zjadł mięso, mówiąc, że to pomaga. Potem kazał wyjąć z ogona grzechotki i owiązać niemi rękę w samej kostce. Powiedział, że i to pomaga. To wszystko zrobiwszy, wysunąłem się niepostrzeżenie, zabierając z sobą oba węże, i cisnąłem je daleko,

w najgęstsze zarośla, gdyż pragnąłem ukryć przed Jimem, że z mojej winy przyszło na niego nieszczęście.

Jim popijał i popijał ciągle; od czasu do czasu odchodził od przytomności, oglądał się naokoło dziwkim wzrokiem i krzyczał na całe gardło, ale po chwili znów przychodził do siebie i brał za flaszkę. Noga mu spuchła okropnie, aż po za kolano, a wkrótce zaczął go trunek rozbierać. Wiedziałem już, że wyzdrowieje, ale co do mnie, wolałbym chorować od ukąszenia węża niż od wódki.

Cztery dni i cztery noce leżał Jim ciężko chory. Piątego puchlina zesza, wstał więc i wyzdrowiał. Dałem sobie słowo, że nigdy w życiu nie wezmę w rękę skóry węża, Jim zaś mówił, że tysiąc razy wolałby zobaczyć nów przez lewe ramię, niż wziąć do ręki skórę węża.

Doprawdy i ja zaczynałem przechylać się do tego zdania, choć dawniej byłem pewny, że najgorszym głupstwem, jakie człowiek popełnić może, jest właśnie tak stanąć, żeby nów był za nami z lewej strony. Uczynił to raz naumyślnie stary Hans Bunker i jeszcze się tem przechwalał. I cóż państwo powiecie? W dwa lata potem upił się, spadł z wieży, którą dachem pokrywał, i rozbił się na ciasto.

Dzień schodził jeden za drugim i rzeka, powróciwszy do łożyska, spokojnie płynęła, jak zawsze. Na jeden z wielkich haczyków, któreśmy zabrali z pustego domu, zasadziłem odartego ze skóry królika i na tę przynętę zlapała mi się ogromna ryba, ważąca przeszło dwieście funtów. Nie mogliśmy dać jej

radę we dwóch: o mało nas w wodę nie wciągnęła. *Lat-fish* nazywa się taka ryba, największa ze wszystkich, jakie się poławiają w Missisipi. Rozpłatawszy ją, znaleźliśmy w jej żołądku duży, mosiężny guzik i różne inne rzeczy, których zwykle ryby nie jadają, a obok tego dużą, twardą gałkę. Po rozcięciu jej, okazała się w środku drewniana szpulka, którą ryba oddawna już połknąć musiała. Mięso ma smaczne i jak śnieg białe.

Nazajutrz rano oświadczyłem Jim'owi, że się nudzę i że chciałbym przeprawić się do Illinois. Chwając mój pomysł, radził mi przebranie się za dziewczynę dla bezpieczeństwa, co było łatwe przy znalezionej w owym domu odzieży. Rada była dobra i postanowiłem zastosować się do niej. Ponieważ jedna z perkalowych sukien była za długa, zrobiliśmy u niej zakładkę, spodnie zaś podwinawszy do kolan, ukryłem zupełnie pod spódnicą. Jim pozapinał haftki na plecach i pokazało się, że suknia leży doskonale, a gdym włożył na głowę perkalowy od słońca kapelusz, zawiązany mocno pod brodą, Jim utrzymywał, że w biały dzień nawet niktby mnie nie poznał w tem przebraniu. Chodziłem w niem przez cały dzień, żeby się oswoić z babskim strojem. Tylko chód mój Jima nie zadawała, przestrzegał również, żebym nie podciągał w górę spódnicy, kładąc rękę do kieszeni w spodniach.

O zmroku wsiałem do łodzi i popłynąłem na brzeg Illinois. Przybywszy szczęśliwie, wysiadłem nieopodal od miasteczka, idąc wybrzeżem ku miastu. Stała tam mizerna chałupina, w której oddawna nikt nie mieszkał. Ściemniło się w oknie. Zaciekawiony,

kto tam jest, zajrzałem w okno ostrożnie. Patrząc: siedzi kobieta może czterdziestoletnia i robi pończochę, a przed nią na prostym stole sosnowym pali się świeca w lichtarzyku. Nieznana mi była twarz tej kobiety, zapewne obcej, bo wszystkich mieszkańców miasteczka doskonale znałem z widzenia. Ucieszyłem się też, ujrawszy twarz obcą, bo myśl, że mnie ludzie poznają po głosie, przejmowała mnie strachem. A taka kobiecina, choćby dopiero od dwóch dni tu przebywała, już mi wszystko rozpowiedzieć może. Zastukałem więc do drzwi, z mocnem postanowieniem nie zapomnienia ani na chwilę, że mam panienczkę, nie chłopiec.

ROZDZIAŁ XI.

Huck i nieznajoma. — Co słychać? — Złapał się Huck. — „Szukają nas!“

Zapukałem. — „Proszę wejść“ — odpowiedziano. Gdym wszedł i przywitał niewiastę, obejrzała mnie od stóp do głów małemi oczkami świdrującemi i pyta:

— Nie możnaby wiedzieć, jak ci na imię?

— Sara Williams.

— A gdzie mieszkasz? W tych stronach?

— O nie, proszę pani; w Hookerville, o siedm mil ztąd w dół rzeki. Całą drogę szłam pieszo i okropnie jestem zmęczona.

— I głodna pewno także? Poczekaj, znajdzie się coś dla ciebie.

— Dziękuję pani, nie jestem głodna. Jeść mi się bardzo chciało i wstąpiłam po drodze na folwark, o dwie mile ztąd. Tam mnie nakarmili i wcale mi się jeść nie chce. Dlatego nawet tak się spóźniłam. Matka moja leży chora, nie mamy już ani pieniędzy, ani żadnych zapasów, przyszłam więc tu, do wuja mojego, Abnera Moore. Nigdy tam jeszcze nie byłam, podobno dom wuja na końcu miasta. Prawda, proszę pani? A może pani zna mego wuja?

— Nie, nie wszystkich znam jeszcze. Niema dwóch tygodni, jak tu mieszkam. Kawał drogi masz przed sobą, jeżeli idziesz na drugi koniec miasta. Zanocuj tu lepiej, a tymczasem zdejm kapelusz.

— Nie, dziękuję pani — powiadam. — Odpocznę tylko i dalej pójdę. Ciemno wprawdzie, ale ja się nie boję.

Ona mi na to, że mnie nie puści samej, że mnie odprowadzi mąż jej, który za godzinę powróci. Zaczyna mi potem rozpowiadać o swoim mężu, o swoich krewnych, mieszkających w górze rzeki, i o krewnych, mieszkających w dole rzeki, i jak im się dobrze powodziło dawniej, i jak nieroztropnie uczynili, przenosząc się do naszego miasteczka, gdzie im się wcale nie powodzi i tak dalej i dalej. Lecz gdy mówić zaczęła o tatce i o zamordowaniu Huck'a, chętnie słuchałem jej paplaniny. Pytam więc:

— Któż go zamordował? Dużo o tem mówiono u nas, w Hookerville, ale do tej pory nie wiemy, kto był zabójcą Huck'a Finn?

— E, ja myślę, że tu są tacy, którzy wiedzą, kto zabił Huck'a. Podejrzewają starego Finna.

— Czy doprawdy? Nie może to być!

— Wszyscy prawie tak myśleli z początku. Mało brakowało, żeby nie ukarano starego po naszymu prawem *Lynch'u*¹⁾. Potem jednak zaczęto przypuszczać, że zbrodnię mógł popełnić zbiegły ztąd murzyn, niejaki Jim.

— Cóż znowu? Jim...

I urwałem nagle, bo przyszło mi na myśl, że lepiej uczynię, milcząc. Kobieta dalej prawila, nie zwróciwszy nawet uwagi na moje słowa:

— Trzeba ci wiedzieć, że murzyn zbiegł tej samej nocy, w której zamordowano biednego chłopca. Wyznaczono więc nagrodę za schwytanie go: trzysta dolarów. A i ten dostanie nagrodę—dwieście dolarów — kto znajdzie starego Finna. Bo to widzisz, tak było: przychodzi on do miasta rano i opowiada, że syna mu zabito w nocy, czy może przed samą nocą. Zaraz też wyprawiono łódź na poszukiwanie zwłok, a stary zabrał się także z nimi i szukał, ale potem, gdy nic nie znalazłszy, wrócili wszyscy do miasta, stary gdzieś zniknął. Przed nocą jeszcze chciano się wziąć do niego, niechby pokosztował *lynch'u*, ale już go nie było — przepadł gdzieś, uważasz? Na drugi dzień pokazuje się, że murzyna niema, a nawet, że od dziesiątej wieczorem tej nocy, w której spełniono zbrodnię, nikt go nie widział na oczy. Na

¹⁾ Prawem Lynchu (*Lynch-law*) nazywa się dawniej praktykowany w Ameryce, zwyczaj, że tłum schwytawszy przestępcę, sam mu wymierza sprawiedliwość.

niego więc wszystko złożyli i już o niczem innem nie mówią. Wtem powraca stary Finn, prosto idzie do sędziego Thatcher'a, a głośno płacząc, że murzyn zabił mu dziecko, prosi, błaga, żeby mu sędzia dał pieniędzy na szukanie murzyna. Sędzia dał mu trochę grosza, a stary, dobrze opity, aż do północy waleśał się po mieście z jakimiś nieznajomymi, którym niedobrze z oczu patrzyło. Gdy znikli razem, już od tej pory nikt Finna nie widział. Strasznie podobno człek chytry! Gdy wróci po upływie roku, wszystko pójdzie jak z płatka. Niczego mu nikt nie dowiedzie i pieniądze syna wpadną mu w ręce.

— Czy przestali już podejrzewać o zbrodnię murzyna?

— Nie, są jeszcze tacy, którzy myślą, że nikt inny nie mógł być zabójcą, tylko murzyn. Zapewne go wkrótce schwytają i zmuszą do wyznania prawdy.

— Więc go szukają?

-- Ma się rozumieć, gąsko jedna, że go szukają. Czy to codzień zdarza się ludziom sposobność dostania trzystu dolarów? Ci i owi myślą nawet, że murzyn ukrywać się musi gdzieś niedaleko. I ja tak myślę, nie lubię jednak pleść bez potrzeby. Podobno na tę wysepkę, co tu leży na środku rzeki — *Jackson's Island*, prawda? — nigdy nikt nie zagląda. Nikt tam nie mieszka, a prawie pewna jestem, że dwa dni temu widziałam dym na wyspie, od Missouri. To nie kto inny, tylko murzyn tam się ukrywa; wartoby zadać sobie trochę trudu i przetrząsnąć wysepkę, jak się należy. Od tamtej pory nie widziałam już dymu, więc jeżeli to on był, to skrył się gdzieindziej. Ale to nic nie szkodzi: pojedzie tam mąż mój

I to nie sam, ale z drugim. We dwóch popłyną i to nie tracąc czasu. Nie było męża w domu, ale gdy dziś powrócił, zaraz mu powiedziałam, żeby przeszkalał wyspę.

Taki mnie ogarniał niepokój, że nie mogłem wysiedzieć na miejscu. Potrzebowałem koniecznie mieć coś w ręku, coś w palcach przynajmniej trzymać, wziąłem więc ze stołu igłę i zaczynam ją nawlekać. Ale drżały mi ręce i czułem, że niezręcznie to robię. Gdy kobieta mówić przestała, widzę, że na mnie patrzy ciekawie i z uśmiechem. Położyłem więc igłę i nitkę i udając, że mnie bardzo zajęła jej opowieść, rzekłem:

— Trzysta dolarów, to niemały pieniądz. Jakżebym chciała, żeby mama dostać je mogła. Czy mąż pani dziś jeszcze popłynie na wyspę?

— Tak, dzisiaj. Poszedł do miasta z tym człowiekiem, który ma mu towarzyszyć, po łódź i drugą strzelbę. Po północy wyruszą.

— Czy nie łatwiej-by im było szukać w dzień? Niechby poczekali do rana?

— Tak? A murzynowi nie łatwiej będzie ich spostrzedz? Tymczasem po północy on zaśnie twardo, nasi zaś w ciemności łatwiej dostrzegą blask ogniska, jeżeli je murzyn rozpalili.

— Nie zdaje mi się.

Kobieta spojrzała na mnie ciekawie, a ja nie mogłem ukryć zmieszania. Po chwili znów zaczyna:

— Jak mówiłaś, że ci na imię, kochaneczko?

— Ma-Mania Williams.

Powiedziałem „Mania“, ale ciągle mi się zdawało, że się omylił. Nie śmiałem więc spojrzeć

w oczy kobiecie, czując, że się złapał i że znać to po mnie.

— Zdaje mi się, kochaneczko, że gdy cię pierwszy raz o imię spytałam, odpowiedziałas mi: Sara?

— Tak proszę pani, nazywam się Sara Marya Williams. Na pierwsze imię mam Sara. Jedni nazywają mnie Sarą, drudzy Manią.

— Tak? Więc masz dwa imiona?

— Tak, proszę pani.

Jakkolwiek trochę uspokoiony, oczu jednak podnieść nie śmiałem. Skoro wszakże kobieta zaczęła narzekać na ciężkie czasy i na szczury, odzyskałem dawną swobodę. O szczurach mówiła świętą prawdę. Co chwila to z tej, to z owej dziury wyglądały na zbę. Mówiąc, że gdy jest sama, zawsze ma pod ręką coś do rzucania na szczury, które jej spokoju nie dawały, pokazała mi sztabkę ołowianą, skreconą w węzeł.

— Tem na nich rzucam — powiada — i zwykle trafiam doskonale, dziś wszakże, mając ramię mocno sforsowane, trafić nie mogę.

Jakoż gdy szczur wyszedł, cisnąwszy w niego ciężarkiem, chybiła, sykając z bólu.

— A możebyś ty spróbowała — rzecze do mnie.

Choć pilno mi było uciec przed powrotem jej męża, wziąłem jednak ołów i cisnąłem nim w pierwszego szczura, który wyścibił nos z dziury. Gdyby czekał, to z pewnością nie poszłoby mu to na zdrowie. Gospodyni moja oświadczyła, że rzucam wybornie i że drugiego szczura zabiję z pewnością. Poczem wstawszy z krzesła, przyniosła z głębi pokoju motek przedzy, prosząc, żebym jej pomógł

w robocie. Rozstawiłem wtedy obie ręce, a ona, włożywszy na nie motek, wciąż o interesach swoich i o mężu opowiadała. Nagle, przerywając sobie, mówi:

— Żeby zabić szczura, trzeba mieć ołów w pogotowiu, na kolanach.

I to mówiąc, rzuciła mi ciężarek na kolana, które ścisnąłem szybko, żeby mu nie dać upaść na ziemię. Po chwili kobieta, zabrawszy motek, pyta żartobliwie, patrząc mi w oczy;

— Powiesz mi teraz, jak się nazywasz... naprawdę?

— C... co? co, pro-oszę pa...?

— Jak ci naprawdę na imię?—przerwała —Bill, Tom, Bob, czy inaczej?

Zdaje mi się, że drżał cały, jak liść na wietrze; nie wiedziałem, co odpowiedzieć, co robić. Mówię jednak:

— Proszę pani, niech pani będzie łaskawa nie żartuje sobie z biednej dziewczyny. Jeżeli ja pani zawadzam, to ja... ja...

— Nie pójdiesz nigdzie. Siadaj i siedź tam, gdzie siedziałeś. Nie zrobię ci nic złego. Zwierz mi się tylko ze swoją tajemnicą i zaufaj mi. Ja ci tajemnicy dochowam: więcej nawet uczynię, bo dopomogę ci, wraz z mężem, gdybyś tego potrzebował. Ja wiem: uciekłeś od majstra. Jesteś zbiegły terminator, ale to nic nie szkodzi, nic w tem złego i obawiać się nie potrzebujesz. Źle się musiał z tobą obchodzić i tyś go dlatego porzucił. Bóg z tobą, dziecko, nie powiem tego nikomu, tylko mów prawdę.

— Widzę — rzekłem — że komedyi dłużej grać

nie można, wyznam więc prawdę, prosząc o dotrzymanie danego mi słowa. Rodzice moi już nie żyją, a opieka oddała mnie na naukę do właściciela folwarku, o trzydzieści mil ztąd wgląd kraju, starego skąpca, który tak źle się ze mną obchodził, że nie mogąc dłużej wytrzymać, ściągnąłem córce trochę ubrania i uciekłem w przekonaniu, że wuj mój, Abner Moore, zechce się mną zaopiekować. To też pilno mi było dojść do tego miasteczka--do *Goshen*.

— Co ty mówisz, *Goshen*? Ależ to nie *Goshen*. To Nowy Piotrków. *Goshen* o dziesięć mil dalej, w górę rzeki. Któż ci powiedział, że to *Goshen*.

— Kto? Jakiś człowiek, którego spotkałem dzisiaj rano, o samym świcie. Kazał mi z gościńca zejść na prawo.

— Chyba był pijany. Na lewo właśnie do *Goshen* iść trzeba.

— Ha, co prawda, wyglądał na pijanego, ale teraz mniejsza już o to. Stało się! Trzeba ruszać w drogę, bo powinienem być w *Goshen* o wschodzie słońca.

— Poczekaj-no chwilę. Dam ci przekąskę, przyda się w drodze.

Krzatając się koło przekąski, pyta mnie:

— Powiedz no, gdy krowa chce się podnieść, na które nogi wstaje?

— Na tylne, proszę pani.

— Dobrze, a koń?

— Na przednie.

— Z której strony drzewo mchem porasta?

— Od północy.

— Jeżeli piętnaście krów pasie się na wzgórzu, ile obróconych jest głowami w tym samym kierunku?

— Wszystkie piętnaście, proszę pani.

— Dobrze, dobrze! Widzę teraz, żeś na prawdę na wsi wychowany, a podejrywałam, że mnie chcesz znów naciągnąć. Powiedz że mi teraz, jak się naprawdę nazywasz?

— Jerzy Peters, proszę pani.

— Staraj-że się nie zapomnieć już tego nazwiska, Jerzy. Pamiętaj, żebyś mi znów nie powiedział, że ci Aleksander na imię i nie wykręcał się, że masz dwa imiona: Jerzy i Aleksander. Nie wchodź też między kobiety w tej perkalowej sukieneczynie, bo licho udajesz dziewczynę; tylko mężczyzn oszukać możesz. Bóg z tobą, dzieciaku! a toż kiedy się zabierasz do nawlekania, to nie naprowadzaj igły na nitkę, lecz odwrotnie: zamiast trzymać nieruchomo nitkę, nią właśnie szukaj uszka igły. Tak zawsze nawlekają kobiety, mężczyźni zaś wszystko naodwrot czynią. A kiedy rzucasz czemś ciężkiem, to stań na palcach, podnieś rękę nad głowę najwyżej i najniezgrabniej, jak możesz, i staraj się chybić celu co najmniej na jakie sześć stóp. Rzucaj zaś całym ramieniem i z rozmachem, jakbyś miał ramię na trzpieniu osadzone, bo tak zawsze rzucają dziewczęta. I to sobie pamiętaj: gdy dziewczyna chce, żeby jej coś upadło na kolana i nie stoczyło się na ziemię, to kolana rozsunie, robiąc ze spódnicy niby fartuszek, do przyjęcia czegoś nastawiony. Dziewczyna ci nigdy nie ściśnie kolan, jak ty uczyniłeś, łapiąc ciężarek ołowiany. Skoro tylko zobaczyłam, jak igłę nawlekasz, domyśliłam się, żeś chłopiec, a ze szczurami i z oło-

wiem, tom już tylko naumyślnie próbowała, żeby być pewną swego. A teraz ruszaj do swego wuja, Saro Maryo Williams, Jerzy Aleksandrze Peters, a jeśli ci się co przytrafi, to daj znać pani Judycie Loftus, to znaczy mnie, ja zaś uczynię wszystko, co będę mogła, aby cię wybawić z kłopotu. Trzymaj się drogi nad rzeką, a idąc na taką wędrownkę, bierz z sobą trzewiki i skarpetki. Droga do Goshen ostremi kamieniami usiana i zanim tam dojdziesz, nogi twe będą porządnie pokaleczone.

Uszedłszy brzegiem z pięćdziesiąt łokci, zawróciłem na miejscu i co tchu biegłem do łódki. Wskoczywszy do niej, wiosłowałem ile sił starczyło, aby czempredzej dobić się wyspy. Wylądowawszy z tej strony, gdzie brzeg wysoki i spadzisty, wdrapałem się na urwisko i na tem samym miejscu, gdzie po raz pierwszy rozpałił ogień, rozłożyłem teraz wielkie ognisko, z suchych gałęzi.

Uczyniwszy to, wszedłem do łodzi i z tym samym pościechem gorączkowym, opłynawszy połowę wyspy, wysiadłem na brzeg, i w susach przebywając spadzistość wału, wpadam do groty. Jim spał w najlepsze. Budząc go, wołam:

— Zbieraj się, Jim... Prędzej! Chwili nie mamy do stracenia.. Szukają nas!

Jim nie pytał o nic, ale ze sposobu, w jaki się uwijał, widać było, że go przeraziły moje słowa. W przeciągu pół godziny zdążyliśmy złożyć na tratwie całe nasze mienie i wyprowadzić z zatoczki, nie zapomniawszy, ma się rozumieć, do szczętu wygasić ognia.

Odepchnawszy od brzegu tratwę, do której łódź

była przymocowana, trzymając się cienia, przez gałęzie drzew nadbrzeżnych rozpostartego na wodzie, daliśmy się unieść prądowi i opuściliśmy wyspę.

ROZDZIAŁ XII.

Powolna żegluga. — Pożyczenie. — Na pokładzie tonącego parowca. — Zbrodniarze. — „To się sprzeciwia moralności.“ — „Niema tratwy!“

Musiało już być koło pierwszej, gdy wyspa znikła nam z oczu, a jednak gotów byłem przysiąc, że tratwa stoi na miejscu, tak się nam czas długim wydawał. Gdybyśmy byli spotkali kogokolwiek, bylibyśmy natychmiast skoczyli do łodzi i uciekli na brzeg Illinois. Dobrze się jednak stało, że nie zaszła potrzeba ucieczki, gdyż nie włożyliśmy do łodzi ani strzelby, ani wędki, ani czegokolwiek do jedzenia. Strach nie pozwalał myśleć o tylu na raz drobiazgach.

Gdyby nas kto naprawdę szukał na wyspie, to byłby najpierwej pośpieszył do ognia, który roznieciłem naprzeciw Missouri, i przez to samo przeoczyłby nas, płynących odnoga od strony Illinois. Jeżeli nikt nas nie szukał i mój ogień nikogo nie wywiódł w pole, to już nie moja wina. Zrobiłem, co mogłem, żeby figla wypłatać amatorom trzystu dolarów

Gdy już świtać na niebie zaczynało, zatrzymaliśmy się podle ławicy piaszczystej, leżącej nieopodal

brzegu Illinois, na zakręcie rzeki. Ławica gęsto była porośła krzakami bawelny, narąbawszy więc gałęzi, pokryliśmy niemi całą tratwę.

Tu było zupełnie bezpieczeństwo. Łożysko rzeki zwężało się w tem miejscu; po stronie Missouri piętrzyły się wysokie góry; po stronie Illinois stał mur wysokopiennego boru; całą powierzchnię rzeki od brzegu do brzegu można było wzrokiem ogarnąć bez obawy niespodziewanego spotkania z łodzią lub z parowcem. Leżeliśmy w czólnie, schowanem pomiędzy tratwą a zagajnikiem krzewu bawelnianego i przez nikogo niewidziani, mogliśmy patrzeć, jak lekko suną z biegiem wody parowce, jak borykają się z prądem łodzie i statki pod wodę płynące. Opowiedziałem teraz Jim'owi całą swoją rozmowę z *mistress* Judytą Loftus, a Jim, wysłuchawszy opowiadania, oświadczył, że to sprytna kobieta i że gdyby ona wybrała się na wyspę szukać nas, to nie dałaby się w pole wyprowadzić i nie leciała, jak ćma, na ogień. — Nie, Huck, upewniam cię, że ona wzięłaby psa.

— Dlaczegoż więc—pytam — nie mogła powiedzieć mężowi, żeby psa wziął?

A Jim na to:

— Założyłbym się, że jej to przyszło na myśl dopiero w ostatniej chwili, wtedy, gdy mężczyźni wyszli już w drogę. Gdyby nie to, nie siedzielibyśmy teraz pod zagajnikiem. Oho, oddawna byłiby już nas do miasta odprowadzili.

— Mało mnie to obchodzi, dlaczego nas nie znaleźli — odpowiedziałem — dość mi na tem, że nie znaleźli.

Zmierzch stał się na wodę, gdyśmy wysadzili głowy z zarośli. Patrzymy na lewo, na prawo, przed siebie, nigdzie nikogo, pusto wszędzie i spokojnie. Zdjął więc Jim z tratwy kilka desek, tworzących wierzchni pomost, i sklecił na jej pokładzie porządną budę, żebyśmy mieli schronisko dla siebie i rzeczy na wypadek ulewy. Podłoga w budzie była przeszło na stopę wzniesioną nad poziom pomostu, żeby woda, rozbijana kołami parowców, nie zalewała pościeli. W samym środku budki warstwa błota, wysoka na kilka cali, a obłożona wkoło deskami, miała służyć w dni słotne, chłodniejsze, do rozpalania ognia, żeby go zewnątrz widać nie było. Zrobił Jim także zapasowe czółno, na wypadek, gdyby się zepsuło jedno z naszych. Ja zaś wbilem w ścianę, od strony zewnętrznej, gwóźdź do latarni, którą musieliśmy zapalać, jako sygnał dla parowców z wodą płynących, żeby na nas nie wpadły. Dla parowców, idących pod wodę, sygnał nie był potrzebny, bo one, szukając wody głębokiej, płynęły zwykle środkiem zeki.

Tej nocy płynęliśmy siedm do ośmiu godzin, nie wiosłując wcale; prąd nas unosił z szybkością czterech mil na godzinę. Łowiliśmy ryby, rozmawiali, a od czasu do czasu, gdy sen bardzo nas zmorzył, skakaliśmy w wodę naprzemiany, żeby orzeźwić się trochę. Noc była spokojna i pogodna, więc błogo nam było płynąć po rzece wielkiej a cichej, na wznak leżąc i patrząc w gwiazdami usiane niebo. Tak cicho było i pięknie, że nie śmieliśmy prawie mówić głośno, ani się śmiać na całe gardło, tylkośmy rozmawiali głosem stłumionym. Pogoda

była przecudowna tak tej nocy, jak i następnych. Nic nam się też nie przytrafiło.

Co noc mijaliśmy różne miasta, mniejsze i większe, jedno tuż nad brzegiem rozesłane, inne na ciemnych, wysokich wzgórzach, z kąd tylko promieniały ku nam sznury świateł, a domów nie było widać. Piątej nocy z rzędu mijaliśmy *St. Louis*, gdzie tak się jasno świeciło, jakby świat cały stał w ogniu. W naszym miasteczku mówiono, że Saint-Louis ma do trzydziestu tysięcy mieszkańców! Nigdy temu nie wierzyłem; dopiero, gdy o drugiej w nocy zobaczyłem taką nad miastem lunę, pomyślałem, że może to prawda. Cicho tam było zupełnie; zapewne spali już wszyscy.

Każdej nocy, po przybiciu do brzegu, wysiadałem na ląd, żeby w nadbrzeżnych wioseczkach kupić za kilkanaście centów mąki, albo słoniny, lub wreszcie cobądź do jedzenia. Czasami, gdy spotkałem kurczaka, który się wałęsał, zamiast spokojnie spać na grzędzie, zabierałem go z sobą. Tatko mawiał zawsze: bierz kurczaka, gdy ci się nawinie, bo jeżeli tobie niepotrzebny, to łatwo znajdziesz kogós, komu się przyda, a miło jest spełnić dobry uczynek. Nie widziałem wprawdzie nigdy, żeby tatko nie potrzebował kurczęcia sam dla siebie, ale wybornie pamiętam, że tak mawiał

Rano, przededniem, zaglądałem na pola, gdzie rosły arbuzy, melony, dynie, albo jarzyny i *pożyczałem* od właścicieli to, czegośmy dla siebie potrzebowali. Tatko mawiał, że w takim pożyczaniu niema nic złego, byle tylko mieć zamiar zwrócenia właścicielowi pożyczonych w ten sposób rzeczy. Wdowa

jednak mówiła, że takie „pożyczanie,” to poprostu kradzież i że nikt uczciwy nie weźmie takiej pożyczki. A Jim znów twierdził, że podług niego i tatko ma słuszość i wdowa także, to też najlepiej wybrać kilka rzeczy i dać sobie słowo, że tych nigdy od nikogo nie pożyczymy, a za to z czystym sumieniem pożyczać inne, koniecznie dla nas potrzebne. Rozmawialiśmy raz o tem przez całą noc, nie mogąc postanowić, czego się wyrzec: arbuzów, czy melonów, czy jarzyn. Nad ranem jednak daliśmy sobie słowo nie tykać dzikich jabłek i pasternaku! Przedtem sumienie nas trochę gryzło, ale teraz spokój nam wrócił. Ja szczególnie bardzo byłem zadowolony, bo dzikich jabłek nigdy nie jadłem, a pasternak dopiero za parę miesięcy mógł dojrzeć.

Od czasu do czasu zastrzeliliśmy kurkę wodną lub cyrankę. To już ich wina! Padaly ofiarą te tylko, które za wczesnie wstały, albo za późno spać się kładły. Wogóle, żyliśmy sobie, aż miło.

Drugiej, czy trzeciej nocy po minięciu Saint-Louis mieliśmy po północy straszliwą burzę z piorunami, błyskawicami i z taką ulewą, że nie strumieniem, lecz płachtą całą spadała woda z nieba. Siedzieliśmy schowani w naszej budzie, zdawszy opiekę nad tratwą jej samej. Przy świetle błyskawicy widzieliśmy tylko przed sobą gościniec wodny, cały pomarszczony fałami, po obu bokach ciekące wodą skały, a zresztą nic. Aż wreszcie powiadam dc Jim'a:

— Patrz-no, Jim, spójrz tam, w bok trochę. Był to parowiec, który się rozbił, wpadłszy na skałę

podwodną. Płynęliśmy prościutko na niego i w świetle błyskawic widzieliśmy go jak najwyraźniej. Pochylił się naprzód i więcej niż do połowy zatonął, ale pokład był jeszcze nad wodą i wszystko stało na swoim miejscu, jak być powinno. Nawet gdy błysnęło, to widziałem, że tuż obok sznura od dzwonu stoi krzesło, a na poręcz jego założył ktoś kapelusz z wielkimi skrzydłami.

A choć to była noc i burza i wszystko tak tajemniczo wyglądało, uczulem jednak ochotę dostania się na pokład parowca, żeby obejrzeć tam wszystko i pomyszkować troszeczkę. Powiadam więc do Jim'a:

— Wejdźmy na pokład.

Ale Jim ani słyszeć chciał o tem.

— Nie mam ochoty głupstw robić—powiada.— Bardzo nam tu dobrze, a kiedy nam dobrze, to po co mamy kłaść głowę pod miecz, jak mówi Święte Pisanie. A zresztą jest tam pewno wartownik i pilnuje.

— Ty sam wartownik i babka twoja! — odciąłem. — Czego tam wartownik ma pilnować? Kajut chyba i budki sternika. Ktoby tam zresztą chciał narażać życie dla głupich kajut i dla budki w taką noc jak dzisiejsza, kiedy statek może lada chwila zatonać i pójść na dno rzeki?

Temu Jim nie mógł zaprzeczyć i nie próbował nawet.

— A przytem — mówię jeszcze—w kajucie kapitana pożyczymy sobie może coś takiego, co nam się przyda. Cygara, przysiągłbym, że są i to ko-

sztowne, sztuka przynajmniej po pięć centów gotówką.

Każdy kapitan parowca to bogacz, bierze po sześćdziesiąt dolarów miesięcznie, a taki nie dba wcale, ile za co trzeba zapłacić, byle miał, czego mu się zachce. Weź-no świecę do kieszeni, Jim... Spokoju mieć nie będę, póki nie popłądrujemy tam trochę. Cóż ty sobie myślisz, że Tomek Sawyer przepuściłby taką sposobność? Nigdy, za nic w świecie! Nazwałby to przygodą... tak *przygodą* i wstąpiłby na ten pokład, choćby to już miał być ostatni krok w jego życiu. A jakby on to pięknie zrobił! jaki byłby pyszny! No, widziałbyś! Wziąłbyś go za Krzysztofa Kolumba, odkrywającego ziemię obiecaną! No, chciałbym ja tylko, żeby tu był Tomek!

Jim pomruczał trochę, ale ustąpił. Mówił tylko, że powinniśmy rozmawiać z sobą jak najmniej i to po cichu. Błysnęło w tej chwili, właśnie w sam czas, bośmy już stali pod parowcem. Wdrapawszy się na pokład, dość wysoko sterczący jeszcze nad wodą, szliśmy ostrożnie ku przodowi okrętu, po omacku, próbując nogą, gdzie trzeba stąpić, aby nie wpaść w jakiś otwór, którego widać nie było. Natrafiliśmy jakoś na schodki do kajut wiodące; pierwsza z brzegu była otwarta, zaglądamy do niej, ciemno, ale gdzieś dalej błyska jakieś światelko i w tejże samej chwili dochodzą nas głosy.

Jim, szepcząc, że mu się niedobrze robi ze strachu, radzi uciekać. Już się więc zabieramy wracać na tratwę, gdy słyszę jakiś głos błagalnie jęczący:

— Zmilujcie się, chłopcy, nademną. Przysięgam, że nie powiem ani słowa.

— Kłamiesz, Turner. Nie pierwszy raz tak robisz. Zawsze wymagasz, żeby ci dano więcej, niż innym, i zawsze dostajesz więcej, niż ci się należy, bo się odgrażasz, że wszystko wyśpiewasz, jeżeli ci nie dadzą tyle, co chcesz. Tym razem jednak przebrałeś już miare. Podły jesteś, nikczemny i zdrajca, jakiego niema na świecie.

Jim poszedł zobaczyć, co się dzieje z tratwą, a ja aż drzę cały z ciekawości i powiadam sam sobie, że Tomek Sawyer nie odszedłby teraz za nic w świecie, a więc i ja nie odejdę, póki nie zobaczę, co się tu dzieć będzie. Przykucnąłem tedy i czolgając się w wązkim przejściu na czworakach, dopłynęłem do kajuty, gdzie na podłodze leżał rozciągnięty człowiek jakiś! Ręce i nogi miał związane, a przy nim stało dwóch ludzi: jeden z latarką w ręku, drugi z pistoletem. Ten ostatni, mierząc do człowieka leżącego na ziemi, mówił:

— Och! zabiłbym cię! I powinienbym... Takiego, jak ty łotra!

A ten na podłodze dzwoni zębami ze strachu i błaga:

— Nie czyn tego, Bill, nie czyn... Nie powiem... nic już nie powiem.—Po ostatniem słowie ten z latarnią wybuchnął śmiechem i mówi:

— A prawda, że już nigdy nic nie powiesz! Nigdy w życiu nie wyrzekłeś większej prawdy.

I dodał jeszcze:

— Słyszycie, jak błaga? A gdybyśmy go nie związali, toby nas był zabił obudwu. I za co? Za

nic! Tylko za to, że my *swojego* chcemy. Tylko za to. No, ale teraz nikomu już się odgrażać nie będziesz. Spuść pistolet, Bill.

A Bill na to:

— Żeby tak żyw był, jeśli spuszczę. Trzeba go zabić. Czy on nie uśmiercił w taki sam sposób starego Hatfelda? Czy nie zasłużył na śmierć?

— Ale ja nie chcę, żebyś go zabił, mam do tego swoje powody.

— Niech cię Bóg błogosławi za te słowa, Jackobie Packard! Nie zapomnę ci tego, póki żyjesz!— mówi na pół z płaczem człowiek, leżący na podłodze.

Packard, nie zważając na jego słowa, powiesił latarnię na gwoździu, postąpił parę kroków ku miejscu, gdzie ja siedziałem skulony w ciemności, i skinięciem przyzwał ku sobie Bill'a. Statek tak się kołysał, że bojąc się, abym na nich nie wpadł, powędrowałem na czworakach dalej trochę i wsunąłem się do kajuty kapitana. W ciemności słyszę, że tuż za mną idzie Packard i także wchodzi do kajuty, a wychylając się we drzwiach woła:

— Tutaj, Bill, w kajucie jestem. Chodź tutaj...

Nim oba weszli do kajuty, wskoczyłem na policę, która zastępuje łóżko w kajutach, przycisnąłem się do ściany, dech wstrzymując, pełen rozpaczy, że tu przyszedłem. Oni, stojąc tuż obok mnie, położyli ręce na krawędzi policy i rozmawiają. Nie mogłem ich widzieć, ale wiedziałem, gdzie są, tak wódkę od nich czuć było. Przez cały czas ich rozmowy prawie nie oddychałem, trochę ze strachu, a głównie dlatego, że to, co słyszałem, aż mi dech w piersiach

zapierało. Mówiii cicho i z przejęciem: Bill chciał zabić Turner'a:

— Odgrażał się, że wszystko powie, i dotrzymał! Chociażbyśmy mu teraz oddali swoje części, to jużby nic nie pomogło, bo on nam nie daruje tego, cośmy zrobili. Zemści się na nas i wszystko wyśpiewa, zobaczysz. Najlepiej będzie odprawić go na wieczne odpoczywanie.

— I ja tak myślę — najspokojniej w świecie odpowiada Packard.

— A niech cię licho porwie! Myślałem, żeś ty temu przeciwny. No, kiedy tak, to dobrze. Pójdźmy, niech się to skończy.

— Poczekaj chwilkę, nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Posłuchaj. Dobrze jest komu w łeb strzelić, lepiej wszakże pozbyć się wroga bez hałasu, bo sensu niema umizgać się do szubienicy, jeżeli można postawić na swoim, bez narażenia własnej głowy. Albo nie?

— Pewno, że tak. Ale jakże to zrobić?

— Widzisz, ja myślę tak, zabrawszy z kajut, co się da, schowamy dobrze nasz łup na lądzie. A potem będziemy czekać. Za dwie godziny statek pójdzie na dno... Rozumiesz? Wtedy on ze statkiem razem utonie i niczyjej nie będzie w tem winy, że utonął, Przecież lepiej pozbyć się go takim sposobem, niż zabijać człowieka. Co do mnie, zawsze jestem przeciwny morderstwu, jeżeli bez niego obejść się można; to się i rozsądkowi sprzeciwia i moralności. Czy nie mam racyi?

— Pewno, że masz. A jeżeli okręt nie zatonie?

— Jeżeli chcesz, to możemy poczekać dwie godziny. Dlaczegooby nie?

— Dobrze. Poczekamy.

Wyszli, a ja zszedłszy z policy, tonąc w zimnym pocie, co tchu na pokład. Ciemno było, jak w studni, więc grubym szeptem wołam: „Jim!“ a on mi się odzywa z prawej strony, zbliżka, ale tak, jak gdyby jęknął.

— Prędeż, Jim — mówię — nie pora stękać, ani plądrować po parowcu. Jest tu na okręcie dwóch zbrodniarzy i jeżeli nie odczepimy ich łódki, żeby nie mogli dosięgnąć lądu, to jeden z nich będzie się miał zpyszna. Ale jeżeli im zabierzemy łódź, to wszyscy trzej pójdą w ręce szeryfa. Spieszmy się, Jim! Ja z prawej, ty z lewej strony, szukajmy. A potem na tratwę i...

— O Boże mój! Boże! Niema tratwy, niema! Odwiązała się i popłynęła z wodą! A my tutaj... bez tratwy!

ROZDZIAŁ XIII.

**Uciekamy! — Stróż nocny. — Idzie na dno. — Śpimy,
jak zabić!**

Tak mi dech zaparło, że byłem blizki omdlenia. Zostać na parowcu, który lada chwila zatonie i to jeszcze z takimi ludźmi! Ale nie było czasu na rozmyślenia. Należało odszukać łódź ratunkową, która nam samym koniecznie była potrzebna. Szukamy

tedy z obu stron okrętu, łodzi ani śladu. Jim bezsilny już nie chciał szukać, ledwie stojąc na nogach, ja jednak dodałem mu bodźca i szukamy. Nikt z nas nie wiedział na pewno, gdzie być powinna łódź ratunkowa, wiedzieliśmy tylko, że jest, bo tamci o niej mówili, wciąż więc szukamy po omacku. Znalazłem ją wreszcie obok drzwi, prowadzących do bawialni; w ciemności ją palcami namacałem. Jest niewątpliwie! Uradowany, biorę ją, przerzucam przez burt i jedną ręką trzymając się jeszcze galeryjki pokładu, gotów już byłem wejść do łodzi, gdy wtem wysuwa się ze schodków głowa, słyszę kroki, zmierzające ku poręczy, postać ludzka przechyła się przez nią, czuję ją prawie tuż przy sobie, a wreszcie jeden ze znanych mi głosów powiada:

— A nie zapomnij zgasić latarni, Bill!

Potem rzuca w łódź jakiś worek dość ciężki, przełazi przez galeryjkę i wchodzi do łódki. To był Packard. Nie upłynęło i minuty Bill nadchodzi i także w łódź się pakuje. Packard mówi do niego:

— Wszystko gotowe, ruszamy

Ja zaś słucham, trzymając się jedną ręką poręczy i czuję, że tracę siły. W tem Bill rzecze:

— Poczekaj. A obszukałeś mu kieszenie?

— Nie. A ty?

— I ja nie. On przecie ma swoją część łupu. Wartoż zabierać graty, a zostawiać pieniądze?

— No, a jeżeli on się domyśli, co zamierzamy?

— To się domyśli... Cóż z tego? A pieniądze zabrać mu trzeba. Chodźmy.

Wyskoczyli więc z łodzi i poszli. Skoro tylko za nimi drzwi się zamknęły, już byłem w łodzi;

Jim wskoczył także, przeciąłem linę, która się jeszcze ciągnęła za łodzią i—w drogę!

Nie tknęliśmy wiosła, nie rzekli do siebie ani słowa, baliśmy się nawet odetchnąć pełną piersią. Woda niesie nas sama popod ścianą okrętu, mijamy go wreszcie i zostawiamy szybko po za sobą. Gdyśmy się już oddalili z paruset łokci, gdy tonący parowiec wsiąknął w ciemności i zupełnie znikł nam z oczu, byliśmy bezpieczni i przekonani, że tak jest.

Z odległości może czterystu łokci widzieliśmy bledziutkie światelko w tej stronie, gdzie był parowiec i przyszło nam na myśl, że ci łotrzy teraz dopiero spostrzegli utratę łodzi i już zapewne rozumieją swe położenie.

Jim wziął się do wiosła i rozpoczęliśmy pogoń za tratwą jeszcze niewidzialną. Teraz dopiero zacząłem żałować tych ludzi, bo pierwiej na to czasu nie było. Zacząłem też rozmyślać, jak to musi być okropnie, zbrodniarzom nawet, znajdować się w takim położeniu. Kto to wie? a nuż i ja kiedy zbrodni dokonam? czy byłoby mi przyjemnie wiedzieć, że razem ze statkiem zatonąć muszę?

Mówię tedy do Jim'a:

— Skoro tylko gdzie na brzegu ujrzymy światła, trzeba zaraz przybić do lądu. Miniemy światło albo do niego nie dopłyniemy, byleś ty znalazł miejsce dla ukrycia siebie i łodzi. Ja pójdę do wsi, a wymyśliwszy jaką bajkę, znajdę przecie kogoś, kto im popłynie na ratunek i ocali od śmierci. A jeśli przyjdzie ich godzina, to wisieć będą.

Zamiar mój wszakże spelził na niczem, gdyż wkrótce zerwała się burza, daleko sroższa od poprze-

dniej. Ulewa straszna, a tu na obu orzegach ani jednego nigdzie światełka, śpią wszyscy. My zaś płyniemy ciągle, upatrując światła i naszej tratwy. Po paru godzinach deszcz ustał, ale chmury nie ustąpiły, błyskawice latały po niebie, a gdy od czasu do czasu silniej błysnęło, widzieliśmy przed sobą na wodzie coś czarnego.

Była to, ma się rozumieć, tratwa i bardzo byliśmy radzi, przeniósłszy się na nią. Teraz także ujrzeliśmy niewielkie światełko na prawym brzegu, do którego przybić postanowiłem. Tymczasem zaś, wyjąwszy z łódki worek, pełen rzeczy skradzionych na tonącym parowcu, przerzuciliśmy go na tratwę, nie wiedząc nawet, co w nim jest. Prosiłem Jim'a, aby płynął dalej, a przepłynąwszy mil parę, żeby zapalił światło na tratwie i nie gasił go, dopóki ja nie powrócę. Przyrzekł to uczynić, ja zaś, wzięwszy się do wiosła, popłynąłem prosto na światło. Gdy już byłem bliżej, ujrzałem więcej światła, rozsianych po wzgórzu, była to bowiem wioseczka wcale porządna. Podpływam do światła najbliższego i widzę, że pochodzi od latarni, zawieszonej na głównym maszcie łodzi żaglowej. Zacząłem szukać stróża, dziwiąc się, gdzieby mógł być śród nocy, aż w końcu znalazłem go, drzemal żaglem okryty, z głową spuszczoną na kolana. Wstrząsnąwszy go parę razy za ramię, zaczynam płakać.

Zbudził się nagle przestraszony, ale zobaczywszy przed sobą niedorostka, przeciągnął się, ziewnął i powiada:

— No, cóż się tam stało? Nie płacz, bębnie. Co masz za zmartwienie?

— Tatko, mama i siostra i...

Tu płacz niby przerywa mi mowę, więc on zniecierpliwiony:

— Tam do licha, pocóż tak beczysz? Wszyscy mamy swoje zmartwienia i każdy znajdzie swój koniec. No, gadaj, cóż się z nimi stało?

— Oni... ich... oni... To pan jesteś stróżem tej łodzi?

— Ja—z zadowoleniem odpowiada — ja jestem i kapitan i właściciel i pomocnik kapitana i sternik i stróż i robotnik, a czasem uchodzę także za багаż i pasażerów. Nie taki-m ja bogaty, jak stary Hornbach, i nie mogę tyle co on świadczyć swoim siostrzeńcom, a Tomek, Dick i Henryk nie dostają odemnie tyle pieniędzy, ile ich on rozrzuca. Ale mówiłem mu nieraz, że za nic w świecie nie przyjąłbym jego miejsca, bo jestem stworzony do pływania po wodzie, nie do lądu. I niech mnie dyabli porwą, jeżeli potrafiłbym wyżyć w mieście przez dwa dni z rzędu, gdzie nic niema do roboty, a wszędzie kurz, domy i kamienie. Więc mówię ja staremu...

Przerywam mu głosem piskliwym:

— Nieszczęście ich spotkało... okropne nieszczęście...

— Kogo?

— Tatkę i mamę i siostrę i pannę Hooker także i jeżeli nie popłyniecie tam zaraz..

— Gdzie, *tam*? Gdzież oni są?

— Na pokładzie tonącego parowca.

— Jakiego parowca?

— Jeden jest tylko.

— Co? Przecie nie *Walter-Scotta*.

— On sam.

— Panie, zmiłuj się! Cóż oni tam robią? Po co tam leżli?

— Że nie naumyślnie, to pewno!

— A pewno! Panie, zlituj się, niema dla nich ratunku, jeżeli nie uciekną ztamtąd czempredzej. Jakimże sposobem dostali się w taką pułapkę?

— Bardzo prostym. Miss Hooker pojechała z wizytami do miasta...

— Tak, do Booth Lauding. Cóż dalej?

— Pojechała z wizytami do Booth-Lauding i przed samym wicczorem wsiadła ze swoją murzynką na prom, który miał ją zawieźć z miasta do panny, Bóg ją wie, jak się nazywa, bo zapomniałem. Ta panna, to wielka jej przyjaciółka i miss Hooker chciała u niej nocować. Na samym środku rzeki przewoźnik zgubił wiosło, prom okręcił się parę razy w około, a potem popłynął z wodą, wiorstę, dwie, wreszcie natknął się na parowiec i zatonął. Przewoźnik utonął także i murzynka i powóz z końmi i wszystko, tylko jedna miss Hooker dostała się na pokład parowca. A potem, na godzinę przed zachodem słońca, tatko, mama, siostra i ja płynęliśmy sobie w naszej łodzi, w tej, w której jarzyny na targ wozimy, ale że ciemno było, więc nie widząc parowca, uderzyliśmy także o niego. Z nas nikt nie utonął, ale za to utonął Bill Whiphjile, taki dobry, taki dobry! Najlepszy w świecie chłopiec! Tak mi go strasznie żal, że wolałbym był sam utonąć... słowo daję, wolałbym.

— Co ja slysze! Co ja slysze! Jak żyję, nie

słyszałem takich awantur! No, a wtedy, cóżeście robili?

— Zaczęliśmy krzyczeć i wołać o pomoc, ale rzeka taka w tem miejscu szeroka, a wicher tak huczał i gwizdał, że nikt nas nie mógł usłyszeć. Tatko więc powiada, że trzeba, aby ktoś z nas dostał się na brzeg i powiedział ludziom, co się z nami stało. Ja tylko jeden umiem pływać, więc rzuciłem się w wodę. Dopłynąwszy do lądu, straciłem tylko czas na próżno, bo co kogo spotkam, to mi odpowiada: Co? Na taką noc i w taką falę? Niema głupich... Idź, poszukaj promu parowego. Ale teraz, kiedy pana spotkałem, to może pan zechce...

— Ma się rozumieć, że zechę, ale niechże wiem, kto mi za to zapłaci? Jak myślisz? czy twój tatko...

— No, to już wszystko dobrze. Miss Hooker powiedziała wyraźnie, że jej wuj, Hornback..

— Wielki Boże! Więc on jest jej wujem! On! Słuchaj, malcze, idź prosto na to światło, które tam widzisz... Doszedłszy do niego, zawróć na lewo i idź jeszcze z ćwierć mili, dopóki nie zobaczysz szynku; wejdź tam i każ się zaprowadzić do Hornbacka, który z pewnością weźmie wszystko na swój rachunek. A nie trać czasu, bo staremu pilno będzie dowiedzieć się o siostrzenicy. Powiedz mu, że zanim przyjdzie do miasta, będę ją miał żywą i zdrową... Zbieraj nogi, chłopcze, ja śpieszę obudzić pomocnika.

Poszedłem na światło, ale gdy stary zniknął we drzwiach stojącego nad brzegiem domostwa, dobiegłem do swojej łodzi, wyciągnąłem ją na brzeg między szychty drzewa i ukryty w ich cieniu, z niepo-

kojem oczekiwałem chwili wyruszenia łodzi na pomoc uwięzionym. Prawdę rzekłszy, czułem pewne zadowolenie, że sobie zadałem tyle trudu dla takich ludzi. Wiem, że nie każdyby to uczynił. Żeby też o tem wdowa wiedziała! Wyobrażam sobie, jakby się mną pyszniła, że dopomagam takim łotrom, bo zauważyłem, że i wdowa i wszyscy cnotliwi ludzie najlepiej lubią łotrów i niegodziwców.

Po kilkunastu minutach ujrzałem swój parowiec, który woda w dół niosła. Spostrzegłem go dlatego tylko, że był jeszcze ciemniejszy od ciemnej nocy... Aż dreszcz po mnie przeszedł, gdy go zobaczyłem, bo wyglądał jak widmo okrętu, po samą prawie galeryjkę zatopiony już w wodzie. Zepchnąwszy łódź swoją na wodę, podpłynąłem do niego, ale na krzyk mój nikt się nie odezwał. Woda zalewała już pokład, tonący parowiec zanurzał się coraz głębiej z każdą chwilą. Trochę mi się przykro zrobiło, gdy pomyślałem o tamtych, których woda pierwszej zalała niż pokład, ale tylko trochę, bo pomyślałem, że kiedy oni mogli wytrzymać taką śmierć, to i ja mogę.

O kilka sążni za parowcem płynęła łódź żaglowa; zacząłem więc z całej siły robić wiosłami, żeby się dobrze odsadzić, a gdy już był pewny, że mnie nikt nie dojrzy, obejrzałem się, aby zobaczyć, jak też ona będzie uwijać się koło parowca i jak właściciel będzie szukał sposobu wydobycia zwłok miss Hooker w nadziei sutej nagrody od Hornbacka. Widząc jednak, że nic nie wskóra, łódź dała za wygraną i powróciła do przystani, ja zaś, nie mając na co czekać, puściłem się w pogoń za tratwą.

Zdawalo mi się, że płynę niezmiernie długo,

nim ujrzałem nareszcie światełko płonące na tratwie Jim'a, a gdym je ujrzał, to i tak wydało mi się przynajmniej o tysiąc mil oddalone. Przez ten czas niebo zaczęło rozjaśniać się trochę na wschodzie, przybiliśmy więc do jakiejś wysepki, ukryli tratwę, czołno na brzeg wyciągnęli, a sami, rzuciwszy się na tratwę, zasnęliśmy jak zabici.

ROZDZIAŁ XIV.

Wczasy.—Harem.—Francuz i język francuski.

Wypawszy się należycie, przetrząsnęliśmy worek, który Packard rzucił do łodzi. Rabusie dobrze się obłowili: znalazły się w worku buty, kołdry, ubranie, bielizna, książki, cygara. Nigdy w życiu nie byliśmy jeszcze tak bogaci. Cygara były wyśmienite. Całe popołudnie leżeliśmy w lesie rozmawiając, ja też sobie czytałem książki i wogóle używaliśmy wypoczynku. Gdym Jim'owi opowiedział wszystko, co mi się wydarzyło na parowcu, i całą moją rozmowę z właścicielem łodzi żaglowej, odpowiedział, że on wcale nie pragnie podobnych przygód.

— Bo — mówił Jim — kiedyś ty zszedł po schodkach, a ja szukałem tratwy, tom o mało nie umarł ze strachu i pewności, żeś przepadł na wieki. Bo tak: jeżeli nas nie ocala, to utoniemy, a jeżeli nas ocala, to ten zbawca odprowadzi mnie do miss Watson, dla nagrody; miss Watson zaś sprzeda mnie do Orleanu.

jak Bóg w niebie. I miał słuszność. Jak na Murzyna, niepospolicie tęgą miał głowę.

Czytywałem też często Jim'owi o różnych królach, książętach, hrabiach i innych wielkich panach, jak się wspaniale ubierali, jak się nosili pysznie, jak mówili do siebie: Wasza Królewska Mość i Jaśnie Oświecony Książę i Wasza Wysokość, i Bóg wie, jak jeszcze, zamiast sobie mówić poprostu „panie“, a Jim wytrzeszczał oczy i słuchał z ogromnem zajęciem. Raz mówi do mnie:

— Nie wiedziałem, że ich tylu było. Nie sły-
szałem o nich i żadnego nie znałem, prócz staroda-
wnego króla Salomona, bo nie rachuję tych królów,
co są w kartach. Ile król dostaje pieniędzy?

— Ile dostaje? Albo ja wiem! Pewno z tysiąc
dolarów na miesiąc, jeżeli mu się tak podoba. Może
mieć tyle, ile sam zechce; wszystko do niego należy.

— Takiemu to dobrze! A cóż oni mają do ro-
boty?

— Co też tobie do głowy przychodzi, Jim? Król
nic nie robi, tylko siedzi na tronie.

— Doprawdy?

— Naturalnie. Siedzi na tronie, z berłem w rę-
ku, a koroną na głowie. Jak wojna, to co innego;
królowie zawsze idą na wojnę, ale w cichą porę, to
sobie mają używanie: chodzi, przeciąga się, ziewa...
Cyt! słyzałeś szmer?

Wysadziliśmy z pomiędzy drzew głowy i pa-
trzymy, lecz nic nie widać i nie słyhać, prócz plu-
sku wody, którą rozbija koło parowca; wróciliśmy
więc na swoje miejsca.

— Tak—powiadam—a jak to go znudzi, to się

klóci z parlamentem, a jeżeli mu się kto opiera, to ścina głowy nieposłusznym. Najczęściej jednak król przesiaduje w haremie.

— Gdzie?

— W haremie.

— Co to jest harem?

— Miejsce, gdzie trzyma swoje żony. Nie słyszałeś o haremie? Salomon miał harem, a w nim około miliona żon.

— A prawda, prawda, zapomniałem! Harem, to dom dla żon. To dopiero hałas tam być musi w dzieciennym pokoju! Pewno też i żony klócą się ciągle między sobą, to harmider! I mówią, że Salomon najmądrszy z ludzi; ja temu nie daję wiary. Bo, czy człowiek mądry chciałby żyć ciągle w takim młyńcu, gdzie kobiety miały językami bez przerwy? Nie, nie chciałby! Człowiek mądry zbudowałby sobie młyn parowy. Chcę hałasu, to puszczam w ruch maszynę, a chcę spokoju, to ją zatrzymuję.

— Może być, ale w każdym razie Salomon był najmądrszy z ludzi, słyszałem to z własnych ust wdowy.

— Ja tam nie wiem, co mówiła wdowa, ale mojem zdaniem, on nie był najmądrszy, ani nawet mądry. Bo proszę cię, co też jemu przychodziło do głowy? Słyszałeś o tem dziecku, co je kazał rozciąć na dwoje?

— Słyszałem; opowiadała mi wdowa.

— A widzisz! Jak można wymyśleć coś podobnego! Bo proszę cię, zastanów się tylko. Tu stoi jedna kobieta: pierwsza matka, uważasz? A tu stoi

druga. Ja jestem Salomon, a ten dolar, to dziecko. Obie matki upominają się o dziecko. Cóż ja tedy robię? Czy pójdę pomiędzy sąsiadów, i wywiem się do której z matek dziecko sprawiedliwie należy i tej oddam, zdrowe i całe, jakby to uczynił każdy, co ma choć trochę oleju w głowie? Właśnie, że nie! Ja biorę siekiere i rozrąbuję dolar na dwie części i dam jedną połowę jednej matce, a drugą drugiej. Przecie Salomon tak postąpił z dzieckiem? A teraz pytam się ciebie, na co komu zda się dolar przecięty? Co za to kupisz? Nic! A jeżeli dolar przecięty na nic się nie przyda, to cóż dopiero dziecko?! Za milion takich nie dałbym centa!

— Bodajeś zdrów był, Jim, nie trafiłeś w sedno. Bodaj cię kaczki zdeptały, nie trafiłeś nawet blisko sedna!

— Kto? Ja? Nie gadałbyś! Proszę cię, daj mi pokój ze swoim sednem, wiem przecie, co to znaczy zdrowy rozsądek, ale tu nie widzę go ani krzty. Sprzeczka nie szła o połowę dziecka, lecz o całe dziecko, a człowiek, któremu się zdaje, że sprzeczkę o całe dziecko załagodzi połową dziecka, nie ma rozsądku za grosz. Już ty mi nie gadaj o Salomonie, Huck, znam go na wylot!...

— A kiedy ja ci mówię, że nie trafiłeś w sedno.

— Niech licho weźmie sedno! Co wiem, to wiem. I pamiętaj to sobie, że prawdziwe sedno jest jeszcze głębiej. Trzeba wiedzieć, kto to był Salomon. Weź ty człowieka, który ma tylko jedno albo dwoje dzieci, czy taki człowiek będzie szafował dziećmi? Nie, nie będzie, nie stać go na to. Taki zna wartość

dziecka. A weźże ty drugiego, co ma hałasujących w domu z pięć milionów dzieci, albo i więcej, to zupełnie co innego. Taki ci na poczekaniu przetnie dziecko, jak kota. Tak też było i z Salomonem, jedno dziecko więcej, czy mniej, dla niego to wszystko jedno!...

Nigdy nie widziałem murzyna, któryby tak napadał na Salomona. Jak sobie co raz wbił w głowę, już mu tego i toporem nie wybijesz. Zaczęliśmy więc mówić o innych rzeczach, a Salomonowi daliśmy pokój. Opowiadałem mu o Ludwiku XVI, któremu dawno już temu Francuzi głowę ścięli, i o jego synku, dellinie, co byłby także został królem, ale go zamknęli w więzieniu, gdzie, jak mówią niektórzy, umarł podobno.

— Nieboraczek!

— Ale inni twierdzą, że uciekł stamtąd i schronił się do Ameryki.

— Dobrze zrobił! Ale nudzić się tu będzie sam jeden, przecież tu niema królów, prawda, Huck?

— Nie, niema.

— To i niema dla niego posady. Cóż on tu robi?

— Nie wiem. Czasem taki król zaciągnie się do policyi, a są i tacy, którzy uczą, jak trzeba mówić po francusku.

— Co, Huck? Alboż to we Francyi ludzie nie mówią tak, jak my?

— Nie, Jim, inaczej mówią, zupełnie inaczej. Nie zrozumiałbyś ich ani słowa.

— Co ty mówisz? Jakże to być może?

— Ja sam nie wiem jak, ale tak jest, wiem to

z pewnością. Widziałem nawet ich gadanie w jednej książce. Przypuść tylko, że przyjdzie ktoś do ciebie i powie: *Bolly vo-ofranzy*, cóż ty na to?

— A nic! dałbym mu kułakiem w głowę. To jest, dałbym, gdyby to nie był człowiek biały. Murzynowi nie pozwoliłbym na takie wymyślanie.

— Kiedy to wcale nie wymyślanie. On aniby myślał obrażać ciebie, onby się tylko pytał, czy umiesz mówić po francusku?

— Więc dlaczego nie może powiedzieć wyraźnie?

— Kiedy on mówi to wyraźnie, ale mówi po francusku.

— No to głupio mówi, i ja nie mam ochoty słuchać takiego gadania, w którym niema żadnego sensu.

— Posłuchajże, Jim: czy kot mówi tak, jak my mówimy?

— Nie, nie tak mówi.

— A krowa?

— Nie, i krowa nie tak mówi.

— No, a teraz mi powiedz: czy krowa mówi tak, jak król, albo kot tak, jak krowa?

— Nie. Każde mówi po swojemu.

— Uważasz więc za rzecz słuszną, żeby kot i krowa mówiły każde po swojemu?

— Ma się rozumieć.

— I za rzecz słuszną, żeby ani kot, ani krowa mi mówiły tak, jak mówią ludzie?

— Naturalnie!

— Powiedzże mi, dlaczego niema być rzeczą naturalną i słuszną, żeby Francuzi inaczej od nas mówili? Cóż na to odpowiesz?

— Huck, czy kot jest człowiekiem?

— Nie.

— Więc, cóż za racya, żeby kot mówił po ludzku? Czy krowa jest człowiekiem, albo, czy krowa jest kotem?

— Nie, krowa nie jest człowiekiem, ani kotem.

— A kiedy tak, to nie ma obowiązku mówić, jak kot albo jak człowiek.

— A Francuz, czy jest człowiekiem?

— Jest.

— A widzisz! Kiedy jest, to dlaczego nie mówi, jak człowiek? Odpowiedzże na to.

Widziałem, że napróżno tracimy słowa, nikt murzyna nie nauczy rozumować po naszymu. Dałem więc pokój.

ROZDZIAŁ XV.

**Huck traci tratwę.—Mgła.—Dobrze spał.—Huck
znajduje tratwę.—Śmiecie.**

Wymiarkowawszy, że po trzech nocach żeglugi staniemy w Kairze, u przeciwległej granicy Illinois, tam, gdzie wpada rzeka Ohio, czekaliśmy tej chwili z upragnieniem, zdecydowani sprzedać tratwę, wsiąść na parostatek, popłynąć rzeką Ohio w górę, bo w tamtych stanach niewolnictwo było zniesione.

Ponieważ następnej nocy mgła się nad rzeką rozesała, skierowaliśmy więc tratwę ku najbliższej, zaroślami pokrytej ławicy, aby tam przywiązać ją do

drzewiny i mgłę przeczekać. Wziąwszy więc z sobą linę, wsiadłem w łódkę i podpłynąłem do ławicy. Widzę, sama młodzież leśna, cienkie drzewiny, jak pręty; wybrałem jednak drzewo, które mi się wydawało grubsze od innych, rosnące tuż nad wodą, na kanciastym występie ławicy, i około niego linę okręciłem. Że jednak prąd był silny, więc i bystro rwał z sobą tratwę w dół rzeki; drzewko, nie wytrzymawszy naporu, wyrwane z korzeniami, popłynęło wraz z tratwą. A tu mgła tak mnie otoczyła, że nietylko nic nie widzę, ale chwilowo ruszyć się nawet nie mogę. Tratwa zniknęła mi z oczu. Co żywo więc do łodzi, chwytam wiosło, odpycham się od brzegu, łódź ani drgnie. Pokazało się, że jej w pośpiechu nie odwiązałem. Rozplątuje więc węzeł, ale tak mi drżą ręce, że go zaciskam jeszcze mocniej; ledwo mu dałem rady.

Gdym wreszcie postawił na swoim, płynę, trzymając się zawsze brzegu ławicy; ale że miała ona zaledwie jakieś sześćdziesiąt łokci długości, więc gdym ją minął, znów otoczony mgłą gęstą i białą, nie wiedziałem ani gdzie jestem, ani gdzie się podziela moja tratwa.

Myślę więc sobie: wiosłować nie trzeba, a nuż natknę się na ławicę, albo na coś podobnego? A tak woda mnie sama poniesie! Siedzę więc spokojnie, choć mnie ręce swędzą, bo co to jest siedzieć nieruchomo i czekać, kiedy w tobie aż wre wszystko z niepokojem.

Huknąłem tylko na Jim'a i słucham. Odzywa mi się z dość znacznej odemnie odległości, ale zawsze odzywa się, więc we mnie duch wstępuje, biorę

się do wiosel i płynę w kierunku, z kąd głos mnie doszedł, a słucham, czy nie odezwie się.

Po chwili daje się słyszeć po raz drugi, ale nie z przodu, lecz z prawej strony. Hukam raz jeszcze: odpowiada mi, ale tym razem z lewej strony i zawsze w tem samem niby oddaleniu. Rzuciłem tedy wiosło zniechęcony, bo widocznie płaczę się tylko w gzygzak po rzece, a tratwa wciąż płynie prosto i na cal się do niej nie zbliżyłem.

Jim powinien był mieć rozum i widząc, co się dzieje, uderzać młotkiem w jaką blachę, raz po razie, żeby mnie za głosem prowadzić. Ale mu to na myśl nie przyszło, a takie hukanie przerywane bałamuciło mnie tylko jeszcze gorzej. Nie wiedziałem już gdzie się obrócić, a gdym je posłyszał po raz czwarty, z tyłu, po za sobą, tom już zupełnie głowę stracił. Do dziś dnia nie wiem, czy to hukal kto inny, czy też prąd kręcił łódką w kolo.

Dawszy pokój wiosłowaniu, pilnie nasłuchiwałem; głos znów z tyłu się odzywa, ale w innem miejscu; wołam ciągle, a on odpowiada raz głośniej, to znów ciszej, jakby nas większa odległość rozdzielała. Mgła coraz gęstsza zasłania mi oczy, zatyka uszy, pcha się w gardło, człowiek nie wie, gdzie jest i co robi, bo gdziekolwiek się zwróci, zewsząd mgła wali się na niego i naciera, jak nieprzyjaciel na wojnie.

Niesie mnie fala, gdzie sama chce; raz o brzeg łódź uderzyła i zamajaczyły mi nad głową rozpostarte drzew gałęzie, jakby z za dymu przeglądające. Potem gwałtownie rzuca na lewo i wartko rwie naprzód, a ja siedzę z rękami założonemi, cały w mgłę białą

spowity, i słucham uderzeń serca, które bije, bije jak młotem, silnie, prędko, że mi odetchnąć trudno.

Teraz już zrozumiałem, co się dzieje Brzeg, o który się uderzyłem, musiał być krawędzią wyspy, a Jim po drugiej stronie. Nie była to marna ławica, bawełnianym krzewem zarosła, ale wyspa, co się zowie, pokryta lasem, zapewne ze sześć mil długa i o szerokości dobrze półmilowej.

Szumiało mi w uszach i drżałem cały, ale nie było rady, musiałem siedzieć spokojnie. Wiedziałem, że się posuwam naprzód, że robię cztery do pięciu mil na godzinę, ale każdy, kto się już znajdował w takiej przygodzie, powie to samo, co ja: płyniesz, a zdaje ci się, że stoisz w miejscu. Więcej nawet, przysięgłbyś, że już nie poruszysz się nigdy, a jeżeli napotkasz sterczącą z wody rafę lub kępę jakichś wodorośli i miniesz ją, to zapominasz zupełnie o tem, że to ciebie woda unosi, a tylko dech powstrzymując, myślisz: Ach! jak ona szybko ucieka! A jeżeli komu się zdaje, że nocą, na wodzie, wpośród mgły takiej nie straszno samemu człowiekowi, to radzę mu tylko, niech spróbuje.

Upłynęło tak z pół godziny... Hukam od czasu do czasu, a odpowiedź przychodzi do mnie z bardzo daleka. Radbym płynąć w stronę głosu, ale nie mogę, bo jestem wśród mnóstwa małych, bawełną zakrzewionych wysepek, które mi się niewyraźnie we mgle ukazują, gdy pomiędzy nimi przepływam. Czasami mgła zgęszcza się raptownie i wtedy, choć wąziutką, do kanału podobną, płynę odnogą, nie widzę krawędzi wysepek, wiem tylko, że są, bo łódź moja płynąc, ociera się o uschłe już krzewy i różne bady-

le, któremi brzeg zarasta. Tak się tam wśród tych wysepek rozlała po odnogach woda, tak kręto niósł mnie prąd, że płynąć za głosem, znaczyłoby to samo, co za błędnym gonić ognikiem. Głos się tam rozbijał i ginął i znów niespodzianie skądś powracał, a pożytku nie przynosił żadnego.

Kilka razy musiałem szybko odpychać się wiosłem od brzegu, bo łódź z taką siłą pędziła i tak na brzegi nacierała, że m się bał, aby przypadkiem nie wysadziła wyspy z morza, jak oka z głowy. Tratwa, jako szersza, z większą trudnością przeciskała się tędy, przypuszczałem więc, że muszę teraz być bliżej, chociaż Jim prędzej płynął odemnie.

Sam nie wiem, jak to długo trwało, ale w końcu znalazłem się znów na szerokim korycie rzeki i nie tracąc czasu, huknąłem, by dać znać o sobie. Nikt mi jednak nie odpowiedział. Przyszło mi do głowy, że Jim uderzył gdzie może o jaką rafę i rozbił się. Zmęczony straszliwie, wyciągnąłem się w łodzi jak długi, o nic już nie dbając, niech się tam dzieje, co chce. Ma się rozumieć, że nie miałem zamiaru spać, ale że byłem straszliwie senny, postanowiłem więc zdrzemnąć się chwilkę, jak kot, gdy zasypia nad mysią norą.

Musiałem jednak spać dłużej, niż kot przy norze, bo gdym się przebudził, gwiazdy świeciły jasno, mgła znikła bez śladu, a ja płynąłem środkiem rzeki, która tworzyła w tem miejscu szeroki zakręt półkolisty. Z początku nie wiedziałem gdzie jestem, здавало mi się, że śnię, później jednak wszystko mi na myśl przychodziło, lecz tak powoli, jakby z daleka, jakby z przeszłego tygodnia.

Rzeka nadzwyczajnie była w tem miejscu szeroka, a po obu jej brzegach rosła taka gęstwina wysokich, drzew ciemnych, że podobną była nie do boru, lecz do ściany ogromnej, pod samo niebo sięgającej.

Przy świetle gwiazd niewiele można widzieć, dojrzałem jednak w znacznej od siebie odległości coś, co się wyraźną czernią plamą na ciemnem tle wody. Podpływam i cóż się ukazuje: kilka bali razem związanych. Dalej jeszcze znów coś się czerni: pędzę ile mam siły i teraz dobrzem już trafił, bo była to właśnie nasza tratwa.

Z zadowoleniem prawdziwem przedostałem się z łódki na tratwę, a z jeszcze większem ujrzałem Jim'a. Spał sobie pocziwiec, z głową między kolanami wsuniętą i ręką przyciskał wiosło. Drugie leżało na pomoście strzaskane, a cała tratwa usłana była gałęziami polanami, liściem i mokrą ziemią.

Nie tracąc czasu, położyłem się na pomoście pod samym nosem Jima i zaczynam ziewać, przeciągać się, niby to niechcący trącąc Jim'a, aż wreszcie mówię:

— Jim, czy ja spałem? Czemuś mnie nie obudził?

— Święty Boże, to ty, Huck? Nie umarłeś? Nie utonąłeś? powróciłeś? To dopiero szczęście! I to prawda, kochanie? prawda, że ja cię mam przed sobą? Niechże się na ciebie napatrzę, dzieciaku, niech cię pomacam... Więc ty, złotko moje, powróciłeś? I zdrowszy i cały? Ten sam Huck co dawniej, ten sam zupełnie? O dzięki-ż Tobie, Boże!

— Co się tobie stało, Jim? Czyś ty pijany?

— Ja pijany? albow ja pil? Albo ja miałem czem się upić?

— A dlaczegóż mówisz od rzeczy?

— Co mam mówić od rzeczy? Cóżem ja powiedział?

— Jaktó! Nie wykrzykiwałeś, że powrócił, że nie utonął i różne takie facecye? Albożem ja się ztąd ruszał?

— Huck, spojrzuj mi w oczy. Patrz mi prosto w oczy, Huck. Powiadasz, żeś się ztąd nie ruszał?

— Ja? Wytlomacz-że mi, co to ma znaczyć? Nie ruszałem się ztąd, to pewna. Gdzieżbym ja mógł być?

— No, patrzcież, moi ludzie, coś się tu stało, coś się tu stało niedobrego!... Czy ja jestem *ja*, czy kto inny jest *ja*? Czy tu jest *tu*, czy *gdzieindziej*?

— Zdaje mi się, że ty jesteś ty, i że tu jest tu, ale zdaje mi się, że ci się trochę pomieszało w głowie, stary waryacie!

— No, to kiedy ja jestem ja, to mi odpowiedz na pytanie: Wzięłaś z sobą linę, czy nie wzięłaś, wsiadłaś z liną w łódkę, czy nie wsiadłaś, żeby uwiązać tratwę?

— Nie brałem liny i nie wsiadałem w łódkę. Gdzie miałem uwiązywać tratwę? Do czego?

— Nie miałaś uwiązywać tratwy? Sluchaj: nie wyrwała lina drzewka i nie popłynęła tratwa razem z drzewkiem, a ty nie zostałeś z łódką wpośród mgły?

— Jakiej mgły?

— Mgły! Tej, co była prawie przez całą noc. Czy nie hukales, czy ja ci się nie odzywałem, dopó-

ki obaj nie przepadliśmy wpośród wysepek, tak że jeden nie wiedział, gdzie szukać drugiego. I czy nie uderzyłem o jedną z tych przeklętych wysepek, że mało mi się tratwa nie rozbiła, a ja sam o mało nie utonąłem? Nie było tego wszystkiego, powiedz? Nie było?

— Nie rozumiem cię, Jim. Nie widziałem ani mgły, ani wysp, nie hukalem i nie gubiłem ani drogi, ani ciebie. Siedziałem tu przez całą noc i rozmawiałem ciągle. Dopiero teraz, najwyżej przed dziesięcioma minutami, usnąłeś i zdaje mi się, że ja usnąłem także. Nie mogłeś przecie upić się w tak krótkim przeciągu czasu, więc śniłeś.

— Jakże mogło mi się śnić tyle rzeczy przez tak krótki przeciąg czasu?

— Widocznie musiało ci się śnić, skoro mówisz o tem, co nigdy nie miało miejsca.

— Kiedym ja to wszystko widział. Na własne oczy widziałem... jak najwyraźniej.

— Zdaje ci się, żeś widział, ale tego wszystkiego nie było. Zaręczam ci, że się ztąd wcale nie ruszałem.

Przez kilka minut Jim milczał, rozmyślając widocznie nad tem, cośmy mówili. W końcu rzecze:

— No, może być, że mi się to wszystko śniło, ale niech mnie kaczki zdepcza, jeśli miałem kiedy sen tak wyraźny i męczący.

— A tak! bo czasem sen zmęczy gorzej od prawdy. Ależ to sen zabawny, rozpowiedz-no mi go, Jim.

Tu Jim, głos zabrawszy, opowiedział mi wszystko, szczegóół po szczegóół, wszystko tak, jak było,

tylko, ma się rozumieć, znacznie ubarwione. A potem zaczął znów od początku i każdy szczegół „tłómaczył“ po swojemu, bo sen podobny uważał za zesłaną z góry przestrożę. Najpierwej spotkana łąwica oznaczać miała człowieka, który będzie chciał uczynić nam dobrze, ale przeszkodzi mu w tem „prąd“, czyli inny człowiek, który nas oddali od pierwszego. „Nawoływania“ znaczą, że od czasu do czasu będziemy ostrzegani, ale jeżeli nie będziemy się starali zrozumieć przestrogi, to one nietylko nie odwrócą od nas nieszczęścia, ale owszem, przyczynią go jeszcze. „Wysepki“ oznaczają przykrości, które spotkać nas mają od różnych osób kłótliwych, niskiego charakteru i nieżyczliwie dla nas usposobionych, ale jeżeli będziemy się pilnować, nie wchodzić im w drogę i niczem ich nie drażnić, to ze spotkania z nimi wyjdziemy bez szwanku i z za „mgły gęstej“ wypłyniemy szczęśliwie na wodę jasną, czystą, to znaczy: dostaniemy się bez przeszkody do stanów, gdzie nie istnieje niewolnictwo i gdzie skończą się wszystkie kłopoty nasze.

— Tak, doskonale wytłómaczyłeś wszystko, co było snem — powiadam — ale wytłómacz-że mi, jakie ma znaczenie to, co snem przecież nie jest. Patrzaj!..

I wskazałem mu na różne patyki i liście, zasłaniające cały pomost tratwy, na wiosło, które w drzazgi poszło w chwili, gdy się niem odpychał od brzegu, w ciasnych odnogach wśród wysepek.

Jim patrzył to na grubą warstwę gałęzi, to na mnie, ale tak już widać sen mocno wbił mu się w głó-

wę, że go z niej nie mógł usunąć. Dopiero po dłuższej chwili rzekł:

— Jakie to ma znaczenie? Zaraz ci powiem. Gdym zmordowany sterowaniem i wołaniem do ciebie szedł spać, tom czuł, że mi ledwie serce nie pęka z żalu za tobą. Gdym zaś, obudziwszy się, zobaczył obok siebie Hucka zdrowego i całego, tom się mało nie rozplakał z radości i gotów byłem przed tobą paść na kolana i nogi twoje całować. Ty zaś przez cały ten czas o tem tylko myśla'ś, jakby staro Jim'a okłamać i wystrychnąć na durnia. Otóż to wszystko, co pokład zaśmieca, jest obrazem twego myślenia, bo śmieciem są ludzie, którzy obrzucają błotem swoich przyjaciół i zabawę znajdują w ich zawstydzaniu.

To rzekłszy, podniósł się z miejsca i powolnym krokiem idąc ku budzie, wszedł do jej wnętrza. Nic więcej nie rzekł, ale i tego dosyć było. Uczułem się tak lichy, że mogłem być nieledwie całować nogi murzyna.

Z kwadrans upłynął, nim się przemogłem, żeby pójść upokorzyć się i przyznać do winy przed *Murzynem*, alem to uczynił i, co więcej, nigdy tego nie żalowałem. Nigdy też później nie bawił się jego kosztem, a i wówczas nie byłbym się bawił, gdybym był przewidział, że Jim tak weźmie żart ten do serca.

ROZDZIAŁ XVI.

Czekiwanie.—Do Kairu!—Grube kłamstwo.—Młamy Kair.—Na lądzie.

Przespawszy prawie dzień cały, ruszyliśmy z miejsca nocą dopiero, mając przed sobą tratwę olbrzymią, na której ze trzydziestu ludzi siedzieć musiało, bo naliczyłem na pomoście aż pięć bud, nie tak lichoskleconych jak nasza, ale porządnych, niby domeczki, stojące w pewnem od siebie oddaleniu. Na środku pomostu wmurowane było ognisko, a z przodu i z tyłu powiewały flagi na wysokich masztach.

Noc pochmurna była i gorąca, rzeka zaś w tem miejscu tak szeroka, że brzegów prawie nie widzieliśmy, tylko dwie wysokie ściany drzew, wśród których najmniejszej przerwy, ani światelka. Rozmawialiśmy o Kairze, niepewni, czy płynąc mimo, odgadniemy, że to ów Kair upragniony, nie inne miasto. Ja mówiłem, że zapewne nie odgadniemy, bo nie slyszal, że tam zaledwie kilkanaście domów, których, zwłaszcza wśród nocy, możemy nie dostrzedz wcale. Jim zaś utrzymywał, że poznamy Kair, bo pod samem miastem druga rzeka wpada do Missisipi, co mi się nie bardzo wydawało, gdyż mogłoby się tak zdarzyć, że jeśli rzeka ma tu dwie odnogi, my niepopłyniemy tą, na której wybrzeżach leży miasto. Przypuszczenie to zaniepokoiło Jim'a, a i mnie także, nie wiedzieliśmy bowiem, co czynić? Stańło na tem, że jak tylko zobaczymy światło na brzegu, podpłynę łodzią i zasięgnę języka.

Na teraz pozostawało tylko pilnie uważać na brzegi, aby czasem nie prześlepić miasta. Jim był pewny, że je zobaczy, ponieważ na jego widok od razu wolnym się stanie; gdyby zaś miasto prześlepił, znalazłby się znów w stanach, gdzie niewolnictwo istnieje, i straciłby wszelką nadzieję zostania wolnym. Co chwila więc zrywał się z miejsca i wołał:

— Kair! O, Kair!

Ale Kairu nie było. Światelka, które Jim widział, były to błędne ogniki lub świecące robaczki, znów więc siadał i wzrok wyteżał, oczekując chwili, w której nareszcie zobaczy miasto. Jima aż febra trzęsła ze wzruszenia na myśl o blizkiej wolności. Prawdę mówiąc i ja drżałem, patrząc na niego, bo zaczynało mi świtać w głowie pojęcie, że Jim już wolny. A za czyją sprawą? moja! Owa pewność tak mnie dręczyła, że spokoju znaleźć nie mogłem. Przedtem nigdy mnie ta kwestya nie zajmowała; ale teraz coś mnie wewnątrz gryzło i dręczyło. Przekonywałem siebie, że to nie moja wina, że to nie ja skłoniłem Jim'a do porzucenia swej właścicielki, ale że to wszystko nie skutkowało.

„Wiedziałaś przecie — mówiło mi moje sumienie — że Jim po to uciekł, żeby się schronić do stanów wolnych? Trzeba ci było przybić do brzegu i powiedzieć o tem pierwszemu, kogo spotkasz.“ I prawda! sumienie miało rację; to też dokuczalo mi, mówiąc dalej: „Cóż ci zrobiła biedna mis Wattson, żebyś patrzył obojętnie, jak własny jej Murzyn ucieka w twoich oczach i nie powiedział nic na to? Co ci zrobiła ta biedna, stara kobieta, żebyś tak nieuczciwie z nią postępował? Pomyśl tylko, uczyła cię przecie

Pisma Świętego, chciała z ciebie porządnego uczynić człowieka, starała się być dobrą dla ciebie pod każdym względem!... A ty co? Tak się odwdzięczasz?”

Uczułem się w końcu tak nisko upadłym, tak nieszczęśliwym, że nieledwie pragnąłem śmierci. Snułem się po całej tratwie, jak opętany, a że Jim także usiedzieć nie mógł, więc potraćaliśmy się co chwila i pełno nas było w każdym kącie. Niech tylko zerwie się Jim i krzyknie: „O, Kair!” mnie już jakby kto nożem pchnął w serce i zaraz mi się zdawało, że gdyby to był Kair, to umarłbym chyba ze wstydu i ze zmartwienia.

Jednocześnie, gdy ja w myśli rozmawiałem z sobą, Jim ciągle rozprawiał głośno:

— Niech tylko dostanę się — mówił — do stanu wolnego, to przede wszystkim oszczędzać zacznę i nie wydam na nic ani centa; gdy zaś uzbieram, ile potrzeba, wykupię swą żonę, której właściciel mieszka na folwarku, sąsiadującym z posiadłością miss Wattson i wtedy oboje już razem zaczniemy pracować i oszczędzać na wykupienie swych dwojga dzieci. Gdyby zaś pan nie chciał ich sprzedać, to Jim wyszuka sobie jakiego abolicjonistę, który mu dzieci wykradnie.

Aż mi się zimno robiło, gdym słuchał tej mowy. Nigdy Jim nie ośmielił się mówić głośno w ten sposób! I odrazu taka w nim zmiana od chwili, w której mniemać zaczął, że prawo uczyni go wolnym. Sprawdzało się stare przysłowie: „Daj murzynowi cal, a on weźmie łokieć.” I to wszystko z mego braku zastanowienia! Murzynowi temu dopomo-

głem, lub tak prawie jak dopomogłem do ucieczki, a on teraz w mojej obecności jaknajspokojniej powiada, że wykradnię swe dzieci, stanowiące własność człowieka, którego nie znam nawet, człowieka, który nic zrobił mi nigdy nic złego!

Martwiłem się, że słowa Jim'a poniżają go i źle o nim świadczą. A sumienie dopiekało mi ciągle, coraz gorzej, tak, że wreszcie wytrzymać dłużej nie mogąc, powiadam mu zcicha:

— Dajże ty mi pokój! Nie zapóźno jeszcze... niech tylko mignie na brzegu jakie światło, zaraz tam popłynę i powiem komukolwiek o Jimie

Odrazu mi jakoś ulżyło. szczęśliwy się czulem i lekki, jak piórko, pierzchły wszystkie moje zgryzoty. Siadłem spokojnie i upatruję światła, przyspiewując coś sobie pod nosem. Po chwili zabłysło gdzieś światelko, a Jim woła na całe gardło:

— Bezpieczni jesteśmy, Huck, bezpieczni! Podskocz raz i drugi, uderz piętami! Kair! Poczciwy, stary Kair! Zarazem go poznał!

A ja na to:

— Popłynę łódką i przekonam się, czy to Kair. Może to tylko jakaś wioseczka?

Zerwał się Jim i w mgnieniu oka przygotował łódkę, stary swój paltot położył na dnie, abym miał na czym siedzieć, wiosło dał mi do ręki, a gdym się już nieco oddalił, zawołał za mną na pożegnanie:

— Za chwilę będę krzyczał z radości: Wolny jestem, wolny! A jeżeli wolny, to z łaski Huck'a; gdyby nie Huck, nigdybym wolności nie odzyskał! Jim nigdy ci tego nie zapomni, kochanku; Jim nigdy nie miał lepszego przyjaciela na całym świecie!

Szybkiem robił wiosłami, bo pilno mi było uciścić sumienie, ale gdym to usłyszał, jakby mi kto ręce przetrącił! Zwolniłem więc i rozmyślałem, bo nie byłem już pewien, czy mam być rad z powziętego postanowienia. Zdaleka słyszałem jeszcze głos Jima:

— Z Bogiem z Bogiem, kochany i wierny chłopcze. Dobry Huc'k! jedyny biały, który staremu Jimowi słowa dotrzymał.

Teraz już mi się naprawdę zrobiło bardzo niedobrze, lecz mówię sobie: powinienem tak postąpić, nie mogę zrobić inaczej. Wtem prosto na mnie łódź płynie, a w niej dwóch ludzi ze strzelbami. Zatrzymali się i ja także. Jeden z nich mówi:

— Co to takiego, tam na rzece?

— Ano... tratwa — ja na to.

— Ty ztamtąd?

— Ztamtąd.

— Ilu na niej mężczyzn?

— Jeden tylko.

— Słuchaj, dziś w nocy zbiegło pięciu murzynów. Czy ten jeden na tratwie biały, czy czarny?

Nie zaraz odpowiedziałem. Chciałem odpowiedzieć, a nie mogłem, słowa nie wychodziły mi z gardła. Próbowałem na odwagę się zebrać i powiedzieć prawdę, ale nie mogłem. Czulem, że nie mężczyzna, lecz królik. Widząc, że mi sił nie starczy, dałem za wygraną i rąbię prosto z mostu:

-- Biały.

— Ja sędzę, że my jednak zajrzemy na tratwę, żeby przekonać się o tem na własne oczy?

— Jabym też chciał i bardzo, żeby panowie zajrzeli, bo tam na tratwie jest tatuś, to możeby nam

panowie pomogli przyholować tratwę do brzegu. Tatuś jest chory, i mama chora i Marya-Anna...

— Tam do licha! Pilno nam bardzo, chłopcze... No, ale ja sądzę, że pomożemy twemu ojcu. Bywaj tymczasem zdrów.

Wzięli się do wiosła i ja także. Oddaliliśmy się od siebie na kilka łokci, gdy znów powiadam:

— Tatuś strasznie panom będzie wdzięczny, słowo daję. Jak tylko kogo poproszę, żeby nam dopomógł tratwę przyciągnąć do brzegu, zaraz odemnie ucieka. Ja przecie sam nie mogę temu poradzić!

— To dziwne! A powiedz-no prawdę, chłopcze, na co chory twój ojciec?

— Ojciec cnory na... na... to nic wielkiego, tylko chory...

Przestali robić wiosłami, a drugi, który dotąd milczał, odzywa się:

— Kłamiesz, chłopcze. Gadaj mi zaraz, co twemu ojcu? Radzę ci, mów prawdę. Lepiej na tem wyjdiesz.

— Powiem, proszę pana, słowo uczciwe daję, że powiem. Tatuś ma... ma... proszę panów, niech panowie nie oddalają się od tratwy i dopuszczają mnie do siebie. Linę rzucę... proszę panów...

— Cofaj się, Janie, cofaj! — woła pierwszy — a ty, chłopcze zdaleka się trzymaj, pod wiatr. Djabli nadali! właśnie ztamtąd wiatr... Chłopcze, twój ojciec chory na ospę i ty wiesz o tem doskonale. Czemuś nie powiedział prawdy odrazu? Czy chcesz roznieść zarazę po całym kraju?

— Kiedy ja... ja... — rzekłem, szłoćhając — mówię

łem pierwszej prawdę każdemu, lecz wszyscy odemnie uciekali.

— Biednyś ty chłopiec! żal nam ciebie z całego serca, ale... widzisz... my także nie mamy ochoty dostać ospy. Słuchaj, ja ci powiem, co zrobić. Nie próbój holować tratwy sam: nie dasz rady, albo ją rozbijesz na drzazgi. Popłyńcie jeszcze ze dwadzieścia mil w dół rzeki. zobaczycie po lewej stronie miasto. Będzie już wtedy po zachodzie słońca... ciemnawo... Gdy spotkasz kogo na wybrzeżu, poproś o pomoc... powiedz, że wszyscy twoi chorzy na febrę. Nie bądź-że znów głupi, nie pozwól się nikomu domyśleć, że to nie febra, lecz ospa. Za grzeczność, którą ci świadczymy, zrób-że i ty nam grzeczność: niech między tobą a nami rozciągnie się mil dwadzieścia. Nie przybijaj do brzegu tam, gdzie widać światło, nic ci z tego nie przyjdzie, bo to tylko składy drzewa. Słuchaj jeszcze: twój ojciec pewno ubogi? jakbym widział, że kuso koło was. Patrz, tu na tej desce kładę dwudziesto-dolarową sztukę złota... deskę do ciebie woda niesie, weź sobie pieniądze. Mnie samemu wstyd, że tak od ciebie uciekamy, ale dalibóg, z ospą żartów niema. Sam przecie wiesz.

— Poczekaj, Parker — odezwał się drugi. — Masz tu drugą sztukę złota, połóż ją także na desce: to odemnie. Bóg z tobą, chłopaczku, Bóg z tobą: zrób, jak ci radzi p. Parker, a dobrze wyjdiesz na tem.

— Tak, tak, chłopcze. Bądź zdrow, bądź zdrow! A jeżeli gdzie zobaczysz murzynów zbiegłych, to wezwij pomocy i złap ich. Zarobisz przytem.

— Bywajcie, panowie, zdrowi — odpowiedzia-

łem — postaram się nie przepuścić koło siebie murzynów.

Oddalili się, a ja powróciłem na tratwę, upokorzony i nieswój, wiedząc, że źle postąpił; przekonałem się przytem, że już się nie nauczę być dobrym. Taki, którego nie nauczą chodzić prosto, kiedy jest mały, nigdy nie wyjdzie na człowieka: raz zepchnięty z drogi, nie znajdzie już w sobie siły do panowania nad sobą i naturalnie poślizgnąć się musi. Myśląc nad tem przez chwilę, rzekłem sobie: Słuchaj, Huck, przypuśćmy, żeś postąpił, jak należało i wydał Jim'a, czy czułbyś się bardziej zadowolonym, spokojniejszym, niż się teraz czujesz? — Nie — odpowiedziałem sobie — nic a nic nie lepiej. No, kiedy tak, to pocóż ja mam uczyć się czynienia dobrze, kiedy czynić dobrze trudno i przykro, a czynić źle ani trudno, ani przykro, a nagroda zaś jedna i ta sama: czy tak, czy owak, nie czujesz zadowolenia. Odpowiedzi na to nie znalazłszy, postanowiłem nie suszyć sobie tem głowy, ale odtąd tak postępować, jak mi w danej chwili będzie wygodniej i łatwiej.

Poszedłem do naszej budki: niema tam Jim'a. Oglądam się naokoło: nigdzie go niema. Wołam więc:

— Jim!

— Tu jestem, Huck. Czy już ich nie widać? Nie mów tak głośno...

Stał w wodzie po samą szyję, nos tylko widać mu było z za krawędzi tratwy.

— Słyszałem wszystko, coście mówili — powiada — zsunąłem się więc do rzeki i gotów już byłem płynąć na brzeg, gdyby tu zajrzeli, a potem znówbym

powrócił. Ależ udało ci się z nimi, Huck! Wypro-
wadziłeś ich w pole aż miło! Złotko ty moje, oca-
liłeś starego Jim'a i stary Jim nigdy ci tego nie za-
pomni, nigdy...

Potem zaczęliśmy rozmawiać o pieniądzach.
Dobrze nam się dostało. po dwadzieścia dolarów na
każdego Jim był zdania, że możemy teraz zaku-
pić sobie miejsce na pokładzie parowca i że tych
pieniędzy wystarczy, na najdłuższą podróż po Sta-
nach wolnych. Dodał wreszcie, że płynąć jeszcze
mil dwadzieścia to nic, ale chciałby już mieć je po
za sobą.

Nad ranem zatrzymaliśmy się, a Jim usiłował
ukryć tratwę jak najlepiej i przez dzień cały zajęty
był wiązaniem rzeczy

Następnej nocy, około dziesiątej, ujrzelśmy
światła dużego, jak się zdawało, miasta, na lewym
wybrzeżu rzeki, tworzącej w tem miejscu zatokę.

Popłynąłem łódką dowiedzieć się od ludzi, jakie
to miasto.

Niedaleko od brzegu spotykam jakiegoś czło-
wieka w małym czółenku, gdy właśnie więcierz usta-
wiał. Pytam go tedy:

— Proszę pana, czy to Kair?

— Kair? Nie. Co to, głupis, czy co, że o to
pytasz?

— Więc jakie to miasto, proszę pana?

— Jeżeli chcesz wiedzieć, to pójdź tam i spy-
taj ludzi. A jeżeli pół minuty będziesz się tu koło
mnie kręcił, to co oberwiesz.

— I ja wiedziałem, ałem zapomniał.

Przed świtem, gdy ukryliśmy się pomiędzy le-

wym brzegiem a wysepką gęsto zakrzewioną, żeby dzień tam przepędzić, domyślając się czegoś, rzekłem do Jim'a.

— A może minęliśmy Kair podczas owej mgły nocnej?

— E! nie warto już mówić o tem, Huck — odzeczce Jim — czy to biedny murzyn może być szczęśliwy? Wiedziałem, że to nie koniec zgryzot, które nam przyniosła skóra grzechotnika.

— Bogdajbym nigdy nie był widział tej skóry!

— To nie twoja wina, Huck, złotko moje, nie twoja. Tyś nie wiedział, że ona nieszczęście sprowadza. Niepotrzebnie czynisz sobie wyrzuty.

Gdy się rozwidniło, patrzymy: po lewej ręce czyste, jasne wody Ohio, po prawej stara nasza Missisipi. A zatem Kair za nami.

Trzeba coś było obmyśleć: tratwą płynąć pod wodę nie można, wysiąść na brzeg niema po co. Nie było innej rady, tylko doczekać się nocy i wtedy dopiero łódką próbować szczęścia. Przespaliśmy więc cały dzień w zaroślach bawelnianych, aby się nabrać do czekającej nas pracy, ale gdyśmy o zmroku wrócili do naszej tratwy, pokazało się, że łódź przepadła.

Przez dość długą chwilę milczeliśmy obaj. Cóż było mówić? Wiedzieliśmy doskonale, że to jeszcze dalszy ciąg skutku skóry węzowej, więc na cóżby się zdało gadanie?

Należało zrobić jakieś postanowienie. Pokazało się, że niema innego sposobu, tylko dalej płynąć tratwą, dopóki nie zdarzy się sposobność kupienia łodzi, dla powrócenia do Kairu.

Z nadejściem nocy siedliśmy znów na tratwę.

Każdy, kto do tej pory jeszcze nie uwierzył w przekleństwo skóry węża, uwierzy i przekona się, gdy usłyszy, co dalej zaszło.

Płynęliśmy już ze trzy godziny. Noc z czarnej przechodziła w szarą i tak jakby gęstniała, co jest zawsze złą bardzo rzeczą, równie prawie niebezpieczną jak mgła. Nie widać brzegów rzeki, szaro wszędzie i chmurno.

Wtem słyszymy: płynie parowiec. Zapaliwszy latarnię, słuchamy jak dyszy, jak rozbija wodę, choć nie widzimy go wcale. Dopiero gdy był już bliżutko, patrzymy: płynie wprost na nas. Robią to parowce niekiedy dla poznania, o ile zbliżyć się mogą bez uderzenia statku, czasami koło parowca zaczepi o łódź lub tratwę, uderzy ją, uszkodzi, a sternik śmieje się, myśląc, że zrobił coś arcy-mądrego.

Płynie tedy, nadplywa, widzimy już, że nam nie daruje, że ani myśli nas minąć. Był to parowiec ogromny i śpieszył się bardzo; wyglądał jak wielka, czarna chmura, wysadzana rzędami świecących robaczków świętojańskich. Zanim się opatrzyliśmy, wisiał już prawie nad nami, wyszczerzając na nas szeroko otwarte drzwi pieców, jakby szereg zębów rozpalonych do czerwoności. Nagle dał się słyszeć krzyk, wołanie mnóstwa naraz głosów, dzwonienie dzwonków sygnałowych, komenda zatrzymania maszyny, syk, szum, gwizd raptownie wypuszczanej pary — i podczas gdy Jim, niespodzianie w górę podrzucony wpadał do wody z jednej strony a ja z drugiej, parowiec, zdruzgotawszy tratwę, przepływał środkiem jej szczątków

Dawszy nurka, umyślnie poszedłem na dno, wiedząc, że trzydziesto-stopowe koło przejdzie nade mną, chciałem więc, aby mu miejsca nie zabrakło. Zawsze wytrzymać mogę pod wodą minutę, ale tym razem zdaje mi się, że chyba dłużej wysiedział. Spieszno mi jednak było wydostać się na powierzchnię, bo myślałem, że się uduszę. A tymczasem parowiec, zatrzymawszy maszynę na jakie dziesięć sekund, znów ją w ruch puścił, bo niewiele sobie rozią parowce z tratw i z ludzi. Płynąc dalej, zniknął mi z oczu w szarem i gęstem powietrzu, choć jeszcze słyszeć go mogłem.

Ze dwanaście razy przynajmniej wołałem Jim'a, ale na próżno: nie było odpowiedzi. Schwyciłem się deski i wypłynąwszy na powierzchnię, zacząłem dążyć do brzegu.

Wdrapawszy się na dość wysokie wybrzeże, nie wiele widzieć mogłem, ale idąc po omacku z ćwierć mili, trafiłem niespodzianie na staroświecki, wielki dom drewniany, który chciałem wyminąć i pójść dalej. Gdy jednakże wyskoczyła na mnie cała psiarnia i zawzięcie ujadać zaczęła, nie byłem tak głupi, żeby przed psami uciekać.

ROZDZIAŁ XVII.

Późna wizyta. — Tolwark w Arkansas. — Przyozdobienia wewnętrzne. — Stefan Dowling Bots. — dusza Poetyczna. — Klawikord.

Za chwilę potem ktoś, nie wychylając się z okna, woła:

— Prędcyj, chłopcy! Kto tam?

— Ja — powiadam.

— Co za ja?

— Jerzy Jackson, proszę pana.

— Czego chcesz?

— Ja nic nie chcę, proszę pana... Ja chciałem tylko przejść sobie tędy, ale psy mnie puścić nie chciały.

— A czego się włóczysz o tej porze? Co?

— Ja się nie włóczę, proszę pana, ja tylko spadłem z pokładu parowca.

— Co? Naprawdę spadłeś? Zapalcie-no tu światło. Więc jak się zowiesz?

— Jerzy Jackson, proszę pana. Nieduży jeszcze jestem.

— Słuchaj, jeżeli prawdę mówisz, nie potrzebujesz się bać; nikt ci nic złego nie zrobi. Nie próbuj jednak ruszać się z miejsca, stój tam, gdzie stoisz. Ruszcie-no się, Bob i Tom, i przynieście fuzye. Jerzy Jackson, czy jest jeszcze kto z tobą?

— Nie, proszę pana, sam jestem.

Słyszę ruch w domu i koło domu, widzę światło. Ten sam głos krzyczy:

— Zabierz ztąd świecę, głupia stara! Czyś już do reszty rozum straciła? Postaw ją na podłodze. Bob, jeżeliście obaj z Tomem gotowi, to na miejsca!

— Gotowiśmy.

— Odpowiadaj, Jerzy Jackson. Czy znasz Shepherdsonów?

— Nie znam, proszę pana. Nigdy nawet o nich nie słyszałem.

— Hm! może to prawda, a może i nieprawda...

Gotowiście? Idź naprzód, Jerzy Jackson. Pamiętaj sobie, nie śpiesz się; idź powolutku. Jeżeli ktokolwiek jest z tobą, niech się nie pokazuje; jeżeli się pokaże, zastrzelę go. Chodź tu ku nam. Wolno idź; otwórz sobie drzwi... sam... na tyle tylko, żebyś się nimi mógł wcisnąć... słyszysz?

Nie śpieszyłem się; nie mogłem, choćbym nawet chciał. Powolusieńku krok za krokiem postępowałem, słysząc prawie bicie swego serca. Psy zachowywały się równie cicho jak ludzie, szły tylko tuż za mną. Gdym doszedł do trzech schodów drewnianych, wiodących do drzwi, usłyszałem, że ktoś je odmyka, odsuwa rygle i zasuwę. Położyłem rękę na drzwiach i lekkim pchnięciem otwierałem je po trochu, dopóki ktoś nie rzekł: Dosyć już; wsadź teraz głowę.—Wsadziłem, ale nie byłem pewny, czy mi jej natychmiast nie zdejmą!

Na podłodze stała świeca, którą wszyscy otaczali, patrząc na mnie z widocznym zaciekawieniem. Było tam trzech mężczyzn dorosłych z wymierzone mi ku mnie strzelbami, co wcale nie jest przyjemne! Najstarszy, siwy, mógł mieć lat ze sześćdziesiąt, dwaj inni po trzydzieści albo i więcej — wszyscy trzech przystojni i okazali — a za nimi siwa, milutka staruszka z dwiema pannami, których nie mogłem widzieć dokładnie. Stary jegomość powiada:

— No, wszystko dobrze. Wejdz.

Zaledwem wszedł, natychmiast stary jegomość drzwi na klucz zamknął, rygle pozasuwał, sztabą żelazną drzwi założył, polecając młodym ludziom iść za nim ze strzelbami. Gdyśmy weszli wszyscy do dużego pokoju bawialnego, którego podłoga zasłana była

nowiutkim dywanem, pozszywanym z gałganków, mężczyźni zaraz się skupili w rogu najbardziej oddalonym od okien, które były tylko w ścianie frontowej. Jeden z nich trzymał w ręku świecę, a wszyscy trzej przyglądali mi się bacznie, mówiąc do siebie nawzajem:

— Nie, to nie żaden Shepherdson... Z pewnością nie Shepherdson... Niepodobny do nich wcale...

Potem stary jegomość w przekonaniu, że mi to zapewne nie zaszkodzi, postanowił zbadać, czy nie mam przy sobie broni. Nie szukając nawet po kieszeniach, obmacał mnie rękami po wierzchu i powiedział, że teraz jest już spokojny. Oświadczył mi też, że mam się rozgościć i być jak u siebie w domu, chciał nawet, żebym zaraz wszystko o sobie opowiedział. Na to milutka staruszka:

— Bóg z tobą, Saulu, biedny chłopak mokrzusieńki, a ty mu każesz opowiadać! Głodny przecie być musi? Tobie to ani w głowie!

— Masz słuszność, Rachelo, zapomniałem!

— Betsy — rzecze wtedy staruszka do murzynki — biegaj-no, nieboże, czemprowadź do spiżarni i przynieś temu biedactwu coś do zjedzenia. A wy, dziewczęta, niech jedna obudzi Buck'a i powie mu... A! otóż i Buck... Buck, weź z sobą tego chłopaczka, zdejm z niego mokrą odzież i ubierz w swoją... Przeziębć się gotów, nieborak...

Buck wyglądał na mego rówieśnika, mógł mieć lat ze trzynaście albo czternaście, chociaż był nieco wyższy odemnie. Na sobie nie miał nic, prócz koszuli i czupryny okropnie rozczochranej. Wszedł, ziewając i przecierając sobie oczy kulakiem jednej

ręki, w drugiej zaś trzymał strzelbę, którą ciągnął za sobą.

— Więc niema Shepherdson'ów? — pyta Buck.

— Niema — powiadają mu — to tylko alarm fałszywy.

— To dobrze. Gdyby się choć jeden z nich pokazał, miałby do czynienia ze mną.

Naśmieli się wszyscy, a wielki Bob mówi:

— A tymczasem mogli oskalpować nas wszystkich, tak się guzdrałeś długo.

— Bo nikt po mnie nie przyszedł, a to niesprawiedliwość. Zawsze mnie wysyłają spać.. dla mnie nigdy niema roboty.

— Nie martw się, nie martw, chłopcze — rzekł stary jegomość — będzie jeszcze i dla ciebie robota. Pory swojej doczekaj, a robota się znajdzie. A teraz ruszaj ztąd i zrób tak, jak ci matka kazała.

Gdyśmy poszli na górę do jego pokoju, Buck wyjął grubą koszulę, kurtkę i spodnie, ja zaś włożyłem to wszystko na siebie. Gdy wciągałem ubranie, zapytał mnie, jak się nazywam, lecz zanim zdołałem odpowiedzieć, już on sam mówić mi zaczął o jakimś dzięciole osobliwym i o małym króliku, którego onegdaj w lesie złowił, a potem spytał, gdzie był Mojżesz, gdy świeca zgasła. Odpowiedziałem, że nie wiem i nie wiedziałem naprawdę. Nikt mi nigdy o tem nie mówił.

— Zgaduj — mówi Buck.

— Jakże mogę zgadnąć, kiedym nigdy o tem nie słyszał?

— Zawsze przecie zgadywać możesz. Bardzo łatwo zgadnąć,

— Jakaż to świeca zgasła?

— No, świeca. Taka sobie, zwyczajna.

— Zkądżeż ja mogę wiedzieć, gdzie się Mojżesz wtedy znajdował?

— Ach, jakżeś ty! W ciemności!

— No, to kiedy wiesz, gdzie się znajdował, dlaczego pytasz?

— Nie rozumiesz, że to zagadka? Słuchaj, długo ty będziesz u nas? Wiesz co ci powiem: zostań na zawsze. Będziemy używać, lekcyi teraz niema, wakacye. Masz ty psa? Ja mam własnego, wskakuje do wody i aportuje kawałki drzewa, które mu rzucam... Czy lubisz czesać się w niedzielę i różne świąteczne ceremonie? Ja ich nie lubię, ale się czeszę: mama każe... Niech licho porwie te spodnie; muszę je kłaść, a tu okropnie gorąco... Jużes gotów? No, to dobrze... Chodź-że teraz za mną, stara szkapo.

Zimne podplomyki, zimna pieczeń wołowa, masło i maślanka, wszystko to zastawili dla mnie jednego, a wszystko było wyborne i tak mi smakowało, jak nigdy w życiu. Buck, jego matka i wszyscy zresztą palili krótkie fajeczki, oprócz obu panien i murzynki, która zresztą zaraz wyszła z pokoju. Palili wszyscy i rozmawiali, a ja także jadłem i rozmawiałem. Panny owinięte były w kołdry, a włosy rozpuszczone sięgały im aż do pasa.

Zadawali mi wszyscy pytania, a ja opowiadałem, że tatko mój posiadał mały folwarczek w głębi Arkansów, w tym właśnie kącie, który leży najdalej od rzeki, gdzie żyliśmy spokojnie i wygodnie. Siostra moja, Marya-Anna, wykradła się z domu, poszła

za mąż i od tej pory nieśmy już o niej nie słyszeli. Starszy brat, Bill, wyprawił się na poszukiwanie zbiegłej i także bez wieści gdzieś przepadł; mali braciszczkowie, Tom i Mort, pomarli, a po ich śmierci zostaliśmy tylko we dwóch: tatko i ja. Tatki jakby nie było wcale, bo udręczony zgryzotą niezadługo umarł, ja zaś po jego śmierci zabrałem wszystko, co było, i zakupiłem sobie miejsce na parostatku, płynącym w górę rzeki. Gdy jednak przechyliłem się nieostrożnie, wpadłem w wodę i takim sposobem tu się dostałem. Odpowiedzieli mi na to, że mogę siedzieć u nich dopóki zechcę, jak we własnym domu.

Tymczasem rozedniało już na dobre, wszyscy poszli spać, a i ja, położywszy się razem z Buckiem, zasnąłem jak kamień. Gdy się obudziłem przed południem, przeszło mnie mrowie, bo dyabli nadali, żem zapomniał jak się nazywam. Leżę tedy z godzinę i przypominam sobie, a gdy Buck się obudził, pytam go:

— Umiesz „*spell*?”

— Umiem — odpowiada.

— Założyłbym się, że nie potrafisz przesylabizować mego nazwiska?

— A ja się założę, o co chcesz, że potrafię!

— No, kiedy tak, to zaczynaj.

— G—e—o—r—g—e J—a—x—o—n. A co?

— Prawda — powiadam — przesylabizowałeś.

Myślałem, że nie potrafisz. No, ale nazwisko moje łatwe i bez uczenia się dokazać można takiej sztuki.

Dobrze jednak zakarbowalem sobie w pamięci każdą głoskę, bo nuż kto zażąda odemnie, abym przesylabizował własne nazwisko? Trzeba się mieć

na pogotowlu i wyrecytować głoskę po głosce, jakby to już czynił poraż setny.

Była to rodzina bardzo porządna i dom zamożny, co się zowie. Nigdy nawet w życiu nie widziałem wiejskiego domu tak wytwornego.

Na ścianach wisiało pełno obrazów—przeważnie Washington'owie, Lafayette'y, bitwy różne, a był też i jeden obraz, który się nazywał: „Podpisywanie deklaracyi“¹⁾. Były także i inne obrazy, jak oni mówili, „kredką robione“ przez jedną z córek już nieżyjącą. Robiła je, mając zaledwie lat piętnaście. Różniły się one zupełnie od wszystkich obrazów, jakie dotychczas widziałem, czarnością. Jeden przedstawiał kobietę w wąskiej, sukni czarnej, wązkim paskiem przepiętej pod pachami. Rękawy tej sukni odstawały nad łokciami tak, jakby kto w nie włożył po głowie kapusty; miała zaś czarny kapelusz, trochę podobny do szaflika a trochę do łopaty i czarną woalkę; łydki białe i cienkie, na krzyż przewiązane czarną wstążeczką, i malusieńkie czarne pantofelki, jak dłóto spiczaste. Stała, bardzo czegoś zamyślona pod brzozą płaczącą, obok nagrobka; prawym łokciem wsparta była na nagrobku, prawą ręką podpierała zwieszoną głowę, ale za to w lewej ręce, spadającej na suknię, trzymała białą chustkę do nosa i woreczek. Pod malowidłem stało drobnemi napisane lite.

¹⁾ Huck mówi tu zapewne o bardzo rozpowszechnionej w Stanach Zjednoczonych rycinie, wyobrażającej chwilę, kiedy zebrani członkowie Kongresu podpisują akt, ogłaszający niezawisłość angielskich kolonij w Ameryce od Anglii.

(Przyp. Tł.).

rami: „Ach! Ach! Niestety! Czy Już Cię Nigdy Nie Zobaczę!” Drugi obraz przedstawiał młodą osobę z włosami podczesanemi wysoko i zebranemi na samym czubku głowy, naokoło grzebienia, który wyglądał, jak tylna poręcz krzesła. Płakała rzewnie, kryjąc całą twarz i oczy w chustkę, którą trzymała w jednej ręce. Na drugiej leżał na wznak, z nóżkami wyciągniętymi do góry, ptaszek nieżywy, a pod obrazem napis: „Ach! Ach! Niestety! Nigdy Już Nie Usłyszę Twego Wdzięcznego Świergotu!”

Jeszcze jeden był obraz: młoda osoba stała w oknie i patrzyła na księżyc; po twarzy jej płynęły łzy rzęsiste; w jednej ręce trzymała list otwarty, z przelamaną na pół pieczęcią czarną, drugą zaś przyciskała do ust medalion na łańcuszku. Napis brzmiał: „Ach! Ach! Niestety! Odszedłeś—Że? Tak!!! Odszedłeś!!!” Sądzę, że to były śliczne obrazy, ale nie umiałem poznać się na nich, bo gdym był nie-swoj, a spojrzałem na nie, zaraz mnie mdliło. Wszyscy żalowali, że umarła przed ukończeniem wielu innych obrazów takiejże treści, ale i z tego, co już zrobiła, mógł każdy osądzić, jaką stratę poniosła rodzina przez śmierć panienki z takim talentem. Mnie się zdaje, że przy takim usposobieniu powinna być w grobie weselsza. Właśnie podczas pracy nad największym, jak mówili, obrazem, nagle zachorowawszy, co rano i wieczór prosiła Boga: „o życie, dopóki obrazu nie skończy”. Pan Bóg wszakże nie chciał na to pozwolić. Obraz ów miał wyobrażać młodą osobę w długiej, białej sukni, stojącą na poręczy mostu i gotową do skoku. Rozpuszczone włosy spadają niżej pasa, a ona patrzy na księżyc, łzy

jej płyną po twarzy, dwoje ramion skrzyżowała desperacko na piersi, drugie dwoje wyciąga przed siebie, a trzecich dwoje wznosi do księżyca. Dlatego zaś narysowała aż trzy pary, że chciała naprzód zobaczyć, z którą z trzech najwięcej pannie do twarzy, a potem tamte wyskrobać. Ale, jakem już mówił, umarła, zanim się zdążyła zdecydować, rodzina zaś schowała obraz na pamiątkę. Powiesili go w jej pokoju, w głowach łóżka i co rok w dzień jej urodzin wieńczyli go kwiatami. W dni powszednie był zasłonięty firanką. Młoda osoba z obrazu wcale niczego, tylko, podług mnie, za wielką ilość ramion czyniła ją trochę podobną do pająka.

Panienka ta, mając książkę ładnie oprawną, na jej stronicach naklejała różne nekrologi i pośmierne wspomnienia o takich, którzy cierpliwie znosili długą chorobę. Wycinała to wszystko z miejscowej gazety „Presbyterian Obserwer“ i potem do tego pisała wiersze—z własnej głowy.

Buck opowiadał, że mówiła wierszami, jakby jadła chleb z masłem. Nie potrzebowała nawet myśleć! Mówił, że tak: siadła i machnęła wiersz, a jeżeli nie mogła dobrać do niego rymu, to niewiele myśląc, zaraz go przekreśliła i w tej chwili machnąwszy drugi, jechała dalej. Nie wybredzała; pisać mogła o wszystkim o czem kto chciał, żeby pisała; byle tylko było coś smutnego. Ile razy umarł mężczyzna, albo kobieta, albo dziecko, to jeszcze nie ostygli, a ona już była gotowa ze swoją „daniną.“ Nazywała takie wiersze *daniną*. W sąsiedztwie mówiono, że najpierwszy wie o umarłym doktor, potem Emelina, a ostatni dopiero przedsiębiorca pogrzebo-

wy. Raz tylko tak się zdarzyło, że wyprzedził Emelinę przedsiębiorca, a to dlatego, że nie mogła dobrać rymu do nazwiska nieboszczyka: *Whistler*. Nigdy już potem nie przyszła do siebie: nie mówiła nic, nie skarżyła się, ale gasła w oczach i niezadługo potem skonała.

Biedne dziewczę! nieraz kazałem sobie iść do tego pokoju, w którym mieszkała za życia i wydostawszy jej książkę z wycinkami, czytałem wszystko, co tam było—najczęściej wtedy, kiedy mi jej obrazy tak do żywego dopiekiły, że mi się trochę na nią położyło.

Polubiłem całą tę rodzinę, i żywych i umarłych, nie chciałem więc dopuścić do nieporozumienia pomiędzy nami. Biedna Emelina pisała za życia wiersze o każdym, kto umarł, a teraz, kiedy sama umarła, to nie było nikogo, kto by co o niej napisał. Jakże można! to przecie niesprawiedliwość! Starłem się więc wydusić z siebie jeden albo dwa wiersze, ale ani rusz—nie mogłem.

Pokój Emeliny utrzymywano bardzo czysto i wszystko było w takim samym porządku, jaki ona u siebie zaprowadziła. Nie sypiał nikt w tym pokoju, a matka staruszka, choć w domu pełno było murzynów, sama go zawsze sprzątała, żeby tylko całymi godzinami tam siedzieć, lub czytać Biblię tuż obok łóżeczka zmarłej córki.

Mówiąc o bawialnym pokoju, zapomniałem dodać, że w oknach były precudowne białe rolety z malowidłami pałaców, strumyków i bydła. Był także stary klawikordzik, o klawiszach jak gdyby z żółtej blachy. Gdy panienki, przygrywając na nim,

śpiewały „Ostatnie pękło ogniwo“, albo kiedy zagrały „Bitwę pod Progą“, to słuchać mogłem i słuchać... bez końca!

Dom składał się właściwie z dwóch budynków, zupełnie do siebie podobnych, Odstęp między nimi pokryty był dachem, wyłożony podłogą a służył podczas upałów za jadalnię. A co to było za jedzenie! I obfite i dobre!

ROZDZIAŁ XVIII.

Jmci pan Grangeford.—Arystokracya.—Stara waśń.—Testament.—Cyranki.—Znalazła się tratwa.—Składy drzewa.—Siekanina.—„To ty, złotko moje?“

Jmci pan Grangerford był szlachcicem, jak mówią dobrze urodzonym, a to się ceni i w człowieku i w koniu. Tak mawiała wdowa Douglas, należąca do najpierwszej w naszym miasteczku arystokracji. I tatko powtarzał to samo, choć wcale nie był dobrze urodzony. Jmci pan Grangeford, wysokiego wzrostu, wielce szczupły, śniadą miał cerę, twarz bez rumieńca, chude policzki, co rano jak najstanniej ogolone, bardzo cienkie usta, jeszcze cieńsze nozdrza, nos orli, brwi gęste i najczarniejsze w świecie oczy, tak głębokie, że jakby z jaskini przezierały. Czoło miał wysokie, włosy czarne i proste, spadające aż na ramiona. Ręce miał długie, niezmiernie szczupłe, a odkąd żył, brał codzień świeżą koszulę i co-

dzień świeże ubranie z płótna tak bielutkiego, że aż oczy bolały patrzeć na nie. W niedzielę przywdziewał zawsze frak szafirowy z mosiężnymi guzikami i do niego nosił laskę mahoniową o dużej gałce srebrnej. Nie łatwo z nim było żartować, wcale nawet żartów nie znosił, ale za to nigdy nie wybuchał gniewem. Dobry był niesłychanie i każdy musiał go lubić. Czasami gdy mu zaigrał uśmiech na ustach, aż przyjemnie było patrzeć na niego; lecz gdy się wyprostował, jak słup, z którego w dni świąt narodowych powiewają chorągwie, gdy z pod jego brwi czarnych zaczęły latać błyskawice, to brała ochota najpierw się wdrapać na drzewo, a dopiero potem zapytać, o co chodzi. Nigdy nie potrzebował przypominać, żeby się przy nim zachowywano przyzwoicie, bo nikomu na myśl nawet nie przyszło być nieprzyzwoitym w towarzystwie p. Grangenforda. Każdy pragnął być blisko niego; zdawało się, że przy nim i słońce jaśniej świeci. Czasami zachmurzał się, jak noc, na pół minuty, a wówczas, przez cały tydzień szło wszystko w domu, jak w zegarku.

Gdy oboje z siwiutką staruszką schodzili rano na dół, do pokoju, w którym znajdowała się już cała rodzina, wszyscy wstawali, mówiąc rodzicom dzień dobry i nie siadali dopóty, dopóki rodzice nie usiedli. Wtedy Tom i Bob szli do kredensu, gdzie stały przygotowane butelki, przyrządzali kieliszek wódki z gorzkimi kroplami i podawali go ojcu, a Jmci p. Grangendorf trzymał go w rękę, dopóki Tom i Bob nie przyrządzili sobie po kieliszku. Składając rodzicom ukłon, mówili: „Nasze uszanowanie panu ojcu i pani matce“, rodzice zaś skłoniwszy się zlekka, powiadali:

„Dziękujemy wam.“ Gdy mężczyźni wypili, Bob i Tom, nalawszy na dno swego kieliszka po kropli wybornej, z jabłek pędzonej wódki i po łyżeczce wody, osładzali tę mieszaninę szczyptą cukru, wołając mnie i Buck'a żebyśmy przyszli wypić za zdrowie starych państwa.

Bob był najstarszy, Tom zaraz szedł po nim. Obaj wysocy, piękni mężczyźni, ogorzali, barczyści, obaj o czarnych włosach i oczach. Od stóp do głów zawsze się odziewali w białe płótno, tak, jak stary jegomość, i nosili ogromne kapelusze Panama.

Po nich szła miss Karolina, dwudziestopięcioletnia panna, wysociego wzrostu, wyniosła, okazała i najlepsza w świecie, dopóki jej co nie rozgniewało. Rozgniewana — zupełnie, jak ojciec—tak patrzyła, że radbyś się schować w mysia norę. Śliczna to była panna!

Nie mniej była urodziwa i siostra jej Zofia, ale zupełnie do niej niepodobna. Łagodna i cichutka, jak goląbka, miała dopiero lat dwadzieścia.

Każdy z członków rodziny miał własnego murzyna do usług; miał go i Buck, miałem i ja.

Dawniej była ona liczniejsza: brakło bowiem trzech synów, którzy zostali zabici, i Emeliny, która umarła.

Stary jegomość był właścicielem mnóstwa folwarków i stu przeszło murzynów. Od czasu do czasu zjeżdżało się tu po kilkanaście osób, wszyscy konno, i siedzieli po pięć, po sześć dni. To dopiero szła zabawa!

Po całych dniach pływanie po rzece, pikniki, tańce w lesie na trawie, a i w domu po całych no-

cach. Goście—byli to po większej części sami krewni: bliźsi i dalsi, państwo prawdziwe, co się zowie. Z mężczyzn każdy miał strzelbę prześliczną!

W sąsiedztwie był jeszcze drugi dom, również pański, jak rodziców Buck'a. Składał się z kilku rodzin, a wszyscy prawie to samo mieli nazwisko: Shepherdson. Tak samo wysoko byli urodzeni, tak samo bogaci i tacy wielcy panowie, jak rodzina Granngford'ów. Oba domy używały tejże samej przystani, znajdującej się o niespełna dwie mile od domu, tak, że gdy czasami odprowadzałem tam naszych, wybierających się na jaką wycieczkę parowcem, to zawsze spotykaliśmy kilku przynajmniej Shepherdson'ów na koniach pięknych i rosłych.

Pewnego dnia Buck i ja polujemy sobie w lesie, gdy wtem, słyszymy, nadjeżdża ktoś konno. Przechodziliśmy właśnie wpoprzek drogę. Buck woła:

— Umykaj! W las, co żywo!

Jednym susem byliśmy już w lesie i, ukryci między pniami, patrzymy z po za gałęzi na drogę. Po chwili nadlatuje w pełnym galopie piękny, wyniosły młodzian, koniem toczy, jak żołnierz, a siedzi na nim, jakby do siodła przyrosły i strzelbę przed sobą trzyma w pogotowiu. Był to jeden z młodych Shepherdson'ów, Harney Shepherdson. Raptem, tuż nad mojem uchem wystrzał się rozlega; to Buck dał ognia i strącił Harney'owi kapelusz z głowy. Ten zaś porwał za strzelbę i prosto ku nam, choć z za liści widzieć nas nie mógł. Ale myśmy nie czekali na niego: nogi za pas i—w las! Obejrzawszy się przez ramię, widziałem, że po dwakroć mierzył Har-

ney, jakby chciał ognia dać do nas, ale nie dał, aż wreszcie konia zawrócił i pojechał. Bieглиśmy tak aż do domu. Staremu jegomości zaiskrzyły się oczy, gdy syn opowiedział, co zaszło, ale po chwili twarz mu spoważniała i rzekł do syna łagodnie, ale seryo:

— Nie podoba mi się to strzelanie z za krzaka. Dlaczego nie wystąpiłeś na drogę?

— Shepherdson'owie nie czynią tak, ojczec. Zawsze skorzystają ze sposobności i napadają znie-nacka.

Miss Karolina słuchała opowiadania, głowę dumnie podnosząc, jak królowa, z której oczu leciały iskry. Starsi bracia spochmurnieli, nie mówiąc ni słowa; miss Zofia zbladła okropnie, ale rumieniec wrócił na twarz jej, gdy się dowiedziała, że młody człowiek zdrow i cały.

Skoro tylko znaleźliśmy się sami nieopodal śpi-chlerza, pytam Buck'a:

— Czyś ty chciał go zabić?

— Ano tak!

— Cóż on ci zrobił?

— On? Nic mi nigdy nie zrobił.

— No... więc dlaczego chciałeś go zabić?

— Dla niczego... Tylko widzisz jest między nami *waśń rodowa*.

— Co to jest waśń rodowa?

— Gdzieżeś ty się wychowywał, że nie wiesz, co to waśń rodowa?

— Nigdy o tem nie słyshał—opowiedz-no, co to takiego?

— Widzisz—rzekł Buck—waśń rodowa to jest taka. Jeden człowiek pokłóci się z drugim i zabije

go, a potem brat drugiego zabije pierwszego, a potem bracia obu pozabijają się nawzajem, a potem zaczną się zabijać bracia stryjeczni, aż wszyscy będą pozabijani i waśń się skończy! Ale to idzie powoli i dużo czasu zabiera!

— A wasza waśń długo się już ciągnie?

— Spodziewam się, że długo! Zaczęła się trzydzieści lat temu, a może i dawniej. Zaszedł jakiś spór, nie wiem już o co, i z niego wynikł proces. Jeden z tych dwóch, co spór wszczęli, proces wygrał, więc ów drugi zastrzelił tego, co zresztą było bardzo naturalne. Na jego miejscu każdyby zrobił to samo.

— O co to poszedł spór? O grunta?

— Pewno, że o grunta... nie wiem zresztą.

— A kto kogo zastrzelił pierwszy? Grangerford Shepherdson'a, czy naodwrot?

— Zkądże chcesz, żebyśmy ja takie rzeczy wiedział? To już tak dawno!

— I nikt tego nie wie?

— E! nie! Ojciec musi wiedzieć, a może i kto ze starszych, ale i oni zapewne nie wiedzą już, o co poszło.

— A dużo też pozabijanych?

— Sporo, ale nie wszyscy. Do ojca strzelali raz grubym śrótem i nic mu nie zrobili, choć śrót dotąd w nim siedzi. Boba napoczęli trochę nożem i Tomkowi dostało się też parę razy.

— A tego roku jest kto zabity?

— Jest; u nas jeden i u nich także jeden. Będzie temu ze trzy miesiące, cioteczny mój brat, Bud, czternastoletni chłopiec, jechał sobie przez las, po

tamtej stronie rzeki. Nie miał z sobą żadnej broni, co było wielkiem głupstwem z jego strony, kiedy nagle w miejscu najsamotniejszym słyszy za sobą tętent konia. Ogląda się: to jedzie stary Baldy Shepherson; wiatr mu rozrzuca długie, siwe włosy, a on podnosi strzelbę i na cel bierze chłopca. Zamiast zeskoczyć z konia i zaszyć się w krzaki, Bud myślał, że mu potrafi uciec. Zaczęli się więc ścigać: Bud ucieka, ten goni, aż wreszcie Bud widząc, że to się na nic nie zda, wstrzymał konia i obrócił się do staroego twarzą, tak, żeby kula... rozumiesz? trafiła go w samo czoło. Stary podjechał, dał ognia i zabił go na miejscu. Ale niedługo cieszył się swoim zwycięstwem, bo w przeciągu tygodnia miał do czynienia z naszymi.

— Ja myślę, że stary nieszlachetnie postąpił.

— Przeciwnie. Nie było w tem nic nieszlachetnego. Tchórzów i nieszlachetnych niema pomiędzy Shepherdson'ami. I pomiędzy Grangeoford'ami niema ich także. Ten sam stary stawiał czoło przez pół godziny trzem Grangerford'om i nie dał im się. Oni wszyscy byli konno, on zaś, zszedłszy z rumaka, stanął między sągiem drew a swoim koniem, żeby się od kul zasłonić, tak, że Grangeoford'owie z boku do niego strzelali, a on się bronił. Zaledwie doszedł do domu wraz z koniem, ale doszedł, gdy Grangenford'ów nieść było trzeba: jeden z nich już był nieżywy, a drugi umarł nazajutrz. Nie, mój przyjacielu, kto chce znaleźć podłych albo tchórzów, niech czasu nie traci na szukanie ich pomiędzy Shepherdson'ami, bo tam nie rodzi się ten gatunek.

Następnej niedzieli pojechaliśmy wszyscy konno

do kościoła, odległego o trzy mile. Mężczyźni wzięli z sobą fuzye—i Buck wziął także. Przez cały ciąg nabożeństwa trzymali je pomiędzy kolanami, a jeżeli który rozstał się na chwilę ze swoją, to po to jedynie, aby ją tuż za sobą o ścianę oprzeć. Toż samo czynili i Shepherdsonowie, a tak jedni, jak i drudzy uważnie słuchali nabożeństwa. Bardzo piękne było kazanie, całe o braterskiej miłości i różnych tym podobnych rzeczach, cokolwiek nudnych, wszyscy jednak zgodzili się na to, że kazanie jest bardzo piękne, a wracając do domu, ciągle tylko o niem rozprawiali. Tyle zaś mieli do mówienia o wierze, dobrych uczynkach, łasce i prze... prze-naznaczeniu... czy nie wiem już jak zresztą, że nie pamiętam, aby mi się kiedy w życiu zdarzyła tak ciężka, jak ta, niedziela.

Po obiedzie wszyscy drzemać zaczęli i zrobiło się porządnie nudno. Buck, objąwszy ramieniem psa ulubionego, spał jak zabity na trawie. Poszedłem tedy do naszego pokoju, z zamiarem zdrzemnięcia się trochę. Śliczna miss Zosia, stojąc we drzwiach swojej izdebki, widocznie na mnie czekała, bo zaprosiwszy mnie do siebie, zamknęła drzwi cichutko i prosto z mostu zapytała: „czy ja ją lubię.“ Odpowiedziałem, że bardzo.

— Czy podjąłbyś się oddać mi drobną, ale bardzo ważną przysługę i nikomu o tem nie mówić?

— Wszystko zrobię dla miss Zofii.

— Zapomniałam w kościele swojej Biblii, która została w naszej ławce i leży między dwiema innymi książkami. Otóż wymknij się niepostrzeżenie,

pobiegnij do kościoła, przynieś książkę i nie mów o tem nikomu ani słowa.

Z największą ochotą, zaraz pójdę!

Wziąłem tedy nogi za pas i w mig byłem w kościele, gdzie nie zastałem nikogo, prócz kilku wieprzków, drzwi bowiem nie były zamknięte, a nierogaczna lubi kłaść się w upał na podłodze chłodnej, ceglanej.

Idąc po książkę, myślałem sobie, że coś się tu święci, bo nie jest rzeczą naturalną, żeby młoda panna nie mogła się obejść bez swojej Biblii. Potrząsnąłem więc książką, aż tu z pomiędzy kart wypada malutka karteczka, na której napisano ołówkiem: „Pó! do trzeciej.“ Niczego dojść nie mogąc z tej karteczki, włożyłem ją napowrót do książki. Zaledwie wszedłem na schody, patrzę: stoi miss Zosia w drzwiach swego pokoju i czeka na mnie. Wciągnęła mnie do środka czempredzej, drzwi zamknęła i szuka w Biblii. Przeczytawszy kartkę, tak była uradowana, że nim się opatrzyłem, wyściskała mnie mocno, mówiąc, że'm najlepszy chłopiec pod słońcem. I zarumieniła się przytem jak wiśnia, a oczęta tak jej błyszczwały, że od malowania była śliczniejsza. Zadziwiony okrutnie pocałunkami i jej wyglądem spytałem, co tam napisano na papierze.

— Czytales?—pyta.

— Nie — odpowiadam.

— A umiesz czytać pisane?

— Umiem, ale tylko bardzo duże litery.

Wtedy powiedziała mi, że na tym papierze nie ma nic, że to tylko znaczek do zakładania stronic i że mogę już odejść,

Idę tedy nad rzekę, a rozmyślając o tem wszystkim, widzę, że mój murzyn wciąż za mną idzie. Gdy dom znikł nam z oczu, on się obejrzał raz i drugi, a potem przybiega do mnie i mówi:

— Paniczu, niech panicz pójdzie ze mną na błota: pokażę całe stado cyranek.

Zaciekawilo mnie to, bo się odrazu domyśliłem, że murzyn coś innego ma na myśli. Cyranki nie są przecie taką osobliwością, żeby zbaczać z drogi i umyślnie chodzić na błoto dla ich zobaczenia. Czego on chce odemnie? Powiadam tedy:

— Dobrze, pójdę. Pokaż drogę.

Szedłem za nim z pół mili, a gdyśmy przyszli nad brzeg błota, murzyn wszedł w nie powyżej kostek, z pół mili jeszcze prowadząc mnie za sobą. Doszliśmy wreszcie do miejsca, gdzie na suchym już gruncie gęsto rosły drzewa i krzaki. Tu powiada murzyn:

— Niechno panicz wejdzie w gąszcz na kilka kroków, one tam są. Sam widziałem na własne oczy.

Zawrócił się na prawo i znikł za drzewami. Ja zaś, idąc śród gąszczu coraz dalej, znalazłem się, jakby w altance małuteczkiej, która była pokryta zupełnie dzikiem winem i innymi pnąciami się roślinami. Na murawie, patrzę, śpi ktoś sobie... Co państwo na to powiecie? Tym śpiącym był mój stary, mój poczciwy Jim!

Obudziłem go, myśląc, że widok mój będzie dla niego ogromną niespodzianką. Ale nie! O mało nie plakał z radości, ale zdziwiony nie był. Opowiedział mi też, że owej pamiętnej nocy ciągle za mną pły-

nał i słyszał moje nawoływanie, ale bał się odpowiadać, aby krzykiem nie zwabić ludzi, którzyby go, jako murzyna, ujęli i znów niewolnikiem uczynili.

— Uderzyłem się mocno — opowiadał Jim — nie mogłem więc płynąć tak prędko, jak ty i ciągle pozostawałem z tyłu. Gdyś dopłynął do brzegu, myślałem, że cię dopędzę, nie potrzebując wołać na ciebie, ale zobaczywszy przed sobą ten dom, do którego zmierzałeś, zwolniłem kroku. Za daleko byłem, aby słyszeć, co do ciebie mówiono — a bałem się zbliżyć z obawy psów. Skoro wszedłeś do środka, ja poszedłem w las, żeby tam dnia doczekać. Co rano przechodzą tamtędy murzyni na robotę, wzięli mnie więc w opiekę i pokazali to miejsce, gdzie psy wysłedzić mnie nie mogą, bo woda wokół. Co noc przybiegał tu który, przynosił mi trochę strawy i od nich wiedziałem wszystko, co się z tobą dzieje.

— Czemużeś nie powiedział wcześniej mojemu murzynowi, żeby mnie tu przyprowadził?

— Pocóż cię miałem sprowadzać, nie wiedząc, co z nami będzie? Ale teraz wszystko już dobrze... Nakupiłem garnków, patelnie, strawy wszelakiej i nocami przenosiłem to wszystko na tratwę...

— Na jaką tratwę.

— Na naszą, na starą tratwę.

— Jakto! Alboż jej nie podruzgotał parowiec?

— Nie. Uszkodził ją porządnie z jednego końca, ale zresztą nie zrobił jej wielkiej krzywdy. Potraciliśmy tylko wszystkie prawie rzeczy. Gdybyśmy nie byli musieli dać tak głęboko nurka i płynąć pod wodą, gdyby noc nie była taka czarna, a my głów nie potracili, jak zmokłe kury, gdyby...

— Zostaw-że już te „gdyby.“ Cóżby się było stało, gdyby nie *gdyby?*...

— Bylibyśmy zobaczyli naszą tratwę. Ale dobrze się stało, żeśmy jej nie zobaczyli, bo ją teraz wyreparowałem i na miejsce tego, cośmy stracili, mamy teraz wszyściutko nowe.

— Jakimże sposobem odzyskałeś tratwę, Jim? Gdzie ją schwytałeś?

— Jakże mogłem ją schwytać, siedząc tu w lesie? Nie ja ją odzyskałem, lecz murzyni, którzy ją znaleźli wciśniętą między dwie rafy, stojące nieopodal od brzegu. Wydobyli ją, ukryli w leśnej zatoczce i tak wiele rozprawiali o tem, do kogo należeć będzie, że usłyszałem, o co chodzi. Podnoszę się tedy i powiadam: dajcie pokój, nie kłóćcie się o tratwę, bo ona ani wasza, ani niczyja, tylko Huck'a i moja. Nie macie przecie zamiaru zagrabić własności białego panicza, bo wiecie, że nie uszłoby to wam na sucho. Dałem im po dziesięć centów na każdego, uradowali się okropnie, mówiąc, że chcieliby codziennie znajdować taką tratwę. Strasznie poczciwi dla mnie ci tutejsi murzyni, zawsze zrobią wszystko, o co ich poproszę. Twój Jack także bardzo dobry i sprytny chłopiec.

— Tak, sprytny. Nie powiedział mi nawet, że tu jesteś, lecz sprowadził mnie tylko dla cyranek.

Nie będę się rozszerzał nad tem, co nazajutrz nastąpiło. Krótko tylko powiem, że się obudziłem przed świtem, a chcąc przewrócić się jeszcze na drugi bok, żeby zasnąć trochę, zauważyłem niezwykłą ciszę, jakby w domu nie było żywej duszy. Co się stało? Potem spostrzegłem nieobecność Bucka. Wsta-

łem więc zaciekawiony i schodzę na dół, nigdzie nikogo niema! Wychodzę przed dom, to samo! Co to ma znaczyć? W głębi podwórza dopiero spotykam swego murzyna, ukrytego za sągami drzew, i pytam:

— Co się tu dzieje?

— To panicz o niczem nie wie?

— Nie, nie wiem o niczem.

— A to, widzi panicz, panienska Zosia wykradła się. Żebym wieczora nie dożył, jeżeli kłamię; wykradła się w nocy, nikt nie wie, o której godzinie, żeby wziąć ślub z tym młodym Shepherdson'em; tak przynajmniej państwo mówią. Spostreżegli się, że jej niema teraz dopiero, przed półgodziną, a może więcej... No! nie tracili czasu! W mig strzelby pobrali, na koń wsiedli i niema ich! Pani i panienska pojechały zawiadomić całą familię, a stary pan z młodymi panami, broń wzięwszy, udali się nad rzekę czatować na tamtego i zabić go nim zdąży przepłynąć z panienką na drugi brzeg. No! ja myślę, że nie ujdzie mu to na sucho, bo ci nie darują swego.

— Buck nie obudził mnie, wyjeżdżając?

— A ma się rozumieć, że nie. Nie chcieli mieszać w tę sprawę obcego. Pan, kiedy strzelbę nabił, zaklinał się na wszystkie świętości, że nie wróci do domu bez Shepherdson'a, albo nawet i bez dwóch. A pan słowa dotrzyma i, na swoim postawi, to ja wiem.

Po tem opowiadaniu pobiegłem co tchu nad rzekę, tam, gdzie wiodła droga, którą Shepherdson miał przejeżdżać. Już zdaleka usłyszałem strzały. Pędzę więc z całych sił, a widząc już szychty, leżące nad

przystanią, włązę na jakieś drzewo, nad samym brzegiem rosnące, i ztamtąd przypatruję się wszystkiemu. Tuż obok mojego drzewa leżał na cztery stopy wysoki stos tarcic, wśród których zrazu ukryć się chciałem; szczęście, że tego nie uczyniłem.

Na niewielkim placu czterech lub pięciu jeźdźców z głośnym krzykiem i przekleństwami schwytać usiłowało dwóch młodych chłopców, ukrytych za szychcą od strony rzeki. Nie mogli jednak dokazać tego. Co się który wysunął nieco nad rzekę, natychmiast strzelano do niego z za szychty, poczem chłopcy kryli się za swój szaniec, z kąd śledzić mogli każde poruszenie przeciwników.

Po upływie pewnego czasu jeźdźcy zaprzestali przekleństw i krzyków, lecz wprost natarli końmi na szychcę. Wtedy jeden z chłopców, wychyliwszy głowę z po nad górnej krawędzi szychty, zmierzył do napastnika i wystrzałem z siodła go zrzucił. Jeźdźcy zeskoczyli z koni wszyscy razem, jak na komendę, porwali ranionego i unieśli go nieco dalej, a obaj chłopcy uciekać zaczęli. Byli już na pół drogi od drzewa, na którym ja siedziałem, gdy zauważyli ich przeciwnicy i natychmiast, siadłszy na koń, puścili się w pogoń za zbiegami. Doścignąć ich jednak nie mogli, bo tamci dobrze się już byli przedtem odsadzili, a teraz, dopadłszy stosu tarcic, w pobliżu mego drzewa leżących, skryli się za nim, całą jego objętością odgradzając się od ścigających. Jednym z tych chłopców był Buck, drugim młodzieniaszek najwyżej dziewiętnastoletni.

Jeźdźcy pokręcili się trochę wkoło kryjówki chłopców i odjechali. Gdy tylko znikli mi z oczu,

natychmiast oznajmiłem to Buck'owi. Na razie pojąć nie mógł, z kąd go głos mój dochodzi, i strasznie się zadziwił, gdy mnie zobaczył na drzewie. Prosił, aby pilne dawać baczenie i dać mu znać natychmiast, gdy ich wracających zobaczę, bo ani wątpił, że powrócą i to niezadługo. Miałem ochotę zleźć już z drzewa, ale trudno było odmówić Buck'owi, który trząsł się cały ze wzruszenia i przysięgał, że on i Joe, jego brat stryjeczny, powetują sobie jeszcze dzień dzisiejszy. Dowiedziałem się, że zabito jego ojca i obu braci, że Shepherdson'owie urządzili na nich zasadzkę, ale sami też dwóch ludzi stracili. Buck był zdania, że ojciec jego i bracia powinni byli poczekać na swoich krewnych, bo samotrzeć czoło stawiając liczniejszemu od siebie Shepherdson'om, na pewną śmierć się narażali. Spytałem, co się stało z młodym Harney'em i miss Zofią.

— Przeprawili się przez rzekę i w bezpiecznym miejscu.

Bardzo mnie to ucieszyło, tembardziej, że pamiętając jak się wyraził Buck o Harney'u — owego dnia, kiedy to strzelał do niego a nie trafił — nie przypuszczałem, żeby przyjął tak pobłażliwie małżeństwo siostry.

Aż tu nagle słyszymy: pif! paf! puf! z kilku strzelb odrazu... To tamci zakradli się pieszo i zniecka lasem podeszli! Chłopcy, obaj lekko ranieni, rzucili się do rzeki, a gdy razem z prądem płynęli, Shepherdson'owie, biegnąc wybrzeżem, jeszcze do nich strzelali, krzycząc jeden do drugiego: „Bij! Zabijaj!“ O małym z drzewa nie spadł, widząc to... Dziś jeszcze nie mogę opowiedzieć wszystkiego, co wów-

czas miało miejsce... na samo wspomnienie słabo mi się robi. Wolałbym być nie przychodzić wówczas na ten brzeg przeklęty i nie widzieć tego, co widziałem... Biedny, biedny Buck!

Siedziałem na drzewie, dopóki się nie ściemniło, bom się bał zejść. Od czasu do czasu rozlegały się w lesie wystrzały; po dwakroć widziałem kilku zbrojnych jeźdźców, galopem pędzących wzdłuż rzeki, wiedziałem tedy, że to jeszcze nie koniec. Strasznie znękany, dałem sobie słowo, że za nic w świecie nie wrócę do tego domu nieszczęsnego, tembardziej, że wyrzucałem sobie przyczynienie się do jego nieszczęść. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, co znaczyła owa karteczka; zapewne, że „o wpół do trzeciej“ miała się zejść miss Zofia z Harney'em, żeby opuścić dom rodzicielski. Czy nie powinienem był powiedzieć ojcu i o tej karteczce i o całym postępowaniu, które tak mi się dziwnem wydawało? Kto wie? Może gdyby ją ojciec był zamknął, nie byłoby tego nieszczęścia.

Po zejściu z drzewa biegłem ku zakrętowi, gdzie zatrzymywać się zwykło to wszystko, co woda z sobą unosi. Znalazłem tam zwłoki obu młodych chłopców, zaplątane wśród wodorosli. Wyciągnąwszy zwłoki i zakrywszy im twarze, odszedłem najspieszniej, jak mogłem. Popłakałem nawet trochę, zakrywając twarz Buck'a, gdyż okropnie był dla mnie dobry.

Ściemniło się tymczasem zupełnie. Nie zbliżałem się już wcale do domu, tylko lasem obchodząc, dotarłem do błota.

Nie było Jim'a na „Suchej wyspie“, zawróci-

łem więc do rzeki i wiedząc, gdzie jest owa zatoczka, biegłem do niej, tak mi już pilno było uciec z tego miejsca nieszczęsnego. Tymczasem, patrzę, niema tratwy! Ażem zdrętwiał! Przez chwilę tak mi dech w piersi zaparło, że m głosu wydobyć nie mógł, ale gdym oprzytomniał, krzyknąłem. A tu, o kilka sążni odemnie, głos się odzywa:

— To ty, złotko moje? Chwałaż Bogu! Cicho... bez hałasu!

Był to głos Jim'a, który nigdy jeszcze nie wydał mi się tak miłym.

Gdym się wreszcie dostał na tratwę, Jim wyściskał mnie i wycalował z wielkiej radości, poczem rzekł:

— Bóg z tobą, dzieckol! Ja myślałem, że ciebie znów zabili.

Jack był tu i mówił, że już chyba nie żyjesz, kiedy nie pokazałeś się w domu przez dzień cały. Przygotowawszy więc tratwę, przysposobiłem wszystko do odjazdu i czekałem chwili, gdy Jack powróci z wiadomością, że już naprawdę nie żyjesz. Jakem ja też szczęśliwy, żeś wrócił, złotko ty moje!

— I ja także — powiadam. — Nie znajdą mnie, pomyślą więc, że m zabity i że zwłoki moje popłynęły w dół rzeki.. Będą nawet mieli powód tak myśleć... Nie trać więc czasu, Jim, ale odpłynmy ztąd szybko i jak najdalej...

Nie miałem spokoju, dopókim nie zobaczył, że tratwa znajduje się na środku rzeki, o dwie mile od tego wybrzeża, zkad widziałem jeszcze rodzinny dom Bucka. Wywiesiwszy latarnię sygnałową, poczuliśmy się znów swobodni i bezpieczni. Od wczoraj nic

w ustach nie miałem; Jim więc wydobyl żytnie placki, maślanke, wieprzowinę z kapustą i różne inne przysmaki, które ochoczo zajadałem, gawędząc z Jim'em. Przyszliśmy zaraz do przekonania, że wszędzie dobrze, ale na tratwie najlepiej. U ludzi ciasno jakoś i duszno, a na tratwie przestronno i swobodnie.

ROZDZIAŁ XIX.

Dniówki.—Teorya astronomiczna.—Ucieczka przed pościgiem. — „Revival“ wstrzemięźliwości. — Książę Bridgewater'u.—Troski majestatu.

Przeszło kika dni i kilka nocy, mógłbym śmiało powiedzieć: upłynęło, tak niepostrzeżenie zeszyły i przyjemnie. Rzeka była niesłychanie w tem miejscu szeroka, na półtory mili przynajmniej i jak zwierciadło gładka. Płynęliśmy nocami, a dni spędzali w ukryciu.

Nigdzie najmniejszego szmeru, cisza zupełna, zdawałoby się, że na całym świecie wszystko w śnie spoczywa, tylko kiedy-niekiedy zarechocze gdzieś za-
ba. Patrząc w dal na wodę, widzisz naprzód coś nakształt niewyraźnej, majaczącej linii. To las na przeciwległym brzegu rosnący. Potem dopiero zjawia się na niebie blada plama, nieduża, a z nią razem blednieje coraz więcej i czarność, która dotąd rzekę pokrywała. Woda staje się szarą, potem perłową, powstają na niej znów plamy ruchome, małe i wię-

ksze: małe—to łodzie targowe, przewożące żywność, większe—to tratwy do naszej podobne, z różnym towarem. Tak cicho i głoś tak płynie po wodzie, że ze znacznej nawet odległości dolatuje plusk wiosel, skrzyp lin i warczenie żagli wiatrem wzdymanych. Nieruchomo sterczy nad wodą przedmiot jakiś: to skała, o którą rozbija się fala i opryskuje go deszczem drobnych kropelek.

Dalej nieco widzisz jak zwija się i kłębi mgła, tu i owdzie rzekę zaścielającą. Na wschodzie rumieni się niebo luną szkarłatną, którą odbija woda pozwalając rozróżniać przedmioty. Ot, tam, na drugim brzegu, widzisz na skraju lasu chatę, z nicciosanych pni zbudowaną, zapewne mieszkanie tracza, bo zaraz obok wznoszą się całe sterty tarcic, w krzyż sześcioramienny układanych dla przewiewu.

Od wody wiatr pociąga chłodnawy, rzeźwiący, niesie z sobą woń drzew i kwiatów, pozbieraną w borach i na polankach, a czasem też i wyziewy porzucanych na wybrzeżu ryb nieżywych. Wreszcie już dnieje naprawdę, wszystko się w słońcu uśmiecha, a ptaszki aż się zanoszą od śpiewu!

Niewielkiego dymu nikt nie zauważy o tej porze, więc, zdjąwszy z haczyków złowione ryby, ugotowaliśmy sobie śniadanie, po którym przyjemnie było spoglądać na ogromną pustynię wodną, dopóki sen nie zmorzy. Zasypialiśmy więc oba na długo, budzeni zwykle przez parostatek, którego gwizd lub sapanie dochodziło do nas z oddali. Gdy zniknął z oczu, znów godzinami całemi rzeka wyglądała jak pustynia, ożywiana chyba jakąś tratwą, drzewem naładowaną, i pracą drwali, zajętych rąbaniem drzewa.

Ostrza siekier wysoko wznoszonych błyskały w słońcu co chwila, a zaraz potem dochodził, stłumiony nieco oddaleniem, głuchy trzask rąbanej kłody, zmieszany z mimowolnem stęknięciem drwala.

Raz, pamiętam, zaległa rzekę mgła tak gęsta, że na przepływających tratwach i łodziach bito w blachy żelazne, aby hałasem dać znać o sobie parostatkom. Tratwa jakaś otarła się o nas; słyszeliśmy rozmowy na niej i śmiechy, aleśmy nikogo zgoła nie widzieli, jak gdyby duchy jakieś niosły się powietrzem i ztamtąd ludziom urągały. Jim utrzymywał nawet, że to duchy, ja jednak zaprzeczyłem temu, pewien, że duchy nie mówią. Bodaj to lichy wzięło tę mgłę przekłętą!

O zmierzchu, puszczając się w drogę, pozwalaliśmy tratwie płynąć, gdzie zechce, a raczej, gdzie ją prąd poniesie. Zapaliwszy fajki, spuszczaaliśmy nogi do wody, rozmawiając o różnych rzeczach. O ile na to komary pozwalały, byliśmy zupełnie nadzy, dniem i nocą; nowe ubranie, które mi sprawiono w rodzinie Buck'a, zanadto było porządne, żeby mnie nie krępowało, a przytem nigdy nie lubilem elegancyi.

Zdarzało się, że przez całą noc nie spotkaliśmy żywej duszy. Gdzieś, daleko, na jednym lub na drugim brzegu błysnął ogień w jakimś domku nadbrzeżnym, nad głowami świeciły nam gwiazdy i dobrze było, ach! jak dobrze, leżąc na wznak, spierać się o to, czy gwiazdy są czyjś dziełem, czy też poprostu same z siebie powstały. Jim utrzymywał, że ktoś je musiał zrobić, ja zaś przeciwnie twierdziłem, bo komuby się tam chciało taką mnogość

gwiazd fabrykować. Jim przypuszczał, że zostały może zniesione przez księżyc. To mi się wydawało na tyle prawdopodobne, że nie przeczyłem, wiedząc, jakie mnóstwo jaj znosi żaba. Gdyśmy zaś spostrzegli gwiazdę, która spadając, szlak za sobą po niebie znaczyła, Jim przypuszczał, że jako zepsuta, z gniazda wyrzucono.

Parę razy w ciągu nocy widywaliśmy przesu-
wający się wśród ciemności parowiec, który od czasu do czasu wyrzucał z kominów całe snopy iskier czerwonych, spadających w rzekę deszczem ognistym. Po chwili parowiec zniknął i znów pusto było na rzece, tylko fale, przez parowiec wzruszone, rozbiły się teraz o tratwę i kołysały nią zlekka.

Po północy mieszkańcy nadbrzeżnych domów spać się zapewne kładli, bo wszystkie światelka gasły i na kilka godzin stawało się zupełnie ciemno. Gdy zaś błysnęło pierwsze światelko, przeczuwaliśmy, że ktoś do pracy już śpieszy, że ranek nadchodzi i szukaliśmy miejsca, żeby w niem spokojnie dzień przepędzić, zdaleka od ludzkich oczu.

Pewnego dnia, przed świtem, pojąłem czółno bez wiosłarza i wsiadłszy w nie, zmierzałem w stronę brzegu, w nadziei, że w iglastym lesie znajdę jagody. Mijałem właśnie miejsce, gdzie wychodziła do rzeki wydeptana przez bydło ścieżyna, gdy widzę, że krętą i nierówną ścieżką pędzi galopem dwóch ludzi. Złakłem się jakoś w pierwszej chwili, bo ile razy kto kogo ścigał, zawsze myślałem, że mnie lub Jima. Już więc podniosłem wiosło, aby się odbić od brzegu, gdy nieznajomi, o kilkanaście zaledwie kroków odemnie oddaleni, krzycząc rozpacznie, błagają o oca-

lenie im życia. „Nicśmy złego nie uczynili, a ścigają nas...”

To mówiąc, chcieli skoczyć do łodzi.

— Nie czyńcie tego — zawołałem — nie słysząc pogoni; macie czas wszyć się pomiędzy krzaki i dobieść do strumyka, który tu niedaleko wpada do rzeki. Wejdźcie w wodę i idźcie łożyskiem strumyka... ja was tam wezmę do łodzi. W przeciwnym razie, psy was zwęszą.

Jakoż tak uczynili. Gdy już z nimi był niedaleko od tratwy, usłyszeliśmy krzyki i szczekanie psów. Odgadłem, że jada brzegiem strumyka, bo z ukrycia naszego nie mogłem ich widzieć. Słysząc też było, że się zatrzymali nad strumieniem; widocznie ślad straciwszy, nie wiedzieli już, co dalej czynić. Po jakimś czasie wszystko ucichło — pogoń ustała.

Jeden ze zbiegów był-to siedmdziesięcioletni już z górą człowiek, z łysą głową i bielutkiemi bokobrodami. Ubrany był w zniszczony kapelusz filcowy, o kresach wielkich, w niebieską koszulę wełnianą, mocno zatłuszczoną, spodnie miał granatowe, podarte, włożone w buty, z kamaszami na drutach robionemi — a raczej z jednym tylko, bo drugi gdzieś zniknął. Frak ciemno-granatowy, z błyszczącemi guzikami metalowemi, niósł przerzucony przez ramię tak, że długie jego poły o mało ziemi nie dotykały.

Obaj mieli z sobą duże torby dywanowe, porządnie już wytarte i nie wiadomo czem wypchane. Ten drugi znacznie był młodszy, mógł mieć najwyżej lat trzydzieści i również elegancko ubrany, a na-

wet wytworniej może, bo mniej poplamioną miał odzież.

Po śniadaniu, gdy leżąc na pomoście rozpoczęliśmy pogawędkę, okazało się, że nasi goście nie spodziewani wcale się nieznają.

— Co ci się przytrafiło? — pyta ten łysy młodszego.

— Ano, sprzedawałem środek niezawodny przeciwko tworzącemu się na zębach osadowi. Środek bardzo skuteczny: nietylko osad schodził, ale prawie zawsze i emalia z nim razem. Ale cóż! zasiedziałem się na miejscu dłużej, niż było potrzeba, a kiedy cichaczem wymykał się z miasta, spotkałem waść. Waść mi powiedział, że jesteś ścigany i prosiłeś, żeby ci dopomógł w ucieczce. Wtedy i ja ci wyznałem, że mnie także mają na oku i przystałem na wspólną podróż. Taka jest moja historia — a waść co mi powiesz?

— Ze mną inaczej było. Urządziłem „revival ¹⁾“ wstrzemięźliwości, który ciągnął się przez tydzień prawie. Kobiety przepadały za mną starsze i młodsze, bom wymyślał na trunki i na pijaków, ile się tylko zmieściło. Dochodzik przynosiło to niezły: pięć do sześciu dolarów co wieczór, licząc po dziesięć centów od osoby — dzieci i murzyni bezpłatnie. Nagle nie wiem już z kąd i jakim sposobem rozeszła się wczoraj wieczorem plotka, najniegodziwsza z plotek, że lubię sobie cichaczem pociągać z butelki. Dziś przededniem zbudził mnie zniecka murzyn, ostrzegając, że ściągają się przeciwko mnie mężczyźni, konno

¹⁾ Rodzaj zebrania pod gołem niebem.

i z psami, że niebawem nadjadą i każą mi uciekać natychmiast, dając do ucieczki pół godziny czasu, a po jej upływie, będą mnie gonić. Jeżeli dopędzą, zemszczą się na mnie tutejszym obyczajem, t. j. unurzają w smołę i w pierzu. Ładna rzecz mieć do czynienia z takimi barbarzyńcami. Nie czekałem już nawet na śniadanie... straciłem apetyt.

— Słuchaj — odrzekł ten drugi — ja myślę, że z nas dwóch może być para. A tobie jak się zdaje?

— Nie mam nic przeciwko temu. Czem się zajmujesz?

— Z zawodu jestem drukarzem; zajmuję się przytem sprzedażą nowo-wynalezionych środków leczniczych; aktorem jestem — tragikiem; — gdy się zdarzy sposobność uprawiam mesmeryzm i frenologię, czasem dla odmiany nauczam w szkołach geografii i śpiewu, miewam też odczyty publiczne. Wszystkiego podjąć się mogę, byle tylko nie roboty ciężkiej, a sumiennie mogę powiedzieć, że nic mi nie jest obce. A pańska specyalność, staruszk?

— O! ja swego czasu niemało pracowałem w medycynie. Leczyć umiem przez nakładanie rąk — lecę raka, paraliż i tym podobne choroby; umiem też przepowiadać i zawsze trafnie przepowiem, jeżeli tylko znajdę kogoś, co mi podszepta jakiś fakcik. Kaznodziejstwem także się trudnię i urządzam pobożne zgromadzenia, pełniąc pracę misyonarską.

Przez jakiś czas milczeliśmy wszyscy, wreszcie młody wzdycha ciężko i powiada:

— Niestety!

— Czegóż tak biadasz? — pyta łysy.

— Bo mi się serce kraje na myśl, żeś dożył

tego, co znosić muszę, wpadając w tak niestosowne dla mnie towarzystwo — i lachmankiem jakimś oczy ocierać zaczął.

— A cóż ty sobie myślisz? Dlaczegoż towarzystwo nasze jest dla ciebie niestosowne? — szorstko i pogardliwie pyta łysy.

— I owszem... stosowne... Ja nie zasługuję na lepsze. Któż bowiem pchnął mnie tak nisko? Sam siebie z wyżyn strąciłem, sam! Nie przymawiam panom, broń Boże, żadnego do was nie mam żalu... do nikogo. Zasłużone wszystko, co mnie spotyka... Niech świat zimny i obojętny znęca się, jak chce nademną... jednej rzeczy jestem pewien: znajdzie się w nim miejsce na grób dla mnie. Świat może sobie kroczyć dalej zwykłą koleją, wszystko odebrać mi może: majątek, serca najbliższych, wszystko... To jedno mojem zostanie. Przyjdzie chwila, gdy w grób się położę, o wszystkim zapomnę, biedne moje serce znękanе zażyje wreszcie spokoju...

Mówiąc to, ciągle ocierał oczy.

— Niech czarci porwą twoje biedne serce znękanе! — opryskliwie odpowiada łysy — cóż nam wykalasz oczy swoim sercem? Niema tu przecie naszej winy.

— Wiem, że nie wasza to wina. Nie mam też do was pretensyi, panowie. Sam swój upadek zgotowałem. Tak, sobie go tylko zawdzięczam. Słuszne jest, abym dziś karę ponosił.. zupełnie słuszne.

— Gdzieżeś to pan stał przed upadkiem? Rad bym wiedzieć, z kąd spadłeś.

— O! nie dacie mi wiary... Świat nigdy wia-

ry nie daje... ale mniejsza o to, mniejsza... Tajemnica mego urodzenia...

— Tajemnica pańskiego urodzenia? Czy chcesz pan powiedzieć...

— Panowie—uroczyście przemawia młody człowiek — tajemnicę tę odkryję przed wami, czując, że zaufać wam można. Z prawa należy mi się tytuł... księcia!

Jimowi aż oczy na wierzch wyszły, gdy to pomyślał, a zdaje mu się, że i moje uczyniły to samo. A łysy na to:

— Jakto? Prawdę mówisz?

— Tak. Mój pradziad, starszy syn księcia na Bridgewater, w ostatnich latach zeszłego stulecia przybył do tej części świata, gnany potrzebą wolności. Tu się ożenił, tu umarł, w tym samym czasie, co i jego ojciec. Po ojcu jemu należał się tytuł i majątek, a po nim synowi, którego po sobie zostawiał, lecz młodszy brat jego wszystko zagarnął, a malutki dziedzic z praw swoich został wyzuty. Jam w prostej linii potomek dziedzica osieroconego, jam prawy książę na Bridgewater i oto staję tu przed wami, opuszczony, stracony ze stanowiska wysokiego, ścigany przez ludzi, przez obojętny świat nieuznany, odarty, zgnębiony, z sercem rozdartem, upadły tak nisko, że w towarzystwie nędzarzów na tratwie przebywać muszę!

Jim litował się nad nim z całego serca, a i ja także. Staraliśmy się pocieszać go, ale nam odpowiadał, że to wszystko napróżno, że pocieszonym być nie może, że jedno chyba tylko zdoła mu przynieść choć odrobinę pociechy, a mianowicie, jeżeli

wysokie jego stanowisko uznane przez nas zostanie. Przyrzekliśmy je uznać, nie wiedząc, jak to uczynić. Nauczył nas tedy, że nie powinniśmy przystępować do niego inaczej, jak z ukłonem, a mówiąc z nim, dodawać zawsze: „Wasza Miłość,“ albo „Mości książę,“ albo „Jaśnie oświecony.“ Przyrzekł jednak, że nie weźmie nam za złe, jeżeli go nazywać będziemy prosto „Bridgewater,“ które to miano, podług niego, tytułem było, nie nazwiskiem. Żądał także, ażeby jeden z nas usługiwał mu do obiadu i wogóle oddawał mu różne drobne usługi.

Łatwo było zadość uczynić tym wymaganiom, przystaliśmy więc na nie z ochotą. Przez cały czas obiadu Jim stał za nim i usługiwał mu, przemawiając w taki naprzykład sposób: „Co wasza miłość każe sobie podać? Mości książę! spróbujesz może tej potrawy?“ a widać było, że obydwom sprawia to przyjemność niezmierną

Tymczasem stary milczał: czy to, że nie miał nic do powiedzenia, czy też nie w smak mu szło to całe nadskakiwanie księciu. Zdawało się, że coś waży w myśli. Nareszcie w parę godzin po obiedzie tak mówi:

— Powiem ci coś, Bridgewater. Współczuję twojej niedoli, lecz nie ty jeden znosisz podobne utrapienia.

— Nie ja jeden?

— Nie ty jeden, powiedziałem i powtarzam. Nie ciebie jednego pokrzywdzono, wyzuwając ze wszystkich zaszczytów, należnych twemu stanowisku wysokiemu.

— Niestety!

— I nie ty jeden kryjesz w tajemnicy wysokie swoje urodzenie!

I w najlepsze płakać zaczyna.

— Co? Co to ma znaczyć?

— Bridgewater! czy mogę ci zaufać? — mówi stary, ciągle szlochając.

— Aż do chwili, w której zimnym stanę się trupem! — a wzięwszy dłoń starego, ściska ją silnie i powtarza: — Wyjaw mi tajemnicę swego istnienia! Odkryj ją! Mów!

— Bridgewater! Widzisz we mnie nieboszczyka Delfina!

Wyobraźcie sobie, jakieśmy oczy wytrzeszczyli, Jim i ja! A książę tylko:

— Kogo? Kogo widzę?

— Tak, przyjacielu mój, Delfina! Przed oczyma twemi stoi w tej chwili nieszczęsny, bez wieści zaginiony następca tronu francuskiego, małoletni Delfin, Ludwik siedemnasty, syn Ludwika szesnastego i Maryi Antoniny.

— Ty? Ty masz być Delfinem? W twoich latach? Nie! to niepodobna! Chcesz chyba powiedzieć, że jesteś nieboszczykiem Karolem Wielkim, bo musisz mieć niezawodnie lat jakie siedemset lub sześćset?

— Cierpienia temu winny, Bridgewater! W łzach tak postarzałem i w cierpieniu, łzy i cierpienia są przyczyną mojej siwizny i przedwczesnej utraty bujnych niegdyś kędziorów. Tak, panowie, widzicie przed sobą w nędzy i w spodniach granatowych tułacza, wygnańca, ściganego przez ludzi, przez los prześladowanego, a prawowitego króla Francji.

Tu, ciągle płacząc, tak się własnym płaczem rozrzewnił, że i ja i Jim nie wiedzieliśmy, co czynić; żal nam go było, czuliśmy się jednak szczęśliwi i dumni, że go mamy pomiędzy sobą. Na słowa pociechy odpowiedział, że wszystko na nic, że najgorętszem jego pragnieniem jest umrzeć. Dodał jednak, że nieraz przynosiło mu to ulgę chwilową, gdy widział, że ludzie traktują go tak, jak mu się to słusznie należy, t. j. zbliżają się do niego z przykłonieniem, mówiąc doń „Najjaśniejszy Panie!“ jemu pierwszemu podają potrawy i nie siadają w jego obecności, dopóki on nie pozwoli.

Jim więc i ja zaczęliśmy tytułować go „najjaśniejszym,“ nadskakiwać mu, usługiwać i stać, dopóki nam nie powiedział, że usiąść pozwala. Ogromną mu to pociechę przynosiło i zaraz też znacznie poweselał. Ale za to książę kwasić się zaczął i minę miał mocno niezadowoloną, chociaż król traktował go po przyjacielsku, bo jego ojciec w wielkim miał poważaniu pradziada księcia i całą rodzinę książąt na Bridgewater. Książę pomimo to wciąż siedział posępny, aż wreszcie powiada król:

— Ze wszystkiego widzę, Bridgewater, że nam tu przyjdzie długo posiedzieć na tej tratwie. Pocóż więc kwasy? czy nie lepiej żyć w zgodzie? Tak jak nie moją jest winą, żem się urodził królem, tak nie twoją, żeś się nim nie urodził. Wszak to jasne. Nie martw się więc i idź za moim przykładem: korzystaj z tego, co los nadarzył. Tej zasady zawsze się trzymałem w postępowaniu. Nieźleśmy tu trafili: jest co jeść i wygoda wszelka. Rozchmurz więc czoło, książę, podaj mi rękę i bądźmy odtąd przyjaciółmi.

Uczył tak księżę, a my z Jim'em, patrząc na ich pojednanie, czuliśmy się bardzo szczęśliwi. Zraz więc było weselej i swobodniej i nas też radość opanowała, bo jak tu na tratwie żyć razem bez zgody i przyjaźni?

Nie wiele potrzebowałem czasu, aby się domyśleć, że żaden z tych dwóch ludzi nie był księciem, ani królem, lecz obaj byli kłamcami i oszustami, którzy piaskiem oczy zasypują. Nigdy się jednak z tem nie zdradziłem, zachowując tę wiadomość dla siebie tylko. Jedyny to i najlepszy sposób uniknięcia wszelkich nieprzyjemności. Oni sobie tego życzyli, aby jednego nazywać księciem, drugiego królem, ja zaś nic przeciwko temu nie miałem, pragnąc tylko, żeby spokój był w domu. Jimowi niepotrzebną była ta wiadomość, nie mu też nie powiedziałem. Niewiele się, co prawda, nauczyłem od swego tatki, ale przynajmniej wpoił to we mnie, że chcąc żyć dobrze z takimi, jak on, ludźmi, nie należy im się w niczem sprzeciwiać.

ROZDZIAŁ XX.

Huck opowiada o sobie. — „Trzeba się wziąć do pracy.“ — Pobożne zebranie. — Rozbójnik morski. — Księżę drukarzem.

Goście nasi zadawali nam mnóstwo pytań. Koniecznie chcieli wiedzieć, dlaczego przykrywamy po-

most tratwy liściami i gałęziami, dlaczego zamiast płynąć we dnie, stoimy w zatoce dzień cały.

— Jim musi być zbiegłym murzynem?—pytają.

— Na miłość Boską — powiadam — czyżby zbiegły murzyn uciekał na południe?

Trafiło im to do przekonania. Zmuszony jednak do wyjaśnień, opowiedziałem im taką historję:

— Rodzina moja pochodzi z Pike-County, w stanie Missouri, gdzie ja się urodziłem i gdzieśmy wszyscy mieszkali, dopóki wszyscy nie poumierali. Zostaliśmy we troje tylko: ojciec, ja i mój braciszek. Ojciec postanowił wynieść się z tamtych stron i zamieszkać razem ze stryjem Benjaminem, który posiada niewielki folwarczek nad rzeką o czterdzieści cztery mile poniżej Orleanu. Ojciec ubogi był, a miał przytem i trochę długów, więc kiedy się wyprzedził, zostało mu tylko szesnaście dolarów i nasz murzyn, Jim. Nie starczyłoby tego na podróż tak odległą; nawet na pokładzie okrętowym przejazd drożej kosztuje. Lecz gdy pewnego dnia, podczas wiosennej powodzi, poszczęściło się ojcu niespodzianie schwytać tę oto tratwę, postanowiliśmy odbyć na niej drogę do Orleanu. Ale szczęście na krótko uśmiechnęło się ojcu: pewnej nocy uderzył w nas parostatek, oderwał przednią część pomostu i wszyscy wpadliśmy w wodę, pod same koła. Jim i ja wypłynęliśmy na wierzch, ale ojciec pijany i braciszek zaledwie czteroletni poszli na dno i nie widziałem ich więcej. Przez kilka dni miałem kłopot, bo różni ludzie chcieli zabrać Jim'a, biorąc go za zbiega. Dlatego też płyniemy teraz nocą, żeby mieć spokój.

— Daj mi nieco czasu — rzekł na to książkę —

a wymyślę coś takiego, co nam pozwoli płynąć i w dzień bezpiecznie. Obmyślę ja to, plan ułożę i ręczę, że będzie niezawodny. Dziś uczynić tego nie można; widać ztąd wprawdzie jakieś miasto, ale w dzień biały pokazać się tam niepodobna.

Przed wieczorem zaczęło się raptownie ściemniać, niebo ginęło w chmurach, przelatowały po niem błyskawice, nie te, nisko pokazujące się na widnokręgu, które są zapowiedzią upału, ale prawdziwe, wysoko ponad głowami migające. Liście trząść się zaczęły i szumieć i ze wszystkiego widać było, że się zanosi na niepogodę. Widząc to, król i książę udali się do naszej budki, żeby zobaczyć, czy wygodne są łózka. Moje posłanie stanowił wór wypchany słomą; Jim zaś spał na plewach, w których zawsze coś kole i drapie, gdy zaś chcesz się przewrócić na drugi bok, to plewy czynią tyle szumu i chrzęstu, że choćbyś spał nie wiem jak twardo, obudzić się musisz. Książę raczył oznajmić, że spać będzie na mojem posłaniu, ale król nie zgodził się na to:

— Sądziłem, iż poczucie różnicy naszego stanowiska pozwoli panu zrozumieć, że posłanie z plew nie jest dla mojej godności odpowiednie. Zechcesz, książę, sam spać na plewach.

Na Jima i na mnie aż poty biły, gdyż baliśmy się, żeby nie przyszło do sporu, lecz w nas otucha wstąpiła, gdy książę odparł:

— Zdawna mi jest sądzono, że stopą ucisku zdeptany, w błocie pogrążyć się muszę. Niedola ugięła hardy niegdyś mój umysł, ucząc mnie uległości i pokory... Ustępuję, taki los mój! Samotny jestem na świecie, więc wszystkie cierpienia znieść umiem.

Ruszyliśmy z miejsca, gdy zupełnie już było ciemno, a król przykazał nam trzymać się środka rzeki i nie zapalać światła, dopóki nie upłyniemy choć parę mil po za miasto. Płyniemy więc w zupełnej ciemności, mijamy garstkę rozrzuconych nad brzegiem świateł i dopiero, gdy miasto o milę za nami zostało, wywiesiliśmy latarnię sygnałową. Około dziesiątej puścił się deszcz, zaczęło grzmieć i błyskać, więc król kazał nam pilne dawać baczenie na tratwę i nie schodzić z pomostu, dopóki nie uspokoi się burza. Obaj zaś z księciem weszli do naszej budki i wygodnie się na noc ułożyli. Na mnie przyszła kolej stróżowania na pomoście do północy, ale pomimo to byłbym wlaź pod dach, gdybym miał łóżko, bo nie codzień i nie co miesiąc nawet trafia się człowiekowi widzieć tak straszną burzę. Wiatr gwizdał i huczał, a co parę sekund, traf! błyskawica, światłem białym, oślepiającym, tak wszystko zaleje, że na pół mili dookoła widzisz bielejące pianą fale i wyspy, jakby pyłem wodnym owiane, i drzewa nadbrzeżne, gnące się pod wiatrem na wszystkie strony. A potem nagle: bum!-bum! i piorun potoczy się z grzmotem. Taka szła fala, że mnie o mało nie zniosła z pomostu, lecz przy nagości zupełnej, nie żałowałem swej skóry. Tak było jasno od błyskawic, że nie potrzebowaliśmy wystrzegać się raf i skał z wody sterczących, widząc je wszystkie jak na dłoni.

Mówiłem już, że do północy ja czuwać miałem, że jednak sen mi dokuczał, Jim poczciwy obiecał zastąpić mnie przez pierwsze parę godzin. Wsunąłem się do naszej budki, ale księżę i król tak powyciągali swoje nogi i ręce, że dla mnie nie było miejsca.

Położyłem się tedy na pomoście, nie wiele sobie robiąc z deszczu. Ciepły był, więc zaszkodzić mi nie mógł, a i fala zlagodniała trochę. Lecz gdy zasnąłem jak najsmaczniej, fala znów się podniosła i ogromnemi górami szła na pomost. Jim miał z początku zamiar obudzić mnie, ale się potem rozmyślił, nie przypuszczając, żeby bałwany mogły przesadzić tratwę. A tu właśnie tak było: podniósł się wał olbrzymi i cała masa wody, buchnąwszy na pomost, zmiotła mnie śpiącego, jak żdźbło słomy. Jim trząśił się od śmiechu, bo zawsze był wesół, ale skoczył po mnie do wody. Niepotrzebnie zresztą, bom dał nurka raz, drugi, otrząśłem się i jużem był znów na tratwie.

Wytrzeźwiony kąpielą, objąłem wartę, a Jim w parę minut potem chrapał, jak się należy. Minęło tak parę godzin, z niemi razem przeszła i burza, a gdy pierwsze światelko zajaśniało w jakimś domu nadbrzeżnym, zbudziłem Jima i posunęliśmy się ku brzegowi, aby w miejscu zacienionem ukryć tratwę.

Po śniadaniu król wydosłał paczkę kart zatłuszczonych i przez czas jakiś grali obaj z księciem, stawiając po pięć centów odrazu. Gdy zaś gra ich znudziła, oznajmili, że trzeba wziąć się do pracy. Jakoż książę, zanurzywszy ramię w podróżną torbę dywanową, wy dobył z niej pakiet drukowanych świstków, które głośno zaczął odczytywać. Jeden z nich oznajmiał, jako „Doktor Armand de Montalban, z Paryża będzie miał odczyt o nauce frenologii w tem a w tem miejscu, tego a tego dnia, po dziesięć centów za wejście, przyczem każdy ze słuchaczów otrzyma kartkę z określeniem swego charakteru za doda-

niem dwudziestu pięciu centów za sztukę.“ Tym doktorem Armandem był sam książę.

Na drugim znów ogłoszeniu mienił się być „głośnym na cały świat aktorem, specyaliistą od ról szekspirowskich, *Garrick’iem Młodszym*, z teatru Drury Lane w Londynie.“ Na innych ogłoszeniach pod innemi znów występował nazwiskami, a zawsze dokonywał rzeczy cudownych i nadzwyczajnych, „różdżką magiczną“ wskazywać umiał miejsce, gdzie pod ziemią znajduje się woda lub złoto, „odczyńiał uroki, rzucone przez czarownicę“ i t. p. Chociaż niepomniernie się chelpił tak znaczną ilością talentów, pierwszeństwo dawał jednak „muzie scenicznej,“ „kochanką“ ją swoją nazywając.

— Czy występowałeś kiedy na deski teatralne, monarcho? — pyta książę.

— Nigdy — odrzeczce król z godnością.

— A zatem uczynisz to, zanim będziesz, upadła wielkości, o trzy dni starszy — mówi książę — W pierwszym podrzędnem miasteczku, które spotkamy, najmiemy salę i odegramy pojedynek na miecze z „Ryszarda III-go,“ oraz scenę balkonową z „Romea i Julii.“ Jak uważasz?

— Uważam, że wspaniałe jest wszystko, co tylko dochód przynieść może. Ale wiesz, co ci powiem, Bridgewater; ja się zupełnie nie znam na aktorstwie, a nawet i nie wiele bywałem w teatrze. Za mały byłem, gdy król-papa urządzał przedstawienia w swoim pałacu. Czy mnie zdołasz nauczyć.

— Z największą łatwością.

— Wybornie. Usycham z tęsknoty za czemś nowem. Zaczynajmy więc, nie tracąc czasu.

Rozpowiedział mu książę, kto był Romeo, a kto Julia, dodając, że gdy on sam przywykł grać rolę Romea, król zatem przedstawi Julię.

— Ależ książę, jeżeli Julia jest taką młodą, to z moją łysiną i białemi faworytami może jej nie być do twarzy?

— Nie bój się, królu, niczego; tutejszym wieśniakom do głowy to nawet nie przyjdzie. A zresztą, będziesz przecie odpowiednio ukostyumowany, co dużo znaczy; Julia na balkonie, rozkoszująca się światłem księżyca przed pójściem na spoczynek, będzie miała na sobie długą koszulę nocną i nocny czepiek ze szlarkami. Tu oto są odpowiednie kostyумы.

Jakoż pokazał nam kilka ubrań z perkalu meblowego w ogromne kraty, a powiedziawszy, że to jest zbroja średniowieczna dla Ryszarda III i dla tamtego drugiego, wy dobył także długą, z białego perkalu koszulę nocną, oraz ogromny czepiec z szerokimi szlarkami. Podobało się to królowi, a książę, wy dobywszy swą książkę, rozpoczął deklamować rolę. Jak on to czytał! jak czytał! Ani chwili nie stał spokojnie, jeno jak paw' chodził w około, głowę podnosił, w tył się cały podając, nogi z wysoka stawiał, jednym słowem, grał (jak sam mówił) swoją rolę, aby pokazać jak właśnie ma być przedstawiona, poczem oddał książkę królowi, mówiąc mu, aby się uczył roli swojej na pamięć.

O mil parę od miejsca, gdzieśmy się wówczas znajdowali, widać było leżące na wybrzeżu małe miasteczko. Wymyśliwszy sposób wejścia do niego w dzień biały bez krzywdy dla Jim'a, książę oświad-

czył, że uda się tam i poczyni pewne przygotowania. Król, słysząc to, okazał również gotowość pójścia do miasta, żeby zobaczyć, czy tam nie znajdzie czegoś dla siebie. Ponieważ zabrakło nam kawy, ułożyliśmy z Jim'em, że wraz z nimi i ja popłynę, by kawy kupić... no i łódki także przypilnować, aby jej ich monarsze moście nie zaprzepaściły!

Przybywszy do miasta, zastaliśmy ulice zupełnie puste i cisza wszędzie była taka, jakby wszyscy wymarli, albo jak gdyby to była niedziela. Spotkaliśmy tylko chorego murzyna, który się wygrzewał na słońcu i oświadczył nam, że całe miasto wyruszyło na pobożne zebranie, pośród lasu, o dwie mile ztamtąd odległego, w domu zaś zostały tylko dzieci, chorzy i starcy. Król spytał o drogę i zaraz postanowił pójść na to zebranie, na którym spodziewał się znaleźć zajęcie; mnie także pozwolił iść z sobą.

Ksiązę zaś zaczął szukać po całym miasteczku drukarni. Znaleźliśmy ją wreszcie, bardzo skromną, nad warsztatem cieśli. I cieśle i drukarze, wszyscy poszli na owo zebranie, drzwi pozostawiwszy otwarte. Drukareńka ciasna była i brudna, pełna papierów niepotrzebnych, ze stołami poplamionemi atramentem, a na ścianach moc ogłoszeń, wśród których rzucał się w oczy wielki koń czarny z murzynem uciekającym. Ksiązę zrzucił surdut, mówiąc, że ma już wszystko, czego mu trzeba, a zatem król i ja ruszyliśmy na owo zebranie.

Droga zabrała nam nie więcej, jak pół godziny, ale skropiliśmy ją potem, bo okropnie było gorąco. Wśród lasu, na obszernej polance, zastaliśmy ogromne zgromadzenie, może z tysiąc osób, które tu

ściągnęły z całej okolicy, w promieniu co najmniej mil dwudziestu. Las pełen był różnych wozów, wózków, bryczek, rozlegało się po nim rzenie koni powyprzęganych, opędzających się muchom i smacznie zajadających siano, którem wysłane były wozy i bryczki. Tu i owdzie widać było szałas naprędce sklecone z żerdzi i dachem z gałęzi pokryte, sprzedawano w nich lemoniadę, pierniki, melony i tym podobne przysmaki.

Kazania odbywały się w podobnych szałasach, tylko znacznie większych, tak, aby mogły pomieścić jak największą liczbę osób. Zamiast ławek służyły bale lub kilka tarcic położonych jedna na drugiej, poręczy zaś nie było wcale.

W jednym końcu szałasu znajdowała się wysoka platforma, z której przemawiał kaznodzieja. Kobiety były wszystkie w wielkich kapeluszach od słońca, w prostych sukniach codziennych, kilkanaście tylko młodszych ubrało się nieco odświeżniej w jasne, świeżo wyprane perkaliki. Pomiedzy mężczyznami wielu było zupełnie boso, a niektóre dzieci nie miały na sobie nic, prócz koszu'i z grubego płótna. Starsze kobiety robiły pończochę, ale młodsze strzelały okiem w stronę chłopców, posyłając im ukradkiem słodkie uśmiechy,

W pierwszym szałasie, do któregośmy weszli, kaznodzieja hymn właśnie zaintonował. Prześpiewał pierwsze dwa wiersze, wszyscy powtórzyli je chórem, potem znów prześpiewał dwa, chór za nim i tak dalej i dalej aż do skutku. Uczestników coraz większe otaczało wzruszenie, coraz więc silniej śpiewali, aż

nakoniec niektórzy zaczęli jęczeć, a inni krzyczeć na całe gardło.

Potem rozpoczął kaznodzieja naukę z wielkiem przejęciem i powagą: to przechodził z jednego końca platformy na drugi, to przechylał korpus ku przodowi, kolysząc się całym ciałem i nieustannie poruszając rękami, to znów z całej siły wykrzykując słowa pojedyncze. Od czasu do czasu podnosił w górę Biblię, którą trzymał w rękę, i potrząsał nią, albo rozwierał i rozwartą przesunął przed oczyma publiki, wołając: „Oto jest wąż miedziany na pustyni! Kto nań spojrzy, żyw będzie!“ A tłum głośnie krzykiem chóralnie odpowiadał: „Chwała niech będzie Panu! A-a-a-men!“ I dalej mówca prawił rzecz swoją, a tłum krzyczał, jęczał i odpowiadał A-a-men! A a men!

— O! przyjdźcie, pokutę czynić! przyjdźcie, którzyście grzechem zmazani (*amen!*), przyjdźcie, którzyście chorzy i osłabieni (*amen!*), przyjdźcie chromi, głusi i ślepi (*amen!*), przyjdźcie ubodzy i potrzebujący i wstydem okryci (*amen!*), przyjdźcie wszyscy, którzyście znużeni, znękani i cierpiący! przyjdźcie z ukorzoną pychą! przyjdźcie ze skruszonym sercem! przyjdźcie, wy, którzyście w łachmanach i w brudzie grzechu, źródło oczyszczenia wszem dostępny, drzwi niebios wszystkim stoją otworem... Wejdźcie, o! wejdźcie, przybywajcie i spoczywajcie!“ (*amen! a-a-men! chwała niech będzie Panu! Allelu-ja!*)

I tak dalej, ciągle to samo. W końcu nie można już było rozróżnić, co mówi kaznodzieja, tak ludzie krzyczeli i płakali.

Podnosząc się z ławek, z trudem przechodzili w tłoku, żeby się tylko dostać do „ławki pokutników“ i zasiąść na niej, z twarzą zalaną łzami. Gdy zaś tym sposobem pierwsze rzędy ławek zajęte zostały przez czyniących pokutę, wtedy wzmógł się jeszcze hałas, bo pokutnicy coraz głośniej jęczeć zaczęli, a potem, rzucając się na słomę leżącą na ziemi, tarzali się po niej jak obłąkani.

Najgłośniej pomiędzy pokutnikami krzyczał król, który natychmiast prawie po wejściu zaczął się przeciskać do *ławki pokutników*. Gdy podszedł ku platformie, szepnął słów parę kaznodziei, ten poprosił go, żeby miejsce jego zająwszy, przemówił do ludu. Uczynił to król. Wszedłszy na platformę, publicznie wyznał, że był rozbójnikiem morskim przez lat trzydzieści, że rozbijał na oceanie Indyjskim, że straciwszy podczas bitwy, na wiosnę, znaczną część załogi, powrócić musiał do kraju, aby sobie zwerbować ludzi. Dzięki Opatrzności Boskiej okradziony zeszłej nocy i z parostatku wysadzony na ląd bez centa, co go niezmiernie raduje i co uważa za największe dobro, jakie go w życiu spotkało, stał się oto zupełnie innym człowiekiem i po raz pierwszy w życiu czuje się zupełnie szczęśliwy; a jakkolwiek jest nędzarzem, to przecież prosto ztąd uda się w drogę, zapracuje na powrót aż do oceanu Indyjskiego, aby resztę pozostałych dni życia obrócić na nawracanie rozbójników morskich na drogę cnoty. Potrafi zaś dokonać tego lepiej niż kto inny, zna bowiem wszystkich rozbójników na całym oceanie Indyjskim; a chociaż nie prędko się tam dostanie, nie mając wcale pieniędzy, jednakże musi celu dopiąć.

Po każdym nawróceniu rozbójnika zawsze mu powie: „Nie mnie dziękuj, nie moja to wcale zasługa, cała wdzięczność należy się tym zacnym ludziom z Pokeville, braciom i dobroczyńcom ludzkości, oraz temu kaznodziei wymownemu, przyjacielowi najlepszemu, jakiego kiedykolwiek rozbójnicy morscy posiadali!!!

I tu załzał się łzami, co też i wszyscy uczynili. Wtem zawołał ktoś w tłumie: „Składkę zrobmy na niego! Składkę!“ Z pół tuzina ludzi zerwało się z ławek z zamiarem zbierania pieniędzy wśród tłumu, ale inny jakiś głos dał się słyszeć: „Niechaj sam pójdzie między tłum z kapeluszem!“ Na co też zgodzili się wszyscy.

Zaczął więc król chodzić między ławkami z kapeluszem w rękę, ciągle oczy z łez ocierając, błogosławiąc ludzi, wychwalając ich i dziękując im za ich dobroć dla nieszczęśliwych rozbójników, tulających się gdzieś daleko na morzach. Od czasu do czasu powstawała z ławki ta lub owa, ale zawsze ładna i zawsze łzami zalana dziewczyna, i rzewnie szlochając, prosiła króla, żeby się pozwolił pocałować na pamiątkę tej chwili, której ona nigdy nie zapomni. Król zawsze na to zezwalał i sam je całował, a niektóre całował nawet po kilka razy. Jedna z nich zaprosiła go do siebie na cały tydzień, inne zapraszały go także, mówiąc, iż za zaszczyt uważałyby sobie, gdyby czas jakiś przebył pod ich dachem. Król pięknie wszystkim dziękował, odpowiadając, że na tyle wdzięczności nie zasługuje, a przytem spieszy się bardzo, bo chce prosto ztąd jechać do oceanu Indyjskiego, żeby nawracać rozbójników.

Gdyśmy powrócili na tratwę i król przeliczył swoje pieniądze, pokazało się, że zebrał osiemdziesiąt siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Prócz tego przyniósł z sobą dużą butelkę wódki, którą znalazł pod jednym z wozów. Mówił też król, że niema nic lepszego, jak opowiadać chwałę Bożą i że z przyjemnością codzienby to czynił.

Dopóki król nie powrócił, zdawało się księciu, że *jemu* wybornie poszły interesa, dlatego, że w owej drukarni odbił dla kilku *farmer'ów* ogłoszenia i wziął za to cztery dolary. Pobrał też od nich zaliczki i wydrukował przytem jeden kawałek z własnej głowy. Wierszy tych było trzy tylko strofy, ale prawdziwe wiersze, smutne i rzewne, a zaczynały się od tych słów: „Tak, szarp, o zimny świecie, szarp to pękające serce!“ Ogółem zebrał dziewięć dolarów i pół i był z zarobku swego zadowolonym.

Pokazał nam także jeszcze jedną rzecz, którą umyślnie dla nas wydrukował. Było to ogłoszenie z ryciną przedstawiającą murzyna, widocznie zbiegłego, bo niósł przewieszony na kiju węzelek; pod ryciną zaś było napisane: „200 *fst.* nagrody.“

Następowało opisanie powierzchowności zbiega i kubek w kubek Jim! Ogłoszenie jednak mówiło, iż uciekł przeszłej zimy i prawdopodobnie na północ; kończyło się zaś obietnicą, że ktokolwiek go pojmie i odeśle właścicielowi w okolice Nowego-Orleanu, ten otrzyma zwrot kosztów, oraz nagrodę.

— Teraz już — rzekł książę — płynąć sobie możemy w dzień biały, jeżeli nam się tak podoba. Gdy ujrzymy nadpływającą czy łódź, czy tratwę, możemy związać Jim'a powrozami, położyć go na

pomoście i pokazując to ogłoszenie, powiedzieć, żeśmy go ujęli, a ponieważ zbyt jesteśmy ubodzy, aby podróżować na parostatku, wzięliśmy więc tę tratwę na kredyt od znajomych i płyniemy nią po nagrodę. Żelazne kajdany lepiejby wyglądały na Jim'ie, ale nie godziłyby się z opowiadaniem o naszym wielkiem ubóstwie. Powrozy lepiej odpowiadają celowi—trzeba się starać o zachowanie jedności, jak my, aktorzy mawiamy.

Wszyscyśmy winszowali księciu pomysłu tak wybornego, bo teraz już mogliśmy bezpiecznie płynąć i we dnie. Trzeba jednak było doczekać nocy, aby nie włązić w oczy tym, od których ksiązę pobrał zaliczki na ogłoszenia, a i właścicielowi drukarni, jeżeli już powrócił z zebrania, bo moglibyśmy mieć nieprzyjemność!

Ukryci więc pod cieniem drzew przybrzeżnych aż do dziesiątej wieczorem, puściliśmy się w drogę dopiero nocą.

Gdy Jim zbudził mnie o czwartej, abym straż objął nad nad tratwą, powiada do mnie

— Huck, jak ci się zdaje? czy spotkamy gdzie jeszcze takich królów po drodze?

— Nie — powiadam — myślę, że nie.

— No, kiedy tak, to dobrze. Mniejsza tam o jednego albo dwóch królów, ale tych nam wystarczy. Już i ten jeden pijany, jak bela, a ksiązę niewiele mniej.

Pokazało się, że Jim próbował skłonić króla, aby ten powiedział co po francusku, ale król odmówił, tłumacząc się, iż zupełnie zapomniał rodzinnego

języka, tak skutkiem doznanych zmartwień, jak i długiego pobytu w naszym kraju.

Nie mógł więc Jim przekonać się, do czego podobny język francuski!

ROZDZIAŁ XXI.

Robienie bronią. — Monolog Hamleta. — W miasteczku. — Stary Boggs. — Śmierć Boggs'a.

Słońce już weszło na dobre, a my płyniemy, płyniemy, ani myśląc szukać zatoczki, w której tratwę ukryćby można. Król i ksiązę późno wstali i to dość chmurni, ale gdy raz i drugi zanurzyli się w wodzie, przybyło im rzeźwości i humoru. Po śniadaniu król usiadł na krawędzi tratwy, zdjął buty, podwinął spodnie, nogi spuścił do wody, fajkę wziął do ust i czując się dobrze usposobionym, zaczął kuć na pamięć „Romea i Julię.“ Gdy już trochę umiał, wzięli się obaj z księciem do przepowiadania roli, „do próby,“ jak to nazywał ksiązę. Król pamiętał już słowa, lecz mimo to, ksiązę ciągle go uczyć musiał jak ma mówić, jak się ruszać; kazał mu chodzić, wzdychać, rękę kłaść na sercu, aż dopiero po jakimś czasie powiedział, że teraz dobrze.

— Tylko — mówi — nie powinieneś tak ryczyć: „Romeo! !Romeo!“ Trzeba to wymawiać miękko, słodko, łagodnie... Ro-o-o-me o! tak, jak ja mówię. Julia, widzisz, jest młode dziewczę, dziecko prawie...

Grucha do kochanka, jak turkawka. Nie wypada, żeby się darła, jak osioł.“

Nazajutrz wziął do ręki długie miecze z dębowych deszczulek i zaczęli ćwiczyć się w robieniu bronią. Książę powiedział, że jest Ryszardem III-im i że bije się na miecze z rycerzem dzielnym i walecznym. Tu dopiero tak przyskakowali do siebie, tak kroczyli po całej tratwie, że o małym sobie oczu nie wypatrzył. W końcu jednak królowi powinęła się noga i wpadł do wody, a gdy znów na pomost się dostał, usiedli obaj dla wytchnienia i rozmawiać zaczęli o różnych przygodach, które im się zdarzyły podczas wędrówek dawniejszych.

Po obiedzie rzekł książę:

— Wiesz co, Kapet, skoro chcemy, żeby przedstawienie było co się zowie, to trzeba jeszcze coś dodać do niego. Powinniśmy mieć coś w zapasie, żeby odpowiedzieć na *bisowanie*.

— Cóż to za „bisowanie?“

Wytłomaczył mu to książę i dodał:

— Ja dam od siebie sztuki gimnastyczne górali szkockich, albo piosenki marynarskie przy akompaniamencie kobzy, ty zaś, monarcho, powiesz... powiesz... aha! już wiem: powiesz monolog Hamleta.

— Hamleta... co?

— Monolog Hamleta, ustęp najwspanialszy w całym Szekspirze. Ach! co to za kawał wspaniały i cudowny! Zawsze cały teatr porywa! Nie mam go w książce... bo posiadam tylko tom jeden Szekspira — ale liczę na to, że potrafię cały wyrecytować z pamięci. Pochodzę tylko trochę i pomyślę,

a pewien jestem, że z otchłani pamięci cały ów ustęp wyłowię.

Zaczął więc chodzić po tratwie tam i napowrót, myśląc i od czasu do czasu okropnie się marszcząc. Chwilami brwi do góry podnosił, to znów tarł czoło i naciskał ręką, przyczem cofał się wstecz, wydając z piersi coś w rodzaju jęku, potem znów wzdychał z głębi piersi, a raz nawet łez parę uronił. Rozkosz była prawdziwa patrzeć na niego. Tym sposobem powoli wszystko sobie przypomniał i zawołał na nas, żebyśmy pilnie uważali. Przybrawszy szlachetną postawę, jedną nogę naprzód wysunął, ręce przed siebie wyciągnął, głowę tak w tył przechylił, że prosto w niebo mógł patrzeć i dopieroż, jak nie zacznie krzyczeć, zgrzytać i od czasu do czasu wyrzucać jęki do wycia podobne, jak nie zacznie podskakiwać, zataczać się i piersi wydymać! Każde słowo wyrzucał z siebie jak z procy, a ciskał się przytem jak w gorączce. Ach! grał cudownie! Nigdy jeszcze takiej gry nie widział.

Królowi niezmiernie się po'obała ta piękna przemowa i prędko się jej wyuczył. Zdawało się, doprawdy, że już przyszedł na świat z tym talentem tak się unosił i zapalał, tak krzyczał, tak miotał słowami i tyle wykonywał ruchów. Jabym tak nie potrafił i z prawdziwym podziwem patrzyłem, że takiemu starcowi sił starczy.

Książę skorzystał z pierwszej sposobności, żeby wydrukować potrzebną ilość afiszów, w których mające nastąpić przedstawienie uznał jako cuda nigdy jeszcze nieoglądane. Przez parę dni płynęliśmy, nigdzie do brzegu nie przybijając. a przez cały ten

czas na pomoście naszej tratwy panowało niezwykle ożywienie, ciągle bowiem odbywały się próby to z dramatami, to z bronią. Pewnego dnia nareszcie, płynąc wzdłuż wybrzeży stanu Arkansas, ujrzeliśmy przed sobą małe miasteczko, zbudowane nad zatoką, głęboko w ład się wrzynającą.

O pół mili od miasta, zostawiwszy Jim'a na tratwie ukrytej wśród rozłożystych gałęzi modrzewiowych, siedliśmy we trzech do łódki i popłynęli do miasteczka, żeby zbadać, czy tam przedstawienie będzie możliwe.

Trafliliśmy bardzo szczęśliwie, bo tego samego dnia po południu odbyć się miało przedstawienie w cyrku i z całej okolicy zjeżdżali się już ludzie wózkami lub konno, jak komu wypadło.

Miało to być przedstawienie pożegnalne, bo cyrk dziś jeszcze odjeżdżał, należało więc korzystać ze zjazdu i wystąpić w całej okazałości. Zrozumiał to książę i nie tracąc czasu, najął tę samą salę, a potem rozlepiliśmy afisze po całym mieście. Nie upłynęło i paru godzin, gdy cała publiczność czytać mogła co następuje:

!!!SZEKSPIROWSKA BIESIADA!!!

Niesłychanie interesująca

JEDNO JEDYNE PRZEDSTAWIENIE.

Słynni na cały świat tragicy.

Dawid Garrick Młodszy, z teatru Drury Lane
w Londynie,

oraz Edmund Kean Starszy, z królewskich teatrów
Haymarket, Whitechapél, Piccadilly w Londynie,

tudzież wielu królewskich teatrów na stałym lądzie,
zamierzają uraczyć publiczność wspaniale pięknem
przedstawieniem **sceny na balkonie**

Z „ROMEO I JULIA“

Romeo p. Garrick

Julia p. Kean

z pomocą trupy nieporównanej!

Nowe kostiumy! Nowe dekoracje! Wszystko nowe!

Poczem nastąpi

Do głębi serca wzruszająca, krew ścinająca w żyłach,
mistrzowsko prowadzona

W A L K A N A M I E C Z E

Z „RYSZARD III“

Ryszard III p. Garrick

Richmond p. Kean

a także

na specjalne żądanie Publiczności)

Nieśmiertelny Monolog Hamleta

wypowie znakomity i słynny na cały świat Kean,
który powyższym monologiem zachwycał

przez 300 wieczorów z rzędu

wyborową publiczność wielkiej stolicy Paryża.

W ten sposób zaciekawiwszy miasteczko, puściliśmy się w wędrówkę po niem. Wszystkie prawie domy i składy towarów zbudowane były ze starych desek, wcale nawet niemalowanych i stały na palach, wysokich na trzy lub cztery stopy, tak, żeby podczas wezbrania rzeki, nie stały się pastwą powodzi. Każdy prawie dom posiadał niewielki ogródek, w którym wszakże nie hodowano nic, oprócz kilku

słoneczników i znacznej ilości różnego chwastu, rosnącego wśród kup popiołu, starego obuwia, butelek potłuczonych, galganów brudnych i pogiętych puszek blaszanych. Parkany były również ze starych desek, rozmaitej długości, poprzybijanych do słupków, z których żaden nie stał prosto, a każdy w inną chylił się stronę; furtki zaś wisiały na jednej tylko zawiasie i to skórzanej. Na niektórych parkanach widać było, że je kiedyś przed laty pomalowano białą farbą; ksiązę jednak zapewniał, że musiało to być chyba za czasów nieboszczyka Kolumba. W każdym prawie ogródku zauważyłem ryjącą świnię i kogoś, który ją wypędzał, równie usilnie, jak bezskutecznie.

Składy towarów, oraz magazyny ciągnęły się wszystkie wzdłuż jednej tylko ulicy. Drzwi każdego sklepu ocieniała płócienna markiza, wsparta na słupkach, do których przyjezdni przywiązywali swoje konie. Pod markizami stały wypróżnione paki od towarów, przeznaczone do siedzenia różnym próżniakom, którzy żując tytoń, ziewając i przeciągając się, krajali je nożykami kieszonkowymi lub wyrzynali na nich napisy. Siedziała ich tam cała kupa, każdy miał na głowie kapelusz słomiany, nie mniejszy od średniej wielkości parasola, ale mało który miał surdut lub kamizelkę. Nazywali jeden drugiego Bill, Buck, Hank, Joe, Andy, mówili przeciągle i powoli, często też używali wymyślań i przekleństw, których zasób mieli niewyczerpany. Pod każdym słupem stał sobie jeden, trzymając w kieszeniach ręce, które wyjmował tylko do podrapania się lub wydobycia szczypty tytoniu.

Na wszystkich ulicach i zaułkach pełno było

błota; właściwie nic tam nie widziałem prócz błota i to czarnego jak smoła. Wszędzie pełno było świń, nurzających się w błocie i wesoło pochrzakujących. Idziesz sobie ulicą i spotykasz zabłoconą po same uszy maciorę z całą gromadą prosiąt; chcesz ją minąć i myślisz, że ci się to uda. Nieprawda! akurat wpoprzek twojej drogi leży jak długa, oczy przymyka, uszami strzyże, pochrzakuje półgłosem, prosięta swoje karmi, niby w swym chlewie i ma minę tak zadowoloną, jakby jej kto płacił za zmuszanie ludzi do brnięcia w błoto po kolana! Ale czasami daje się słyszeć: „Na tu! na! Weź ją! Huż-ha!“ i z głośnym kwikiem ucieka maciora, bo jeden pies trzyma ją zębami za jedno ucho, drugi za drugie, a czasem i dwóch za każde. Kwik, szczekanie, hałas, a wszyscy gapię i próżniacy w śmiech, radzi, że mają zabawę. Potem znów kładą się lub siadają na pakach i ziewają, czekając na przyjemniejszą jeszcze rozrywkę: na walkę psów. Największa jednak wesołość i zachwyty największy, gdy im uda się złapać psa włóczęgę, oblać go terpentyną i zapalić, albo przywiązać mu do ogona blaszaną patelnię i patrzeć, jak biedne zwierzę, oszalone ze strachu, pędzi przed siebie na oślep.

Niektóre z domów, stojących tuż nad brzegiem, tak się pochyliły, jakby miały zamiar złożyć ukłon wodzie, albo też wpaść w nią z desperacji. W takich domach nikt już nie mieszkał, bo groziły klęska. Zdarza się czasami, że rzeka podmyje brzeg na przestrzeni dwóch lub trzech mil długości (angielskich), a prawie na pół mili szerokości; podmywa go

powoli a ciągle, aż wreszcie pewnego pięknego dnia... szast! prast! poleciało wszystko do wody.

Im bliżej było wieczora, tem więcej pojawiało się na ulicach wozów i koni, a coraz nowe przybywały. Całemi rodzinami zjeżdżali się ludzie, przywożąc z sobą ze wsi kosze zapasów, żeby je spożyć na wózkach. Napitków nie brakło też wcale, a ci i owi, trunkiem zagrzani, brali się za bary i nie na żarty szła walka. Wtem krzyknął ktoś:

— Patrzcie, jedzie stary Boggs! Objechał wszystkie szynki w okolicy i wraca! Boggs jedzie! Boggs!

Śród ludzi na pakach powstała radość, bo, jak odgadłem, przywykli drwić ze starego. Jeden z nich krzyczy:

— Ciekaw jestem, kogo też stary Boggs dziś posieka? Gdyby był posiekał tych wszystkich, którym groził w przeciągu ostatnich lat dwudziestu, to słynąłby jako zabijaka pierwszego rzędu.

A drugi mu przerywa:

— Chciałbym, żeby stary Boggs mnie zagroził, miałbym pewność, że z jego ręki nie zginę.

Wtem nadjeżdża Boggs, koń pod nim idzie dobrego klusa, a on krzycząc i wyjąc, jak czerwono-skóry, woła:

— Z drogi! Rozstąpcie się! Z drogi, mówię... Na wojnę jadę... Cena trumien w górę pójdzie, w górę!

Pijany był i chwiał się na siodle, twarz miał jak ogień czerwoną, niebardzo starą, bo też liczono mu niewiele więcej nad lat pięćdziesiąt. Zaczepiali go wszyscy, śmieli się z niego, wymyślali mu, a on

wymyślał także, wołając, że nauczyłby wszystkich rozum, gdyby miał czas. Przyjechał jedynie dla zabicia starego pułkownika Sherburn'a i za dewizę wziął sobie: „Pierwej mięso, a na wierzch to, co się łyżką jada.“

Gdy mnie spostrzegł, podjechał i woła:

— A tyś zkąd, chłopcze? Czyś gotów na śmierć?

I pojechał dalej. Zmieszałem się trochę, a ktoś z obecnych mówi:

— Nie uważaj na to, zwykle to jego gadanie. Gdy pijany, wszystkich na śmierć wyprawia, a po trzeźwemu to człowiek najlepszy w świecie.

Boggs zatrzymał konia przed największym w mieście magazynem, schylił się tak, żeby mógł głowę wsadzić pod markizę, i krzyczy na cały głos:

— Wyjdź zaraz do mnie, Sherburn! Wyjdź i spójrz w oczy człowiekowi, którego niegodnie oszukałeś. Psem jesteś podłym, psem, który nie ujdzie rąk moich!

Wymyślał tak w dalszym ciągu, wykrzykując, co tylko mu ślina na język przyniosła, a cała ulica pełna była ludzi, którzy słuchali i śmieli się. Nakoniec otworzyły się drzwi magazynu i wyrzwał mężczyzna w sile wieku, pańskiej postawy, ubrany bardzo porządnie. Na jego widok rozstąpili się wszyscy, on zaś wolnym krokiem idąc do Boggs'a, mówi mu jak najspokojniej:

— Znudziło mnie już twoje wykrzykiwanie, ale będę jeszcze cierpliwym do pierwszej. Punkt do pierwszej—słyszysz? Ani minuty dłużej! Jeżeli po pierwszej powiesz jeszcze choć jedno słowo przeciwko mnie, pamiętaj, że ci to nie ujdzie na sucho,

Zawrócił się i poszedł. Tłum przycichł, przestano śmiać się i krzyczeć. Boggs, wymyślając Sherburn'owi, pojechał dalej, lecz dojechawszy do końca ulicy, zawrócił znów konia, zatrzymał przed magazynem i nuż wymyślać jak przedtem. Zebrało się kilku ludzi koło niego i namawiają, żeby dał pokój. Ani myśli! Tłómaczą mu, że do pierwszej brakuje tylko dziesięciu minut, że powinien wracać do domu. Ani o tem chce słyseć! Krzyczy coraz głośniej, zrywa sobie kapelusz z głowy, rzuca go w błoto, tratuje końskimi kopytami i znów dalej jedzie ulicą, a wiatr mu rozwiewa siwe włosy. Idą za nim, proszą, namawiają, aby zsiadł z konia, wszystko na nie! Znów wraca, znów się zatrzymuje przed magazynem, nie przestając wymyślać Sherburn'owi. Wreszcie ktoś powiada:

— Niech kto pójdzie po jego córkę! Prędko! Jeżeli kogo usłucha, to córki.

Pobiegł więc ktoś po córkę, a ja odszedłem trochę na bok i czekam. Nie upłynęło i pięciu minut, gdy widzę, idzie Boggs w moją stronę—ale już nie na koniu; idzie pieszo, z gołą głową, zatacza się, a dwóch przyjaciół trzyma go pod ręce i uprowadza pośpiesznie. Spokojny był i wyglądał, jakby się lekkał trochę, zauważyłem nawet, że wcale nie stawiał oporu, lecz jakby właśnie przyśpieszał kroku. Wtem woła ktoś:

— Boggs!

Spojrzałem, chcąc zobaczyć, kto zawołał. Patrzę, pułkownik Sherburn. Stoi na samym środku ulicy i w prawej ręce trzyma pistolet wysoko podniesiony, ale nie mierzy do nikogo, tylko lufą do góry

go zwraca. W tej samej chwili widzę pędem biegnącą młodą dziewczynę w towarzystwie dwóch mężczyzn. Boggs obrócił się, żeby zobaczyć, kto go woła, obrócili się także i prowadzący go, ale ujrzawszy pistolet, odskoczyli obaj, a Sherburn spuszcza-
jąc powoli pistolet, bierze na cel Boggsa. Boggs, widząc to, podnosi obie ręce do góry i woła: „O Boże! Nie strzelaj! Wtem... *bum!* rozlega się strzał pierwszy... Boggs, chwieje się, przechyla w tył i rękoma bije powietrze. *Bum!* strzał drugi... i Boggs pada na wznak, jak długi, rozkrzyżowawszy ramiona... Dziewczyna z krzykiem rzuca się ku ojcu i płacząc woła: „Zabił go! zabił!“

Ludzie cisną się i popychają, zaglądając jeden drugiemu przez ramię, a ci, co stoją bliżej zabitego, odsuwają tamtych: „Cofnijcie się! cofnijcie! Nie pchajcie się! Powietrza mu trzeba!“

Pułkownik Sherburn, rzuciwszy pistolet na ziemię, wykręcił się na obcasie i poszedł do sklepu.

Gdy nieśli Boggs'a do jakiejś apteki, całe miasto tłumem biegło za nim. Idąc za innymi, docisnąłem się do samego okna, przez które wybornie mogłem widzieć wszystko w aptece. Położono go na podłodze, podsunęto mu pod głowę jedną Biblię ogromną, a drugą, mniejszą, roztwartą, położono na piersiach, rozpiąwszy mu pierwszej koszulę, tak, że widzieć mogłem, którędy weszła kula. Kilka razy chwycił jeszcze powietrze piersiami tak głęboko, że aż poruszyła się książka, a potem leżał już cicho — umarł. Wtedy oderwano od niego córkę, coraz to głośniejsz płaczącą, i wyprowadzono ją. Mogła mieć

lat ze szesnaście, bardzo była ładna i miła, ale okropnie blada i wystraszona.

Niebawem wyległo całe miasto; pchali się wszyscy do okna, aby zobaczyć umarłego, ale ci, którzy pierwaj zajęli dobre miejsce, nie chcieli teraz ustąpić, chociaż tamci im dogadywali: Napatrzyliście się już chyba? Gdzie tu sprawiedliwość, żeby jedni cały czas stali i patrzyli, a drugim to nawet okiem rzucić nie można! Człowiek przecie jeden drugiemu równy!

Ludność cała tak była tym wypadkiem wzburzona, tak się odgrażano Sherburn'owi, iż myślałem, że mu to nie ujdzie na sucho. Na ulicach snuły się tłumy niespokojne; ci, co byli naocznymi świadkami zdarzenia, opowiadali je po raz setny może, a nigdy nie brakło słuchaczy. Człowiek jakiś wysoki, chudy, o długich włosach i wysokim kapeluszu białym, pilśniowym, na tyle głowy, laską sękatą zakreślał na błocie koła, mówiąc: „tu stał Boggs“, „a tu Sherburn.“ Ludzie śledzili każdy ruch jego i pilnie wpatrywali się w koła, kiwając głowami na znak, że rozumieją. On zaś stał wyprostowany i sztywny na tem miejscu, na którem wypadało stać Sherburn'owi, brwi marszczył, kapelusz na oczy nasuwał, krzyczał: „Boggs!“ z laski do celu mierzył, a zawoławszy „bum!“ przechylał się w tył i chwiał na nogach, jakby trafiony. Nie upadał jednak, ale raz drugi wołał: „bum!“ i wtedy dopiero padał na ziemię. Ci, którym udało się widzieć to, mówili, że doskonale przedstawiał całe zajście, kubek w kubek tak, jak było. Gdy skończył, ze dwanaście osób wyjęło butelki z wódką i rozpoczął się teraz poczęstunek.

Po niejakim czasie ktoś się odezwał, że wartą-

by zastosować do Sherburn'a prawo „*Lynch'u*“. Zgodzili się wszyscy, więc tłum popędził wrzeszcząc, wyjąc i ściągając po drodze rozwieszoną tu i owdzie bieliznę, aby ją podrzeć na sznur dla powieszenia Sherburn'a.

ROZDZIAŁ XXII.

Sherburn.—„Przejmująca do głębi serca tragedia.”

Skierowali się całą gromadą ku domowi Sherburn'a, z dzikim wrzaskiem, z wymyślaniem, zupełnie, jak napadający na przeciwnika czerwonoskórzy, a tak pędzili, tak się pchali, że wszystko musiało im z drogi ustępować.

Ile tylko było dzieci w mieście, wszystkie biegły za nimi, nie mniej od nich krzyząc i również, jak oni, groźnie wymachując pięściami. W oknie każdego domu pełno było twarzy kobiecych, na każdym drzewie siedział murzyn, a z za każdego płota wyglądały dziewczęta; ale gdy tłum ku nim się zbliżał, natychmiast znikaly Bóg wie gdzie. Zauważyłem przytem, że większość kobiet i dziewcząt płakała i miała miny wylękle.

Zatrzymali się wreszcie przed sztachetami domu Sherburn'a, za któremi widać było niewielkie podwórko kwadratowe. Hałas wzmógł się tak, że nie można było rozróżnić ani jednego słowa; krzyczeli wszyscy jeden przez drugiego. Nakoniec udało się komuś przekrzyczyć innych:

— Znieść sztachety! Znieść sztachety!—a tłum podchwyciwszy słowa, powtórzył je chórem. Zaraz też dał się słyszeć trzask drzewa, sztachety runęły na ziemię, a przednie szeregi tłumu wdarły się, jak powódź, w podwórze.

W tej samej chwili ukazał się Sherburn na balkonie od frontu, z dubeltówką w ręku, i ani słowa nie mówiąc, spokojny, z miną człowieka, który ustąpić nie myśli, stanął tuż przy poręczy balkonu i patrzy. Odwiódł kurki i wycelował dubeltówkę w sam środek tłumu. Tłum zakolysał się i odstąpił parę kroków.

Ani słowa nie przemówił Sherburn, stał tylko i z góry patrzył na ludzi. Cisza zrobiła się taka, że aż mi mrówki po grzbiecie chodzić zaczęły, a włosy dębem stawały. Sherburn powiódł oczyma po tłumie, a gdziekolwiek upadł wzrok jego, nikt spojrzenia tych oczu przetrzymać nie mógł. Każdy głowę tylko spuszczał i na durnia wyglądał. Wytrzymał ich tak przez parę minut, a potem... zaśmiał się niby. Ale taki to i śmiech był! Nie ten, wesoly i szczery, którego miło słuchać, nie! Słuchając go, miałeś zupełnie takie wrażenie, jak gdybyś jadł chleb, w którym więcej piasku niż mąki.

Zaśmiał się a potem wolno, wzgardliwie i powiada:

— Przyszliście sprawiedliwość wymierzać? Wy? A to zabawne! Alboż wy macie dosyć odwagi żebyście się zdobyli na wymierzenie sprawiedliwości mnie, mężczyźnie? Dlatego, że umiecie wykapać w smole i wytarzać w pierzu jedną i drugą kobietę bezbronną, która się włóczy po ulicach, to sądzicie,

że wam starczy śmiałości, żeby choć palcem jednym dotknąć mnie—mężczyznę? Cóż znów! Ja, mężczyzna, bezpieczny jestem w ręku dziesięciu tysięcy takich, jak wy—dopóki dzień biały, dopóki mam was przed oczyma, nie za plecami.

Znam was i znam ludzi na wylot. Urodziłem się i wychowałem na południu a żyłem na północy; znam więc człowieka przeciętnego. Człowiek przeciętny—to tchórz lub łotr. Na północy pozwala każdemu przewodzić nad sobą a potem idzie do domu i modli się o pokorę, o uległe znoszenie przeciwności; a na południu jeden człowiek napadł w dzień biały na gromadę paruset ludzi zebranych w teatrze i wszystkim zabrał co do grosza! Gazety wasze tak wam ciągle o waszej prawię odwadze, że się za naród najodważniejszy na kuli ziemskiej poczytujecie. A to nieprawda! aniście najodważniejsi, ani odważniejsi, ani nawet odważni! Dlaczego wasi przysięgli nie skazują zabójców na powieszenie? Z obawy, żeby przyjaciele zabójcy nie napadli ich w nocy, z nożem w ręku, bo wy to umiecie, o, umiecie! Uniewinniają więc mordercę, który chodzi swobodnie, ale w nocy skrada się za nim stu tchórzów zamaskowanych i czyhając na jego życie, morduje go, jeśli to zdoła zrobić bezkarnie. Przyszliście tu tłumnie, a wśród was ani jednego niema mężczyzny. Widzę kawałek tylko, a jest nim ten, który was namówił do napadu, Buck Harness. Tak, on jeden jest kawalkiem mężczyzny, może nawet połową. I dlatego, gdy on krzyknął: „Hejże! na Sherburna!“ poszliście za nim, jak barany. A wiecie dlaczego? boście tchórze — nie ludzie, nikczemne kundle — nie

ludzie. A kiedyście kundłe, to wiecie, co wam czynić należy? Pospuszczać ogony i zmykać, a potem powłazić do bud swoich. Precz, słyszycie? A swoją połowę człowieka także z sobą zabierzcie! Po tych słowach przerzuciwszy dubeltówkę przez lewą ramię, obrócił się do nich plecami—i poszedł.

Tłum stał jak wryty, a potem rozsypał się na gromadki, które jedna za drugą znikać zaczęły z mimami dosyć rzadkimi. Co do mnie, mógłbym być zostać, gdybym chciał, ale nie chciałem.

Tego samego wieczoru odbyło się nasze przedstawienie, ale przyszło na nie tylko dwunastu ludzi; tyle zaledwie, aby się koszta wróciły. I co najgorsza, śmieli się ciągle, czem księcia doprowadzali do wściekłości; w końcu wynieśli się, nie doczekawszy końca; został jeden tylko widz, jakiś chłopiec, który spał, jak zabity. Zobaczywszy to, powiedział książe, że takim głupim gburom nie opłaci się dawać Szekspira, że on już wie, czego im potrzeba.

Zaraz też nazajutrz rano, kupiwszy kilka arkuszy papieru, tego formatu jak na ogłoszenia i nieco czarnej farby, napisał afisze, dopełnił je odpowiedniami rysunkami i porozlepił po wszystkich ulicach.

Afisz opiewał:

W miejscowej sali
przez trzy tylko wieczory
występować będą słynni w całym świecie tragicy
Dawid Garrick Młodszy

Edmund Kean Starszy
(artyści londyńskich i wielu innych teatrów)

Nr. 5016

w przejmującej do głębi serca tragedyi,
przez nich samych ułożonej,

p. t.

KRÓLEWSKA ŻYRAFA

czyli

KRÓL JAKITAKI.

Wejście 50 centów.

Na samym zaś końcu dopisano wielkimi literami:

DZIECIOM I KOBIECIOM

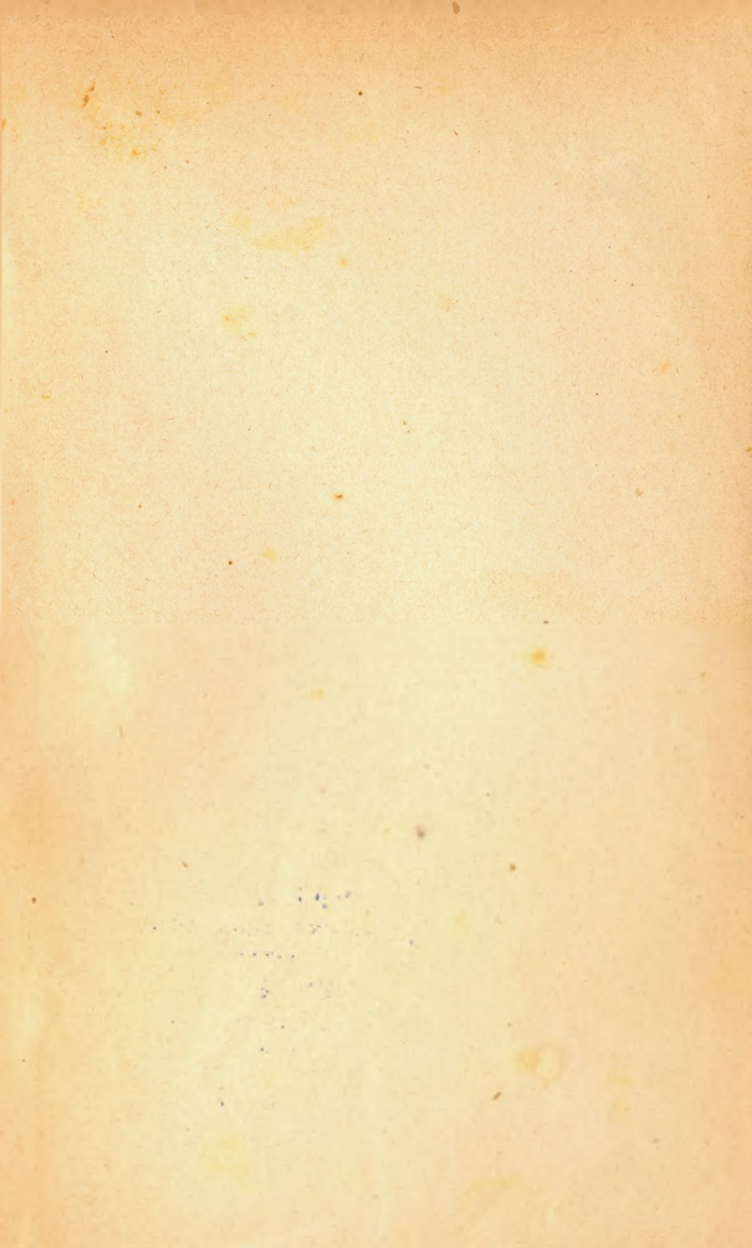
WSTĘP

WZBRONIONY.

— No! — rzekł książę — jeżeli się na to nie złą-
pią, to ja nie znam Arkanzas!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.









Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472765